

OJCOBÓJSTWO W AGORZE: MICHNIK NA BOCZNYM TORZE



ZDEKLAROWANY SINGIEL, CZYLI POLAK JEDNORAZOWY



SERIAL WEDŁUG POWIEŚCI WILDSTEINA W TVP W LIKWIDACJI



DŁUG TUSKA DROŻSZY NIŻ WSZYSTKIE PIENIĄDZE Z UNII

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

37 (719) 2026
7–13 września 2026

CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)



TYLKO U NAS

KOGO ZATOPI ZONDACRYPTO

PRAWDZIWA AFERA, STRASZNA ZBRODNIA, WIELKIE PIENIĄDZE, A TAKŻE CYNICZNA POLITYCZNA GRA. CZY EKIPA TUSKA WPADNIE W DOŁKI, KTÓRE SAMA KOPIE?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 37
Numer w sprzedaży do 14 IX 2026 r.

WARTO NAS CZYTAĆ

Sprawdź ofertę



e-prenumerata
SIECI
+
wPolityce.pl
Premium +

CZYTAJ ZA 1 ZŁ

1 zł za pierwszy miesiąc, a potem 12,90 zł (pobierane automatycznie co miesiąc) i możesz zrezygnować w każdej chwili.

SPRAWDŹ, CO ZYSKUJESZ W E-PRENUMERACIE SIECI + WPOLITYCE.PL:

- Nasi publicyści gwarantują **rzetelne dziennikarstwo i mocne, wyraziste opinie**
- Masz **dostęp do wszystkich zamkniętych artykułów** na portalu wPolityce.pl
- Czytasz każde **e-wydanie Sieci wcześniej niż inni**, bo już w niedzielę o 18:00
- We wrześniu otrzymasz **w prezencie e-wydanie magazynu wSieci Historii pt. Gry o tron**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

WEJDŹ NA:

siec.wpolityce.pl/oferta

eprasa.pl 4a9be78ee4

Dwa lata misji telewizji wPolsce24

Ktoś powie, że to mało, komuś innemu wyda się, że to już sporo. Ja czasu aż tak nie liczę, choć jubileusz zawsze jest miłym pretekstem do podsumowań. Dwulatka, którą właśnie staje się telewizja wPolsce24, budzi we mnie dumę i nadzieję. Że nawet przy upadku telewizji publicznej są media, które wypełniają misję mówienia prawdy i patrzenia władzy na ręce.

Przełom sierpnia i września to zawsze czas ważnych polskich rocznic. To również czas próby dla mediów i polityków. Czas testu na polskość. Kto i jak opowiada o utworzeniu Solidarności? Dla kogo wybuch wojny jest opowieścią o polskim bohaterstwie, a dla kogo pretekstem do bajania o wydumanej wspólnocie, której ponoć nam brakuje? Komu nie brakuje odwagi, by upomnieć się o należne Polsce reparacje, a kto rozmywa winę najeźdźców, każąc nam zapłakać nad losem sowieckich żołnierzy spod Leningradu? W tym roku także dostaliśmy odpowiedzi na te pytania.

31 sierpnia w legendarnej Sali BHP gdańskiej stoczni prezydent Karol Nawrocki uhonorował Orderem Orła Białego Krzysztofa Wyszkowskiego, działacza i dziennikarza. Przypomniał przy tym, że trzeci z postulatów sierpniowych, mówiący o tym, że „media należą do narodu, nie partii", wciąż nie został zrealizowany. Prezydent powiedział o „znoszeniu tego, co dzieje się dzisiaj w telewizji publicznej". I wiecie, co jest w tym wszystkim najciekawsze? To, że jakby na potwierdzenie jego słów Telewizja Polska w likwidacji nie transmitowała tego przemówienia. Widzowie stacji służącej partii Tuska dostali w zamian wielogodzinną relację z pogrzebu Wandy Traczyk-Stawskiej. Nie mówię, że to nieważne, bo mam szacunek dla bohaterów powstania warszawskiego, ale decyzja, by nie pokazać prezydenta nawet przez chwilę, była dla mnie niezrozumiała. Taki jestem nierozumny w tym zakłamanym świecie.

Przepełnia mnie duma z tego, co osiągnęliśmy w telewizji wPolsce24 przez te dwa lata. To ciekawy, ale trudny czas dla mediów konserwatywnych. Nie rozpieszczają nas reklamodawcy, swego rodzaju zmowa nie pozwala normalnie funkcjonować. Samozaparcia i sztywnego kręgosłupa wymaga, by nie ulec pokusie, gdy na rynku pojawia się np. taki podmiot jak Zondacrypto i zaprasza do współpracy. W środowisku prawicowym zawsze pieniędzy było mniej niż u lewicy i liberałów. A jednak zarząd i kierownictwo wPolsce24, czując, że „Zonda" to podejrzany interes, zdecydowało, że w to nie wchodzimy. Może będzie biedniej, ale na pewno uczciwie i przejrzyście. To ważniejsze niż możliwość epatowania bogactwem, wyniosłymi siedzibami i rozbijaniem się po świecie nawet wtedy, gdy ma to małe uzasadnienie dziennikarskie.

Telewizja wPolsce24 jest stacją prywatną, lecz wcale nie czujemy się zwolnieni z obowiązku realizowania misji dziennikarskiej. W sercu mamy Polskę i jej dobro. Martwią nas złe rządy, zastanawia polityczny cynizm, oburza ludzka głupota, obrzydza zdrada. Bardzo cieszy, że jest tak wiele osób, które patriotyzm rozumieją tak samo jak my. Silna Polska to nasz cel.

Dzięki naszej pracy – to kolejny powód do dumy – mamy grono wspaniałych widzów, którzy nas wspierają. I nie jest to tylko slogan. To dzięki państwa wsparciu realizujemy reportaże śledcze i budujemy nowe studio, by w jeszcze ciekawszej formie mówić o wszystkim, co najważniejsze. Bez widzów nasza praca nie ma sensu, dlatego dziękuję nie tylko za wsparcie finansowe, lecz także za życzenia (z okazji urodzin było ich naprawdę sporo) i każde dobre słowo. Mówcie państwo o nas swoim znajomym i rodzinie. To działa. Nasza oglądalność sukcesywnie rośnie, a my mamy poczucie, że nasze media należą do narodu.

Budujmy razem telewizję wPolsce24!

Marcin Wikło



Autopromocja

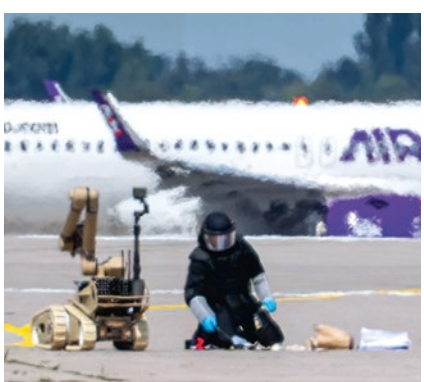
eprasa.pl 4a9be78ee4

SIECI

spis treści



28 Dwa kampusy, dwa światy
Marzena Nykiel



40 Rosyjska „wojna sabotażowa” przeciw Europie
Marek Budzisz



61 Takiej roli się nie odrzuca
Z Dorotą Chotecką rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

5 **JAK DALEKO SIĘ POSUNĄ?**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ROZCIEŃCZANIE PAMIĘCI**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **SZALEŃCY LICZĄ EMISJE, GOSPODARKA LICZY STRATY**
Daniel Obajtek

13 **PIASTA, SZPRYCHY I SIATKA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA MAGDALENY PAWLICKIEJ**
Michał Korsun

16 **SMUTNA PODŁOŚĆ AGENTURY**
Jan Pietrzak

16 **MINISTER GŁUPICH KROKÓW**
Samuel Pereira

17 **RACHUNEK NADAL LEŻY NA STOLE**
Arkadiusz Mularczyk

18 **WRZESIEŃ**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

20 **ZŁOTO TUSKA**
Stanisław Janecki

KRAJ

25 **DŁUG TEGO RZĄDU DROŻSZY NIŻ WSZYSTKIE PIENIĄDZE Z UNII**
Z Januszem Szewczakiem rozmawia Jerzy Szmit

28 **DWA KAMPUSY, DWA ŚWIATY**
Marzena Nykiel

32 **OJCOBÓJSTWO W AGORZE**
Piotr Gursztyn

35 **POLACY JEDNORAZOWI**
Konrad Kołodziejski

38 **JAK SKOŃCZYŁA SIĘ SZCZEPKOWSKA**
Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

40 **ROSYJSKA „WOJNA SABOTAŻOWA” PRZECIW EUROPIE**
Marek Budzisz

43 **ZALĘKNIONE POKOLENIE**
Aleksandra Rybińska

46 **ŚMIERĆ, KTÓRA OTWORZYŁA RANY**
Goran Andrijanić

GOSPODARKA

49 **PRAWDZIWY SZTUCZNY PIENIĄDZ**
Dariusz Matuszak

OPINIE

52 **PRZESZŁOŚĆ ZAWSZE NAS DOPADNIE**
Z Bronisławem Wildsteinem rozmawia Maciej Walaszczyk

56 **BIEDNY CHRZEŚCIJANIN PATRZY NA STREFĘ GAZY**
Grzegorz Górny

HISTORIA

58 **ZAPOMNIANY POLSKI NOBLISTA**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

61 **TAKIEJ ROLI SIĘ NIE ODRZUCA**
Z Dorotą Chotecką rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

NATURA DLA LUDZI

66 **DROP, CZYLI LATAJĄCY KOLOS**
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: JAROSŁAW WSZĘDYBYŁ**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **MAGIA NEUROPLASTYCZNOŚCI**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **SĘDZIOWIE Z BOŻEJ(?) ŁASKI**
Ryszard Czarnecki

74 **WSZYSCY GŁUPI JESTEŚMY!**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 4a9be78ee4

BRONISŁAW WILDSTEIN

Jak daleko się posuną?

Determinacja Donalda Tuska w forsowaniu do Trybunału Konstytucyjnego swojego najbliższego współpracownika Macieja Berka musi mieć uzasadnienie. To coś więcej niż ostentacyjne mianowanie na z założenia apolityczne stanowisko rzecznika praw obywatelskich Sylwii Gregorczyk-Abram, osoby wyjątkowo zaangażowanej po stronie rządzącego układu i „obsługującej" nawet tak skandaliczne przedsięwzięcia, jak siłowe przejęcie mediów publicznych. Kandydaturą Berka zbulwersowani są nawet koalicjanci, których Tusk nie poinformował o swojej decyzji.

Jedną z linii ataku na obecny TK było wskazywanie na polityczne nominacje do niego ze strony PiS. Chodziło zwłaszcza o Krystynę Pawłowicz i Stanisława Piotrowicza, członków partii Kaczyńskiego, którzy jednak wystąpili z niej przed mianowaniem. W „Gazecie Wyborczej" kolejny autorytet prawny, naturalnie profesor, oburza się na porównywanie Pawłowicz i Piotrowicza z Berkiem, bo reprezentanci PiS byli „postaciami głośnymi", a minister Tuska pracował w cieniu. Kolejny raz przekonuję się, że „autorytetów" – zwłaszcza profesorów prawa – logika nie obowiązuje. Przeciwko Pawłowicz i Piotrowiczowi, którzy wyłamali się z establishmentu prawniczego III RP, rozpętana została wściekła nagonka, ale nie pełnili oni żadnych funkcji rządowych, a Berka wprawdzie premier nie eksponował, ale przeznaczył mu w gabinecie główną obok siebie rolę. Toteż nawet autorytetowi trudno przełknąć przeniesienie go do TK, choć twierdzi, że to nic wobec wprowadzenia tam Pawłowicz. Typowa strategia establishmentu polega właśnie na tym: zdiabolizować i ośmieszyć jednocześnie przeciwnika, a potem oburzać się, że pełni on funkcje publiczne.

Dwie miary liberałów to jedno, a determinacja Tuska – drugie. Chociaż przyzwyczaił nas, że zaprzecza sobie bez przerwy, ale w tym przypadku uderza w podstawę swojej taktyki dotyczącej wymiaru sprawiedliwości. Oczywiście establishment prawniczy pogodzi się z tym jak z każdym posunięciem Tuska, ale mniejszym kosztem mógłby on wprowadzić do TK posłuszną sobie marionetkę z profesorskim tytułem. Widocznie bardzo zależy mu nie tylko na „swoim" sędzi w trybunale, lecz także na wyjątkowo sprawdzonym.

Chodzi o najważniejszą dla oligarchii III RP operację wyeliminowania z polskiego wymiaru sprawiedliwości niezależnych prawników, co oznacza także sparaliżowanie prezydenta. Pod pretekstem sprawdzenia decyzji z udziałem „neosędziów" w pierwszym rzędzie procedurze tej poddać można zatwierdzenie wyboru prezydenta przez Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, która jako powołana w trakcie rządów prawicy ma być nieprawomocna. W trakcie tego procesu funkcje prezydenta przejęte zostałyby przez marszałka Sejmu.

Logika nakazywałaby wprawdzie, aby przy takim podejściu na początku sprawdzić zatwierdzone przez tę samą Izbę wybory parlamentarne i wszelkie ich konsekwencje z powołaniem rządu na czele, ale jak już wspomniałem, w demokracji walczącej logika nie obowiązuje.

Nowy TK pod przewodnictwem Berka nie pójdzie na ostateczne rozwiązanie. Nie ogłosi unieważnienia prezydenckich wyborów. Ba, po kilku miesiącach uzna prawomocność Karola Nawrockiego. Tyle że przez ten czas Czarzasty podpisze rządzącej ekipie wszystko to, co umożliwi jej wygranie przyszłorocznych wyborów, np. ustawy, która za sianie mowy nienawiści postawi przed sądem głównych polityków opozycji i uniemożliwi im start w wyborach czy pod dowolnym pretekstem odebranie PiS funduszy wyborczych. Inne regulacje na wszelki wypadek depenalizować będą „łamanie prawa w obronie demokracji". Odwołuję się tylko do znanych już projektów rządu Tuska, a przecież może on iść tropem węgierskim i przyjąć kadencyjność posłów, co zdekapituje PiS.

Prawdopodobnie premierowi tak bardzo zależy na osadzeniu w TK Berka, gdyż to on jest pomysłodawcą całej operacji i zadbałby o należyte jej przeprowadzenie. Nie mam pewności, czy będzie ona wdrożona, ale wiem, że obecna ekipa jest do niej zdolna. Jedyne, co może ją powstrzymać to determinacja prezydenta, której możemy być pewni i reakcja społeczna, która nie jest już oczywista.

Krok po kroku Tusk i jego komando likwidują w Polsce demokrację, państwo prawa i zasady cywilizowanej polityki przy realnej bierności opinii publicznej. Jest to możliwe przy ogromnej przewadze propagandowej oligarchii III RP, która doprowadziła do głębokiej deformacji obrazu sytuacji tak w Polsce, jak i na świecie. Nawet niezadowoleni z władzy obecnej tzw. symetryści, potępiając niektóre jej działania, za każdym razem równoważą to, deklarując, że PiS robiło to samo. Abstrahując od fundamentalnego fałszu takich twierdzeń, służą one rozbrojeniu krytyki. Jeśli poprzednicy robili to samo, czym się oburzać? Widocznie tak wygląda polityka.

W efekcie Polacy nieświadomi są fundamentalnego zagrożenia swojej podmiotowości, co pogłębia niebezpieczeństwo z tym związane.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4a9be78ee4



Sygnalista nadaje

Oddać Islandię Trumpowi! Zamiast Grenlandii. I dołożyć do tego Podkarpacie z Lubelszczyzną. Za karę. Europa nie potrzebuje nieodpowiedzialnych ludzi, dla których ważniejsze jest mordowanie osób rybich niż wspólnota wartości, wspólny europejski projekt, miejsce Islandii w Europie, standardy unijne, sojowe latte i ETS.

Przełom w światowej geopolityce. Skończy się rosyjska dywersja i podpalenia zakładów zbrojeniowych. Głos zabrał sam ***Radek Sikorski***. Zapowiedział krok ostateczny – niemiłą rozmowę z ambasadorem rosyjskim: „Usłyszy słowa stanowczego potępienia!”. Na Kremlu wybuchła panika. Wkrótce kolejne doniesienia. Zostańcie z nami.

Tymczasem jeśli chodzi o naszą obecność w europejskiej rodzinie, to zostały zracjonalizowane ceny paliw. Nie używajcie określenia, że wacha zdrożała, bo to hate-speech w stylu faszystowskiej prawicy, tego Nawrockiego z Gdańska, Skolima i wszystkich, którzy pojechali do Juraty (już wiecie, co oni tam robili na wydmach). Chodzi o to, że paliwo nie może być zbyt tanie – jak zauważył Markowski Radosław, autorytet moralny strony demokratycznej. Mądry człowiek, może nawet doktor habilitowany, jak nasza genialna naukowczyni-wizerunkowczyni z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. Dzięki niezbyt taniemu paliwu hołota nie będzie generowała korków, tylko siedziała w domu. Dosyć najeździła się w wakacje, gdy obowiązywały szczodre zniżki, zafundowane jej przez Pana Premiera. Najeździła się i wystarczy! Dosyć włóczęgostwa i robienia tłumów w miejscach wypoczynkowych. Zresztą 7,64 zł to niemal tyle samo, co 5,19 zł.

Wspaniały pałer-spicz (znamy to słowo od prof. dr hab. Basi Mróz-Gorgoń) Pana Premiera Donalda Franciszka. Wygłosił je wobec młodzieży, zebranej na pełnej optymizmu i entuzjazmu imprezie zorganizowanej przez zwycięzcę moralnego, czyli Rafała Trzasowskiego. Pan Premier zgasił tam jakiegoś bezczelnego młodocianego typa, który pomylił Campus z naziolskim zlotem w Juracie i zadał niemiłe pytanie. Typ bez należnego szacunku zapytał, czy Pan Premier nie oddałby teraz władzy przed wyborami. „Pan mnie pyta, czy teraz bym oddał władzę przed wyborami komuś lepszemu ode mnie w tym moim obozie politycznym?”. Polityka to bezwzględna konkurencja. „Jakby był ktoś lepszy, to by tę władzę wziął” – powiedział Tusk. Szczera prawda! Tak przecież było w 2014 r. Przyszła Ewa Kopacz i zabrała władzę panu Tuskowi. Po prostu była lepsza i wzięła. A teraz podobno Magda Sobkowiak-Czarnecka ma być tak samo lepsza.

Teraz jeszcze mocniejsza rzecz, o której trochę zapomnieliśmy, ale musimy przypomnieć w kontekście wyżej cytowanych słów Pana Premiera. Wszystkim pójdzie w pięty, a zwłaszcza wyborcom prawicy. Po tym, jak to przeczytają, od razu przestaną głosować na PiS, a zaczną na Koalicję Obywatelską. Zapamiętajcie te słowa Pana Premiera Tuska: „Niczego nie obiecuję. Znacie mnie trochę. Mi przez gardło nie przejdzie coś, co się później okazuje pustą obietnicą!”.

eprasa.pl 4a9be78ee4

Uwaga! Młodzi lub w miarę młodzi ambitni działacze, działaczki i osoby działackie. Jest casting. Poszukiwany jest nowy Michał Kołodziejczak, bo ten stary zrobił swoje i może już odejść. Dotychczasowym ***Michałem Kołodziejczakiem*** zainteresowała się prokuratura, której nie podoba się to, że Michał ma immunitet. A nie powinien mieć, bo nie jest już potrzebny. Michał jako osoba ambitna, ciekawa świata i żądna wiedzy podwyższał swoje kwalifikacje. Na znanej i cenionej uczelni Collegium Humanum. Jest kwestią sporną, czy zapłacił za dyplom tej uczelni, czy dostał za darmo. Lub prawie za darmo. Bardzo się tym zainteresowała prokuratura, ale niestety nie wiem, czy to prokuratorzy od pana Korneluka, czy od pana Żurka. Bo to nie to samo.



Jeśli chodzi o Collegium Humanum, to ***Hołownia*** wraca do wielkiej polityki. Wraca, wraca i wrócić nie może, ale chyba jest bliżej. I to może być powrót w wielkim stylu. Mowa o wejściu do rządu. Ma być ministrem – wprawdzie bez teki, ale za to dostanie coś między Ministerstwem Głupich Kroków Monty Pythona a Ministerstwem Propagandy dr. Goebbelsa. Będzie odpowiadał za „bezpieczeństwo informacyjne" rządu, a jego główne zadanie to poprawa komunikacji gabinetu Pana Premiera Donalda Franciszka oraz walka z dezinformacją. Też fajnie, bo to coś w stylu prof. dr hab. Baśki Mróz-Gorgoń.



Ale kiedy jest ci smutno i źle, gdy myślisz, że nikt cię nie słucha i nie szanuje, to nie myśl tylko o Szymku Hołowni czy Kaśce Pełczyńskiej-Nałęcz. Fakt, im jest źle, ale nie tak bardzo jak Adamowi Michnikowi. Legendarny opozycjonista, założyciel najwspanialszej gazety między Łabą a Władywostokiem, autorytet moralny, duchowy przywódca narodu, a nawet ulubieniec kobiet (oczywiście kiedyś, a nie teraz). Taki człowiek, a dostał kopa w d... od zarządu Agory. Nie po raz pierwszy i nie ostatni, ale za to przy wszystkich. I to od byłych podwładnych, którzy kiedyś bez mydła włazili mu we wspomnianą część ciała. Teraz są jednak członkami zarządu Agory, więc kopią Adama bez cienia litości. Poszło o jakąś drobną rzecz, którą Adam chciał od zarządu. Tak się jednak dzieje, że dawni podwładni mają teraz pyszną zabawę: pokazują Adamowi, gdzie jego miejsce i kto teraz rządzi. Uczcie się, dzieci.



Z tym Hołownią jest zresztą duży problem. Nie wiadomo, czy warto go brać do rządu i w ogóle mieć w koalicji. Czy wiecie, co on robi? Z jakimi strasznymi typami gada? Wiadomo, że raz spotkał się z Jarosławem Kaczyńskim, bo była darmowa micha u Adama Bielana. Potem już tam nie łaził, obiecał poprawę. Brał nawet leki. A teraz wyszło szydło z worka (nie chodzi o Beatę, tylko o przysłowie). Szymek wisi na telefonie i non stop wydzwania do tego Nawrockiego z Gdańska. „Z prezydentem Nawrockim rozmawiam o różnych porach. Nie będę udawał, że nie rozmawiam" – oznajmił bezczelnie. Czy on nie ma żadnych innych kolegów? Czy on nie wie, że prawdziwym prezydentem jest Rafał, tylko dr Kontek nie przeliczył wszystkich głosów? Czekamy na odpowiedź!



A teraz koncert życzeń. Zapytaliśmy Michała Moskala o ulubioną piosenkę. Otrzymaliśmy taką odpowiedź: „Piosenkę o Ibizie zespołu Vengaboys najbardziej bym chciał usłyszeć!" Tak się szczęśliwie składa, że mamy piosenkę „Flaj mi haj, Ibiza skaj": „Whoa! We're Going to Przemek Kral, Whoa! We're Gonna Have Party with Romek the Horse"

Ale jest też pan Maruda. Pogromca dobrej zabawy, niszczyciel uśmiechów młodych posłów. To Mariusz Błaszczak. „Źle zrobił" – powiedział zapytany o wyjazd Michała Back to the Island. A my i tak lubimy Michała. Najbardziej za „Piątkę dla zwierząt". To był fajny pomysł. Bardzo przemyślany.

I jeszcze o naszych bohaterach. Mamy już nie tylko Rambo z Sieradza, czyli Czarka Tomczyka. Ukazała się też Lara Croft, dziewczyna z Jeżyc, czyli ***Magda Sobkowiak-Czarnecka***. „Skoro wiceminister obrony Cezary Tomczyk jest nazywany przez amerykańskiego ambasadora Rambo, to czy pani jest Larą Croft?" – zapytała ją osoba redaktorska w Telewizji W Likwidacji. „Nie, w życiu, absolutnie" – odpowiedziała skromnie Magda. Dawno, dawno temu, w epoce wczesnego Donalda Tuska, w roli Lary Croft fotografowała się Aśka Mucha. No i sami widzicie, jak skończyła. Widać, że Magda nie chce podzielić jej losu. Jeśli nie Lara Croft, to może inna nazwa? Kapitan Sejf – co wy na to?

À propos ceny paliw i bijatyk na stacjach benzynowych: Andrzej Rozenek wreszcie się odnalazł! Ten charyzmatyczny polityk, któremu niestety zły los nie pozwolił dostać się do Sejmu, służy Tenkrajowi na innym odpowiedzialnym stanowisku. Pracuje z panem Wojtunikiem w ORLENIE. Ale nie na stacji benzynowej, bo szkoda by było tak cennych kwalifikacji. Jest w centrali. Może i jego wynagrodzenie jest wysokie, ale za to kwalifikacje niskie.

Fot. Liudmyla Skwarczyńska, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk, Radek Pietruszka/PAP/Polish presidency of the Council of the EU 2025

eprasa.pl 4a9be78ee4

WIEŻA BAB

Rozcieńczanie pamięci

Czy przy pisaniu tego przemówienia Dulkiewicz naprawdę nikt nie zadał sobie pytania, jak to zostanie odebrane?

Są takie momenty, kiedy człowiek zaczyna podejrzewać, że przemówienia polityczne pisze dziś wyłącznie sztuczna inteligencja. Wpisujemy: „II wojna światowa", „pamięć", „ofiary", „Westerplatte", algorytm zaś dorzuca wszystko, co znajdzie w promieniu kilku tysięcy kilometrów. Tak oto podczas obchodów 87. rocznicy wybuchu II wojny światowej na Westerplatte prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz przypomniała Polakom o blokadzie Leningradu. Serio.

Najpierw było normalnie. Westerplatte, obrońcy, Poczta Polska, cywile z Nowego Portu, niemiecka agresja. Wszystko na swoim miejscu. A potem pani prezydent zrobiła historyczną teleportację na Wschód. „85 lat temu rozpoczęło się też jedno z najtragiczniejszych oblężeń w historii – blokada Leningradu" – oznajmiła. I tu pojawia się pytanie, którego nie sposób uniknąć: kto to wymyślił?

Czy pani prezydent sama uznała, że 1 września na Westerplatte jest idealnym momentem, by opowiedzieć o cierpieniach mieszkańców Leningradu? Czy też nad przemówieniem pracował cały sztab ludzi? Wyobrażam sobie tę naradę:

– Mamy Westerplatte. 1 września. Niemcy napadli na Polskę. Co jeszcze możemy powiedzieć?

– Leningrad!

– Świetnie! To jest właśnie ten element, którego nikt się nie spodziewa!

Rzeczywiście. Nikt się nie spodziewał. Bo przecież jeżeli spotykamy się 1 września na Westerplatte, żeby uczcić rocznicę niemieckiej napaści na Polskę, to naprawdę trudno uznać, że największym problemem programu uroczystości jest brak odpowiedniej ilości nawiązań do oblężenia Leningradu. Westerplatte nie jest przecież przypadkowym punktem na mapie II wojny światowej. To symbol polskiego oporu. Tu rozpoczęła się historia pierwszych dni wojny. Tu walczyli polscy żołnierze. Tu zaczęła się katastrofa, która dla Polski oznaczała okupację, terror, masowe mordy i zniszczenie państwa. I właśnie tutaj nagle słyszymy opowieść o tym, jak mieszkańcy Leningradu marzli przy -40 st. Celsjusza. Wystarczyło ograniczyć się do Westerplatte, ale nie! Trzeba było wrzucić Leningrad, wspomnieć, że „wojna nie zna płci ani wieku" i tak powstała historyczna sałatka: wszystko jest prawdziwe, wszystko jest tragiczne, tylko nie wiadomo już, co właściwie było tematem uroczystości.

Jest jeszcze jeden kłopot. Żyjemy w czasie rosyjskiej wojny przeciw Ukrainie. Rosja prowadzi pełnoskalową agresję na sąsiednie państwo. Spór o rosyjską historię, imperializm i dziedzictwo Związku Sowieckiego jest dziś szczególnie żywy. I właśnie teraz, podczas polskich obchodów 1 września, ktoś uznaje za stosowne głośno przypominać o cierpieniu mieszkańców Leningradu. Czy przy pisaniu tego przemówienia Dulkiewicz naprawdę nikt nie zadał sobie pytania, jak to zostanie odebrane?



Marcin Możdżonek skomentował to z ironią jako „doskonałe wyczucie czasu i miejsca". Krzysztof Stanowski nazwał pomysł „najbardziej irracjonalną rzeczą", jaka wydarzyła się w tym roku. A przecież polityka polega również na przewidywaniu skutków własnych słów. Jeżeli wiadomo, że jedno zdanie podczas takiej uroczystości może przesłonić całą resztę przemówienia, to może tego zdania warto po prostu nie wypowiadać? A żeby uczcić Westerplatte, nie trzeba wymyślać niczego oryginalnego. Wystarczy przypomnieć tych, którzy tam byli, walczyli, których życie zmieniło się w jednej chwili i tych, którzy to życie stracili. Najlepszym dowodem szacunku dla pamięci jest właśnie umiejętność pozostania przy tym, co najważniejsze. Bo kiedy 1 września na Westerplatte zaczynamy od polskich żołnierzy, a po chwili przenosimy się do Leningradu, można odnieść wrażenie, że ktoś pomylił uroczystość z konkursem: „Ile tragedii II wojny światowej uda nam się zmieścić w jednym przemówieniu?" A odpowiedź powinna być prosta: tyle, ile trzeba. Ale nie więcej. Bo 1 września na Westerplatte naprawdę nie trzeba przypominać wszystkich dramatów. Wystarczy pamiętać, kto i przez kogo został zaatakowany. Chyba że ktoś woli tego nie pamiętać albo rozcieńczać tę pamięć.

Dorota Łosiewicz

RUDY i BRUDY

Z ŻYCIA PREMIERA TENKRAJU

Oblężenie Leningradu

Ronald Kieł strapiony przeglądał ekran swojego wypasionego smartfona, kiedy otworzyły się drzwi i wmaszerował minister spraw wewnętrznych Marcin Pogłosowski, ciągnąc za ucho Miłosza Szpadla, najmłodszego członka rządu odpowiedzialnego za energię.

– Znalazłem go w parku po drugiej stronie ulicy – zameldował Pogłosowski. – Siedział na ławce i bawił się samochodzikami na resorach.

Kieł oderwał oczy od ekranu telefonu i spojrzał na Szpadla ze złością.

– Rozumiem, że jesteś najmłodszym ministrem w moim gabinecie – zaczął premier nienaturalnie spokojnym głosem, co zawsze zapowiadało kłopoty dla jego rozmówcy. – Rozumiem, że nie masz żadnego doświadczenia zawodowego, bo zawsze byłeś działaczem partyjnym. Rozumiem nawet, że nie chce ci się pracować dłużej niż cztery godziny dziennie, bo mam tak samo. Ale dlaczego benzyna na stacjach kosztuje dzisiaj prawie 8 zł?!

– Aż tyle? – zdziwił się Szpadel. – Kilka dni temu była tańsza. Ja wprawdzie sam nie tankuję, bo robi to mój kierowca, ale powiedział mi kolega z młodzieżówki ludowców. Był na stacji pod koniec sierpnia i mówił, że cena całkiem spoko.

– W sierpniu było całkiem spoko, ale teraz jest wrzesień! – Kieł podniósł głos. – Czy ty nie masz mózgu, Szpadel? Z dnia na dzień podniosłeś cenę litra benzyny o półtorej złotówki! To jest zbrodnia!

– Zbrodnia?! Jak to zbrodnia?! Przecież pan od zawsze powtarza, żeby się nie przejmować ludźmi – Szpadel zdobył się na odwagę i wszedł w polemikę z premierem.

– Przecież ja się nie przejmuję ludźmi, bałwanie, tylko sondażami! – Kieł przestał się hamować i podniesiony głos zamienił się w krzyk. – Jak można być tak bezmyślnym! Ty przecież dajesz opozycji paliwo...

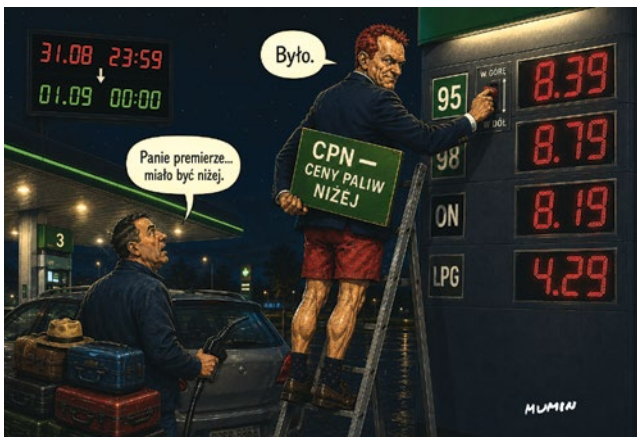
– No właśnie, paliwo – przerwał mu przerażony Szpadel, próbując złapać się tego słowa niczym tonący brzytwy. – Przecież jestem ministrem energii i odpowiadam za dawanie ludziom paliwa...

– Nie dałeś mi dokończyć matole! Dajesz opozycji paliwo do ataku! – wykrzyczał Kieł. I dodał cichszym, ale złowrogim tonem. – Wszyscy mnie atakują, że nie umiem zapanować nad cenami benzyny, więc potrzebna będzie dymisja.

– Nie! – tym razem krzyczącym był Szpadel. Miał łzy w oczach – Tylko nie dymisja. Jestem bardzo dobrym ministrem. Jestem najmłodszy w rządzie i wyraźnie obniżam średnią wieku. Może i się nie znam, ale czy inni się znają? Poza tym nie wiedziałem nic o tej podwyżce, bo tylko podpisuję, co mi przyniosą na biurko. Tylko nie dymisja, panie Kierowniku...

Ronald Kieł spojrzał z politowaniem na płaczącego ministra.

– Ech, ty dzieciaku... – powiedział znacznie spokojniejszym tonem Kieł, gdyż nic nie koiło jego nerwów bardziej niż upo-



korzeni podwładni. – To nie musi być twoja dymisja. Wyrzuć tam kogoś, żeby media miały ofiarę na pożarcie. A kierowcy za dwa tygodnie się przyzwyczają. Dobra Pogłos, zabieraj go stąd. A ty, Szpadel, pamiętaj, że zostajesz w rządzie tylko dzięki mojej łasce.

Kiedy Pogłosowski wyprowadzał chlipiącego Szpadla, minęli w drzwiach wchodzące do gabinetu premiera dwie szalenie eleganckie kobiety. Były to ministra edukacji Barbara Niejaka oraz prezydentka portowego Trójmiasta Aleksandra Danzig.

– Jakże miło was widzieć, dziewczyny – Kieł uśmiechnął się szeroko. – Jesteście szalenie eleganckie. Jaka to okazja?

– Pierwszy dzień szkoły. Jako gospodarka resortu edukacji muszę się właściwie ubrać – odpowiedziała Niejaka, ubrana w stylową nauczycielską garsonkę.

– Tak się mówi? Gospodarka, a nie gospodyni? – zdziwił się premier.

– Tak się jeszcze nie mówi, ale będzie się mówiło – odparła ministra. – Słowo gospodyni jest opresyjne i wzmacnia patriarchat. A gospodarka brzmi godnie.

– Może być – nieszczerze przyznał Kieł. – A ty, Aleksandro, co świętujesz?

– Ja, drogi Kierowniku, mam poważny i smutny powód... – zaczęła Danzig.

Nie zdążyła dokończyć, bo przerwała jej Niejaka, chcąc pokazać premierowi, że ma kompetencje, by kierować ministerstwem edukacji. – Rocznica wybuchu wojny.

Aleksandra Danzig spojrzała na ministrę z wyższością.

– Ależ skąd – odpowiedziała. – Nie mam zamiaru celebrować rocznicy wybuchu wojny, która doprowadziła do wypędzeń setek tysięcy uczciwych mieszkańców mojego miasta. Dzisiaj jest rocznica oblężenia Leningradu i to jest moje święto.

Kieł wstał i pochylił głowę w zadumie. Potrzebował właśnie takich kadr jak te dwie panie.

MuMa

Fot.Grafika wygenerowana przez AI/MuMIN

eprasa.pl 4a9be78ee4



„Nie" dla Unii

Mieszkańcy Islandii odrzucili w ogólnokrajowym referendum propozycję wznowienia negocjacji akcesyjnych z Unią Europejską. Czy oznacza to, że Islandczycy są słabo wykształconymi prowincjuszami, opętanymi antyeuropejską fobią? Niezupełnie. Problem leży raczej po stronie Unii, która po całej serii popełnionych błędów straciła swoją dawną atrakcyjność.

Islandia złożyła swój pierwszy wniosek akcesyjny do Unii w 2009 r., w następstwie zawirowań wywołanych globalnym krachem finansowym. Zwolennicy akcesji uważali, że dołączenie do wspólnoty europejskiej pozwoli ustabilizować gospodarkę, a przyjęcie euro uchroni wyspę przed inflacją. Ostatecznie Islandczycy dali sobie radę bez pomocy eurokratów, a odbicie gospodarcze w kolejnych latach doprowadziło do spadku zainteresowania członkostwem w Unii i zakończenie rozmów z Brukselą w 2013 r.

Propozycja wznowienia negocjacji, nad którą teraz głosowano w referendum, była związana – podobnie jak 17 lat temu – z obawą o sytuację gospodarczą wyspy. Znów pojawiły się sugestie przyjęcia wspólnej waluty jako remedium na rosnącą inflację. Argumentowano również, że w obliczu napięć geopolitycznych i widocznego kryzysu NATO członkostwo w Unii ma jakoby wzmocnić bezpieczeństwo kraju. Oliwy do ognia dolał nowy ambasador Stanów Zjednoczonych, który wywołał oburzenie niemądrym żartem, że Islandia mogłaby się stać 52 stanem USA (przy czym 51 stanem miałaby być Grenlandia).

Przeciwnicy akcesji podkreślali natomiast, że członkostwo w Unii wiąże się z ograniczeniem suwerenności. Najbardziej obawiano się limitów połowowych i upadku rybołówstwa, które jest filarem gospodarczej niezależności Islandii. Dla miejscowej ludności wymowny był przykład Irlandii – ograniczenia połowów doprowadziły do zapaści tamtejszy sektor rybacki. Dobrej reklamy Unii z pewnością nie zrobiły też niedawne obrazki z Ceuty, gdzie tabuny imigrantów przelały się przez granicę przy zupełnej bierności Brukseli.

Debata o członkostwie w Unii podzieliła tamtejsze niewielkie społeczeństwo (400 tys. mieszkańców) niemal na pół. Lewicowy rząd oraz mieszkańcy stołecznego Reykjaviku w większości opowiadali się za powrotem do stołu negocjacyjnego, natomiast konserwatywna opozycja oraz reszta kraju była temu przeciwna. Ostatecznie, z wynikiem 52,8 proc., przy ogromnej frekwencji wynoszącej 82,5 proc., wygrali przeciwnicy Unii.

Wynik islandzkiego referendum można odczytywać jako zwycięstwo lobby połowowego. To by jednak było zbyt proste. Przede wszystkim jest to bowiem objaw kryzysu samej Unii, która nie ma już takiej siły przyciągania jak kiedyś.

Konrad Kołodziejski

Lewica agituje muzułmanów

W Szwecji trwa kampania przed wyborami, zaplanowanymi na 13 września. Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza (SAP) stara się za wszelką cenę powrócić do władzy, którą utraciła cztery lata temu. By dotrzeć do swoich potencjalnych wyborców, prowadzi kampanię wyborczą m.in. w języku arabskim, a także syryjskim, etiopskim, somalijskim oraz dwóch odmianach perskiego.

Główną grupą docelową są imigranci z Afryki i Bliskiego Wschodu, gdyż reklamy polityczne SAP pojawiły się na arabskojęzycznej stronie internetowej Alkompis. Partie lewicy, a także różne instytucje państwowe już wcześniej wykorzystywały tę platformę, by dotrzeć do ludności arabskojęzycznej. W ulotkach, artykułach i klipach wyborczych imigranci są zachęcani do głosowania na socjaldemokratów. W jednej z takich reklam liderka partii Magdalena Andersson obiecuje większe możliwości zdobycia pracy. Liderka lewicy, bezpośrednio odpowiedzialnej za gwałtowny wzrost przestępczości, zapowiada również poprawę pogarszającego się poczucia bezpieczeństwa, a jako zwolenniczka zielonej energii – wsparcie dla rodzin zmagających się z rosnącymi kosztami życia.

W Szwecji od kilku lat coraz powszechniejsze stają się kampanie reklamowe prowadzone w językach innych niż szwedzki. Np. w ub.r. policja prowadziła kampanię rekrutacyjną po arabsku, hiszpańsku i albańsku. W języku arabskim agitują też powiązane z lewicą związki zawodowe.

Szwedzka prawica nieśmiało krytykuje te praktyki, podkreślając, że informacje na temat życia publicznego powinny być przekazywane w języku ojczystym. Problem jest jednak szerszy – media informują np. o rozpoczynającym się ramadanie, nigdy nie wspominając o poprzedzającym Wielkanoc Wielkim Poście.

W Szwecji – podobnie jak we Francji i Wielkiej Brytanii – lewica zawarła nieświęty sojusz z muzułmanami, sankcjonując w ten sposób istnienie społeczeństwa równoległego, w którym zamiast prawa państwowego, obowiązuje szariat, a faktyczną władzę sprawują infiltrujące państwo przestępcze klany.

Maciej Walaszczyk



eprasa.pl 4a9be78ee4

Wenezuela

Naftowy deal



Po wielu miesiącach negocjacji, w które zaangażowana była administracja Donalda Trumpa, zawarto porozumienie w sprawie przyszłości wenezuelskiej ropy naftowej. Umowa przewiduje powołanie podmiotu, w którym Amerykanie będą mieć 55 proc. udziałów, a Wenezuela resztę.

Firma, na czele której stanie Alejandro Betancourt, ma otrzymać prawa do eksploatacji 17 pól naftowych, których zasoby szacuje się na 65 mld baryłek ropy naftowej. Licencje wydobywcze mają zostać udzielone na 100 lat. „Jeśli ta umowa przetrwa kolejne rządy Wenezueli, Trump zagwarantuje Stanom Zjednoczonym strategiczne rezerwy ropy naftowej, wykraczające poza rewolucję łupkową" – powiedział Schreiner Parker z firmy konsultingowej Rystad Energy dziennikowi „The Wall Street Journal". Wspólne przedsięwzięcie ułatwi też inwestycje amerykańskich korporacji naftowych, które do tej pory – mimo obalenia Maduro – nie spieszyły się ze zwiększeniem zaangażowania. W rezultacie wenezuelski sektor wydobywczy pozostawał w zapaści i nie zwiększał swojej produkcji, a cały kraj tkwił w ubóstwie, odczuwając bolesny brak środków na rozwój.

Porozumienie, które w ostatniej fazie osobiście negocjował Donald Trump, rozmawiając z p.o. prezydenta Wenezueli Delcy Rodríguez, wzbudza jednak wiele wątpliwości. Są one związane przede wszystkim ze spółką kontrolowaną przez Betancourta. Udziały w niej ma nabyć rząd Stanów Zjednoczonych, nie wnosząc jednak znaczącego wkładu kapitałowego. Sam Betancourt pełnił do tej pory funkcję pośrednika w wenezuelskich transakcjach energetycznych i ma bliskie powiązania z Rodríguez. Był ścigany za pranie pieniędzy w Hiszpanii i Szwajcarii, nie postawiono mu jednak żadnych formalnych zarzutów. W ciągu ostatnich dwóch lat jego koncern NABEP stał się drugim co do wielkości prywatnym producentem ropy naftowej w Wenezueli, po amerykańskim Chevronie.

Marco Rubio określił umowę mianem „wielkiego sukcesu", a Rodríguez podkreśliła, że przyniesie ona Wenezueli 100 mld dol. inwestycji i ponad 209 mld dol. w podatkach i opłatach, a także przyczyni się do stworzenia tysięcy miejsc pracy. Demokratyczna opozycja w Wenezueli krytykuje jednak umowę, argumentując, że ludzie z kręgu aresztowanego prezydenta Maduro kupili sobie poparcie amerykańskiej administracji, przekazując zasoby, które powinny służyć narodowi. Porozumienie wzbudziło również konsternację w amerykańskim sektorze naftowym, którego przedstawiciele argumentują, że administracja wspiera zagraniczną firmę, która w rezultacie może stać się znaczącym konkurentem dla koncernów ze Stanów Zjednoczonych.

Marek Budzisz



Mali

Spór o okaleczanie kobiet

W Mali trwa kampania medialna i społeczna wymierzona w praktykę okaleczania żeńskich narządów płciowych. W tym afrykańskim kraju aż 89 proc. kobiet w wieku od 15 do 49 lat zostało poddanych obrzezaniu. Państwowe prawo nie zakazuje ani nie nakazuje tego typu zabiegów, są one jednak głęboko zakorzenione tamtejszej kulturze. Z tego powodu władze nie podejmują kroków, aby przeciwdziałać temu procederowi, ponieważ nie chcą się narazić na opór społeczny. Ciężar walki z tą praktyką spoczywa więc głównie na organizacjach pozarządowych, finansowanych z zagranicy.

Wspomniana kampania spotkała się jednak w internecie ze zdecydowaną kontrkampanią, opowiadającą się za obrzezaniem kobiet. Główną twarzą tej medialnej akcji pozostaje islamski kaznodzieja Koué Diakité, mieszkający na stałe w Hiszpanii i korzystający z dobrodziejstw imigracyjnej polityki socjalistycznego rządu Pedra Sáncheza. W przesłaniach do Malijczyków mówi on wprost: „Walka z okaleczaniem żeńskich narządów płciowych usuwa muzułmanina poza islam. Wśród dziesięciu czynów, które czynią muzułmanina niewiernym, znajduje się akt odczuwania niechęci do choćby jednego nauczania Proroka i nie ma co do tego wątpliwości: okaleczanie żeńskich narządów płciowych jest autentyczną nauką islamu. Uważajcie, abyście nie umarli, myśląc, że jesteście muzułmanami, podczas gdy nimi nie jesteście".

W Mali, gdzie 95 proc. ludności stanowią wyznawcy Allaha, tego typu retoryka pada na podatny grunt. W rzeczywistości Koran nie wypowiada się na temat obrzezania kobiet, wśród islamskich uczonych zdania są natomiast podzielone – np. uniwersytet Al-Azhar w Kairze, czyli najbardziej autorytatywny ośrodek teologiczny sunnizmu, wydał orzeczenie, że okaleczanie żeńskich narządów płciowych nie ma podstaw religijnych. W Mali dominuje jednak inna doktryna. Pobożni muzułmanie, chcąc uniknąć wiecznego potępienia, bez wahań i rozterek poddają więc swoje córki obrzezaniu, tym bardziej że jest to zgodne z wielowiekową tradycją ich przodków.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl 4a9be78ee4

Szaleńcy liczą emisje, gospodarka liczy straty

Wrzesień w Brukseli ma swój rytuał. Urzędnicy wracają z plaży, odzyskują poważną bladość i od razu obiecują, że tym razem naprawdę obronią europejską gospodarkę przed skutkami własnych pomysłów. Co roku po wakacjach to samo widowisko. Najpierw sjesta, potem zaklęcia, na końcu nowy harmonogram ocalenia planety.

Do grudnia ma zostać osiągnięty kompromis w sprawie unijnego handlu emisjami EU ETS. Irlandia, która prowadzi prace Rady Europejskiej, twierdzi, że termin jest wykonalny. Wierzy w to ten, kto przez sierpień opalał się z dala od widoku faktury za prąd.

Zasada pozostaje – im mniej darmowego przydziału uprawnień, tym droższy prąd, ogrzewanie, paliwo, nawozy. 30 września zakłady rozliczają emisje z 2025 r. Kto nie zdąży, płaci karę rzędu 130 euro za 1 t, a i tak musi rozliczyć różnicę. Za to tegoroczne pieniądze za darmowe uprawnienia dopiero wpłyną na konta. Najpierw kasują, potem oddadzą część. Może. Oni nazywają to przewidywalnością.

W lipcu Komisja Europejska ogłosiła propozycję reformy i kazała się cieszyć. Tyle że nie ma z czego. Nie dość, że polityka klimatyczna nie zwalnia, to jeszcze dopisali do wypłat warunkowość. Czyli dostaniecie darmowe uprawnienia do emisji CO_2, jeśli będziecie grzeczni.

Rząd Donalda Tuska ogłosił, że Polsce złożono korzystniejszą propozycję. Korzyść polega na tym, że o polskim piecu nadal decyduje ktoś, kto go nie ogrzewa, ale robi to grzeczniej. Rząd Prawa i Sprawiedliwości budował bezpieczeństwo energetyczne, trzymał pieczę nad spółkami Skarbu Państwa i nie udawał, że węgiel, chemię i paliwa zastąpi komunikat napisany między jednym a drugim urlopem. Unia Europejska przypomniała sobie o ucieczce przemysłu dopiero wtedy, gdy po wstrząsie na Bliskim Wschodzie rachunek za energię wrócił z wczasów razem z ministrami.



Komisja Europejska ogłosiła propozycję reformy systemu EU ETS i kazała się cieszyć. Tyle że nie ma z czego. Nie dość, że polityka klimatyczna nie zwalnia, to jeszcze dopisali do wypłat warunkowość. Czyli dostaniecie darmowe uprawnienia do emisji CO_2, jeśli będziecie grzeczni

Liczby psują nastrój powakacyjnego zapału. W 2026 r. do darmowego rozdziału zostaje ok. 432 mln uprawnień, bo część z góry wędruje na unijne fundusze. W br. w branżach objętych cłem od śladu węglowego darmowy przydział spada do 97,5 proc., w przyszłym – do 95, potem – do 90. Rafineria, chemia i ciepłownia mają to sobie doliczyć do ceny, a obywatel do rachunku.

Reszta zielonej liturgii brzmi podobnie. Przepisy o opakowaniach częściowo działają od połowy sierpnia i nawet przewodnicząca Parlamentu Europejskiego nazywa je sztywnymi i szkodliwymi. Wielka ustawa o obiegu zamkniętym zostanie opracowana dopiero pod koniec br., pewnie po kolejnej serii zapewnień, że tym razem będzie to rozwiązanie z głową. Irlandia i Włochy przedłużają okres obowiązywania niższych cen paliwa na stacjach, bo wyborca po urlopie liczy litry, a nie emisje. Polacy dostają od Donalda Tuska benzynową drożyznę i gorzki uśmiech.

Gospodarki nie ratuje kazanie wygłoszone po powrocie z urlopu. Ratuje ją tani prąd, stabilne prawo i przestrzeń na przemysłowe inwestycje. Rząd Prawa i Sprawiedliwości to rozumiał, nawet gdy Bruksela kręciła nosem znad leżaka. Donald Tusk rozumie komunikaty Komisji Europejskiej i kalendarz brukselskich uroczystości – tam chętnie klepią go po plecach za to, że jest grzeczny. Czasem nawet pozwalają na zrobienie wspólnego zdjęcia.

Do grudnia można próbować wydrzeć jeszcze trochę tlenu dla przemysłu i zmniejszyć drożyznę dla Polaków. Potem zostanie sprawozdanie z uratowanej planety i faktura, której nie umorzy nawet najpiękniejsza obietnica z pierwszego dnia po urlopie.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 4a9be78ee4

Piasta, szprychy i siatka



Marta Kaczyńska-Zielińska

Przez większość powojennej historii architektura bezpieczeństwa w Azji Wschodniej i na Pacyfiku bazowała na modelu, który analitycy nazywają piastą i szprychami (hub-and-spokes). W centrum znajdowały się Stany Zjednoczone jako „piasta", a poszczególne kraje regionu – „szprychy" – łączyły się z Waszyngtonem dwustronnymi traktatami obronnymi, nie koordynując swoich działań bezpośrednio między sobą. W 1951 r. Australia podpisała z USA (i Nową Zelandią) traktat ANZUS, w tym samym roku Filipiny zawarły umowę z Ameryką, a Korea Południowa związała się sojuszem ze stanami Zjednoczonymi w 1953 r. Każdy z tych paktów zawierano z odmiennych potrzeb strategicznych – były nimi obawy Australii o bezpieczeństwo na Pacyfiku po II wojnie światowej, dekolonizacja Filipin i ich rola jako przyczółka USA w Azji Południowo-Wschodniej oraz podział Półwyspu Koreańskiego i zagrożenie ze strony Korei Północnej.

W ostatniej dekadzie opisany model zaczął ewoluować w kierunku struktury, określanej przez analityków mianem „latticework" – siatki nakładających się na siebie porozumień dwustronnych, trójstronnych i czterostronnych, w której poszczególne szprychy zaczynają łączyć się ze sobą bezpośrednio, a nie tylko z centralną piastą. Zjawisko to bywa również nazywane „minilateralizmem" – strategią budowania mniejszych, elastycznych grup państw o zbieżnych interesach zamiast polegania na rozległych, sformalizowanych strukturach wielostronnych, które bywają powolne w podejmowaniu decyzji.

Do najbardziej znanych przykładów minilateralizmu w regionie należą Quad (USA, Japonia, Australia, Indie), AUKUS (Australia, Wielka Brytania, USA) czy sojusz USA–Japonia–Korea Południowa. Na tym tle trójkąt Australia–Filipiny–Korea Południowa jest zjawiskiem nowszym i mniej sformalizowanym, ale wyraźnie wpisuje się w omawiany trend. Co istotne, żaden z trzech bloków nie powstał w oderwaniu od USA.

Australia i Filipiny formalizowały swoje „strategiczne" zaangażowanie w lutym 2023 r., kiedy szefowie obrony obu krajów zapowiedzieli coroczne spotkania w celu koordynowania działań wobec rosnącej asertywności Chin na Morzu Południowochińskim. We wrześniu 2023 r. relacje te przekształciły się w formalne partnerstwo strategiczne. Współpraca ma konkretny, operacyjny charakter – w sierpniu 2025 r. strony podpisały Statement of Intent, dotyczący zawarcia Defence Cooperation Agreement, a w sierpniu 2026 r. informowano o znacznym postępie w negocjacjach i planowanym jeszcze w tym roku podpisaniu porozumienia, mającego zinstytucjonalizować regularne spotkania ministrów obrony, poszerzyć zakres wspólnych ćwiczeń wojskowych oraz ułatwić australijskie inwestycje w rozwój filipińskiej infrastruktury obronnej.

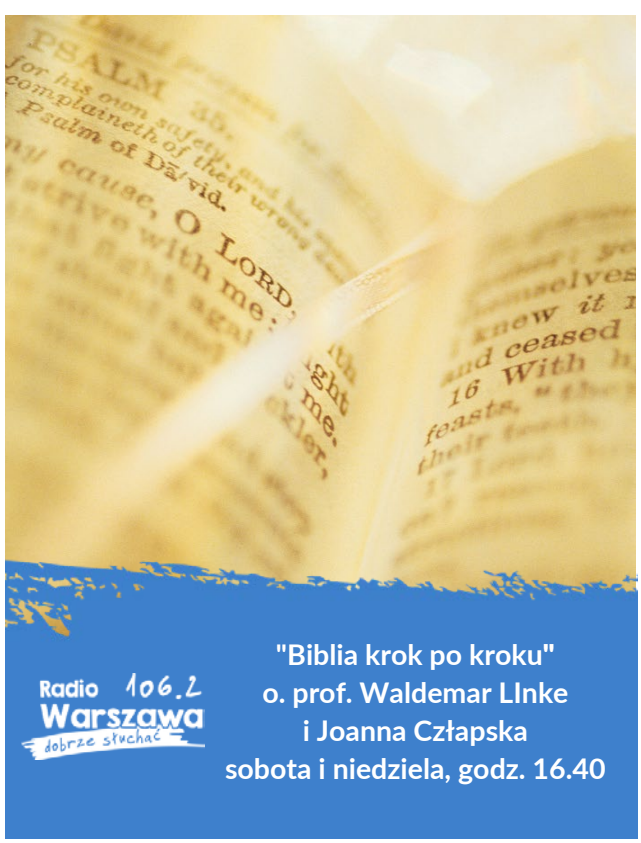
Filipiny i Korea Południowa zawarły porozumienie w 1994 r., uzupełnione o memorandum dotyczące współpracy przemysłowo-obronnej w 2013 r. Przez znaczną część tego okresu współpraca koncentrowała się na modernizacji sił zbrojnych, zakupach uzbrojenia i kontaktach instytucjonalnych, choć stopniowo rozszerzano ją również o współdziałanie operacyjne. Punktem zwrotnym była dostawa 12 myśliwców w 2014 r., w czerwcu 2025 r. podpisano z koreańskim koncernem kolejny kontrakt na 12 zaawansowanych samolotów bojowych.

Relacja Australia–Korea obejmuje zarówno współpracę przemysłowo-obronną i badawczo-rozwojową, jak i wspólne ćwiczenia, ale jej wymiar bilateralny pozostaje mniej rozwinięty niż współpraca obu państw w szerszych formatach wielostronnych.

Najbliżej sformalizowanej struktury łączącej wszystkie trzy kraje (choć wciąż bez Korei) jest nieformalny format Squad – grupa złożona z USA, Japonii, Australii i Filipin, która powstała w czerwcu 2023 r. w Singapurze. Przełom nastąpił w kwietniu 2024 r., gdy siły zbrojne czterech krajów przeprowadziły wspólne patrole morskie w filipińskiej wyłącznej strefie ekonomicznej – pierwsze tego typu wspólne działanie na tle napięć między Manilą a Pekinem.

Dziś Squad jest opisywany jako naturalna kontynuacja wcześniejszych minilateralnych inicjatyw USA z sojusznikami, takich jak AUKUS czy trójkąt Japonia–Filipiny–USA (JAPHUS).

REKLAMA



22/0826/F

eprasa.pl 4a9be78ee4



Walizka Magdaleny Pawlickiej

teatrologa, dziennikarki, reżyser, autorki programu „Zacisze gwiazd”

Najciekawszy jest dla mnie drugi człowiek i to, co dzieje się pomiędzy ludźmi. Niekiedy czuję się jak odkrywca tego, co nienazwane lub nawet nieuświadomione. W każdym jest dobro i piękno. Czasem człowiek nim promienieje, a czasem trzeba się do niego dokopać. „Zacisze gwiazd” było dla mnie podróżą w głąb ludzkiej natury. Moja walizka pęka od przeżyć, przestróg i drogowskazów – recept na dobre, godne życie, a nawet na szczęście.

Z cudowną ekipą „Zacisza gwiazd” przemierzyłam Polskę wzdłuż i wszerz. Jeździliśmy małym busem. Nagranie trwało cały dzień. Poznawaliśmy gospodarzy i bardzo często zaprzyjaźnialiśmy się z nimi. Najciekawsze opowieści zaczynały się dopiero po kilku godzinach rozmowy. W dniu zdjęciowym rano piekłam ciasto, które zabierałam na plan. W Portugalii odwiedziliśmy Bonnie Tyler, we Włoszech Ingrid oraz ponad 100 innych wspaniałych gospodarzy i pięknych ludzi.

Sporo podróżowałam już z rodzicami. Dwa lata spędziłam w północnej Afryce (zrobiłam maturę we francuskim liceum w Tunezji). Czytam książki podróżnicze. Lubię poznawać obce kultury, fascynują mnie obce języki – dzieci śmieją się, że potrafię porozumieć się z każdym z nich, nawet gdy nie znam ani jednego słowa. Ale najlepiej czuję się w polskich miasteczkach i wsiach. Ich mieszkańcy ujmują mnie szczerością, są życzliwi dla napotkanych wędrowców, chętni do pomocy, gościnni.

W najważniejszą podróż zabrał mnie mąż. To podróż do Boga. W moim domu rodzinnym nie było wiary. Maciek był i jest najlepszym człowiekiem, jakiego znam. Chciałam uwierzyć w to, co on. I Bóg podarował mi łaskę wiary.

RÓŻANIEC OD OLGI



Mam ich kilka, ale najbardziej lubię tę dziesiątkę, którą zrobiła dla mnie moja ukochana siostra Olga.

CZARNA MADONNA



Na dziecko czekaliśmy cztery lata. Doradzono mi, by poprosić o pomoc Czarną Madonnę z Montserrat. By zarobić na tę podróż, pracowaliśmy w Londynie. Już było widać klasztor, gdy autobus zawrócił z powodu pożaru lasu. Rozpłakałam się. Ale Madonna usłyszała – rok później urodził się syn. Pojechaliśmy tam, by podziękować, już z trójką dzieci. Też płakałam – ze szczęścia.

Fot. Andrzej Wiktor, prywatne archiwum Magdaleny i Macieja Pawlickiego

eprasa.pl 4a9be78ee4





TEATRALNA STOLICA

Po ukończeniu wiedzy o teatrze w warszawskiej PWST pisałam recenzje teatralne w tygodniku „Stolica". Od lat teatr nie jest już moim zawodem, ale pozostaje pasją.



PRZED OŁTARZEM

Okrągłe rocznice małżeństwa obchodzimy, odnawiając nasz ślub w tym samym kościele Wizytek. Za chwilę będziemy celebrować rocznicę 44. Okrągłą.



ZIOŁA CODZIENNE

Każda pora dnia i roku ma swoje zioła. Rano miłorząb, czystek, ślaz, czarny bez, po południu – rokitnik, lipa, dzika róża, wieczorem – serdecznik, kozłek, głóg, krwawnik. Podróżuję ze swoim sitkiem.

TO, CO NAJWAŻNIEJSZE



„Zacisze gwiazd" – program, który wymyśliłam i prowadziłam w TVP przez 6 lat, 124 odcinki. W swych domach aktorzy, muzycy, sportowcy mówili o tym, co jest dla nich ważniejsze niż oklaski i trofea: o narodzinach dzieci, towarzyszeniu chorym rodzicom, obecności bliskich w trudnych chwilach. Wspomnienia z tych spotkań zawarłam w dwóch książkach.

KĄPIEL NIEMAL MISTYCZNA

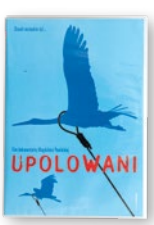


Jedną z największych przyjemności jest kąpiel w jeziorze (lub morzu), koniecznie przed śniadaniem. To przeżycie niemal mistyczne. Na takie poranne mazurskie kąpiele czekam przez cały rok.



ZDROWY DUCH

Lubię się rano gimnastykować, także w podróży, także w hotelu.



UPOLOWANI PRZEZ BANKI

Odwiedziłam ofiary przekrętu „na franka". Ludzi, którzy za sprawą banksterskiego oszustwa stracili mieszkania, zdrowie, rodziny, a nawet życie. Film dokumentalny „Upolowani", wyemitowany w TVP, o godz. 23.00, obejrzało 1,1 mln widzów.



PIĘKNO RZEŹBIONE

W Tunezji pokochałam drewno oliwne, cały świat powinien być z niego zrobiony.

BONNIE NAD OCEANEM



Wielka gwiazda Bonnie Tyler zaskoczyła nas skromnością i życzliwością. Odwiedziliśmy ją w jej letnim domu w Santa Eulalia niedaleko Faro nad portugalskim brzegiem oceanu.

FILM BEZ JACKA



W 1983 r. na gdańskiej ulicy Jacek Stefański grał na flecie „Mury". Za samą melodię bez słów został zabity przez esbeków. Od tej pory jego zespół nazywa się „Bez Jacka" i gra dalej. Trzy lata temu w Gdańsku zaczęłam realizować o tym film, wierzę, że kiedyś go ukończę.



ZBYSZEK WŚRÓD ANIOŁÓW

Zbyszek Wodecki – to był dopiero gość! Poprosiłam go, by poprowadził koncert z udziałem bohaterów „Zacisza gwiazd". Zbyszek zapytał: „Madziu, czyj to jest program? To kto powinien go poprowadzić?". Poprowadziliśmy we dwoje cztery koncerty. Bożonarodzeniowy obejrzało 3,5 mln widzów. Zbyszku, niech ci tam w niebie aniołowie na smykach grają!



Z KS. TWARDOWSKIM POD RĘKĘ

„Kiedy Bóg drzwi zamyka, to otwiera okno". Urzeka mnie jasność, czystość i radość jego poezji. Kiedyś w przedszkolu córek przygotowałam przedstawienie, w którym dzieci mówiły, śpiewały i tańczyły jego wiersze. Ksiądz zechciał je obejrzeć i długo rozmawiał z dziećmi.

Wysłuchał Michał Korsun

eprasa.pl 4a9be78ee4

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Smutna podłość agentury



Jan Pietrzak

Jestem tak stary, że nikogo nie obchodzi moja śmierć, łącznie ze mną. Duże zainteresowanie przejawiają natomiast niemieckie media, coraz częściej zamieszczające komunikaty o moim zgonie. Przyjemne to nie jest, ale przeżyłem już bardziej dotkliwe ataki. Nie sądzę, by taka podłość była zgodna z prawem, ale trudno mi to udowodnić przed sądem. Cytuję: „Smutną nowinę potwierdziła jego żona ze łzami w oczach" – napisał agenciak, który nigdy nie rozmawiał z moją żoną. „Tragiczny finał legendarnego Jana Pietrzaka wstrząsnął fanami i opinią publiczną". Pytałem kilku fanów, czy zostali wstrząśnięci – powiedzieli, że są zmieszani. „Bardzo smutna wiadomość. 15 minut temu. Tragedia i smutny koniec Jana Pietrzaka w wieku 89 lat. Spróbuj nie płakać podczas oglądu". Tak sobie dokazują, ironizując na temat mojej nadchodzącej prędzej czy później śmierci. Wybacz im, Boże, albowiem nie wiedzą, co czynią.

W swoim długim życiu nie zetknąłem się jeszcze z takim traktowaniem kogokolwiek. To tylko trzy anonse wyłapane z morza kłamstw, fejków, bredni, insynuacji i podłości wypisywanych na mój temat. Czym sobie zasłużyłem na tak szczególne zainteresowanie? „Chyba mnie doceniają, łajdaki" – mogę sobie westchnąć na pocieszenie. Strasznie im przeszkadzam, bo trafiam w sedno antypolskiej akcji. No i nie ma mnie kto bronić, bo nie istnieją precedensy. Adwokaci nie wiedzą, jak podejść do takiego przypadku. Jedynie tygodnik „Sieci" ma odwagę, by zamieszczać moje felietony. Serdecznie dziękuję redakcji i czytelnikom. Różne media, w których czasami się pojawiałem, zrezygnowały, kiedy im zagrożono, że stracą reklamodawców, jeżeli będą mnie angażować. Wystraszyli się, koleżkowie mili. Takie czasy.

Jako człowiek nałogowo pracowity wróciłem więc do piwnicy i coś dłubię. Kabaret pod Egidą zaczynał w piwnicy i jakoś przetrwał wstępny etap, od 1967 do 1975 r. Potem z każdym rokiem było gorzej. A jak w 1976 r. zaśpiewałem „Żeby Polska...", ówczesny system postanowił mnie zredukować do zera. Underground to moja specjalność.

Chwała Bogu, w 1980 r. wybuchła Solidarność i nastąpiła reaktywacja mojego kabaretu. Mieliśmy kilka lat świetnych, graliśmy w amfiteatrach, wielkich salach. Publiczność, jak to się mówi, waliła drzwiami i oknami. Dopóki okrągłostołowa kryptonowa quasiwładza nie zorientowała się, że wygadujemy i wyśpiewujemy rzeczy niedopuszczalne, czyli prawdę.

Najbardziej dotkliwy był brak możliwości występów w Warszawie. Wynająłem na stałe dwa lokale w Krakowie i Bytomiu, by regularnie grać, by zespół się nie rozleciał. Piszę o tym, aby uświadomić, że nie tylko Niemcy lubią mnie kasować na różne sposoby. Ziomale też nad tym pracują. Nieustanne oswajanie publiczności z moją śmiercią jest jednak projektem bardziej hitlerowskim niż krajowym. Szkopy ukradli III Rzeczypospolitej liczne media. Mogą tu zaszczuwać, kogo chcą. Relacjonuję tę osobistą sytuację na wszelki wypadek, gdyby w okolicy pojawił się seryjny samobójca! Pogodnych snów!

Minister głupich kroków



Samuel Pereira

Nie ma takiego drugiego wicepremiera. Odpowiada za politykę zagraniczną, która *de facto* nie istnieje, a zarabia jak prawdziwy minister spraw zagranicznych. Radosław Sikorski do doskonałości doprowadził obniżanie oczekiwań. Swojego szefa i swoich wyborców. O poważnych politykach z zagranicy nie mówię, bo oni nie mają już żadnych oczekiwań wobec niego.

A to filmik na TikToku, a to fotka na Instagramie, podszczypywanie prezydenta Karola Nawrockiego – ot, życie pana ministra. A szkoda, bo potencjał zagraniczny Polski jest ogromny. Tymczasem minister od wielkiej polityki zagranicznej coraz częściej wygląda jak minister od małych smuteczków. Sikorski płacze, że ok. 40 kandydatów czeka na podpis prezydenta.

Problem w tym, że jego resort, wysyłając do Kancelarii Prezydenta RP opinię o kandydacie, nie potrafi nawet zadbać o porządne zdjęcie człowieka, którego chce wysłać za granicę. Fotografia była tak niewyraźna, jakby MSZ prowadziło politykę zagraniczną w technice rozmywania obrazu.

„Załączana kopia zdjęcia kandydata nie powinna być wykonywana techniką chiaroscuro" – zakpił minister Przydacz i trudno mu się dziwić, że skorzystał z okazji, by przebić balonik „Radka". Czy to akurat coś ogromnego? Nie. To obraz całego problemu. Jedno zdjęcie. Jeden dokument. Jeden żart. Tyle że z takich drobiazgów składa się obraz państwa. A obraz polskiej polityki zagranicznej jest coraz bardziej niepokojący. Zamiast wzmacniać pozycję Polski i budować koalicje w Europie Środkowej, zamiast walczyć o polskie interesy w Brukseli i Waszyngtonie, mamy teatr personalny. Kto komu nie podpisał nominacji. Kto kogo zaczepił.

Minister spraw zagranicznych powinien być człowiekiem od poważnych spraw. Tymczasem Sikorski coraz bardziej przypomina bohatera skeczu „Ministerstwo Głupich Kroków". Każdy kolejny krok ministra coraz mniej przypomina politykę państwa, a coraz bardziej polityczny content. Marnej jakości.

eprasa.pl 4a9be78ee4

Rachunek nadal leży na stole



1 września 2022 r. na Zamku Królewskim w Warszawie przedstawiliśmy „Raport o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w latach 1939–1945". Był to efekt kilku lat pracy ekspertów, historyków i ekonomistów. Państwo polskie po raz pierwszy tak kompleksowo policzyło skalę strat i wystawiło Niemcom rachunek: ponad 6 bln 220 mld zł.

Raport przerwał wieloletnią politykę milczenia. Sprawa reparacji wróciła do oficjalnych relacji polsko-niemieckich. Polska skierowała do Berlina notę dyplomatyczną, rozpoczęliśmy działania międzynarodowe, a temat odpowiedzialności Niemiec przestał być wyłącznie przedmiotem debaty historycznej. Stał się kwestią polityczną i prawną, od której Berlin nie może już uciec prostym stwierdzeniem, że „sprawa jest zamknięta".

Cztery lata później rachunek nadal leży na stole.

Właśnie dlatego 1 września br. w Parlamencie Europejskim w Brukseli otworzyliśmy wystawę „Plundered by Germans. Never Returned". Przy widocznym bardzo dużym niezadowoleniu niemieckich europosłów przypomnieliśmy Europie o ponad 516 tys. dzieł sztuki i obiektów polskiego dziedzictwa kulturowego zrabowanych przez Niemców. Dziesiątki tysięcy wciąż figurują w polskim katalogu strat wojennych. Wiele znajduje się poza granicami naszego kraju. To nie jest zamknięta historia – to wciąż niezwrócona własność.

Niestety po zmianie władzy w Polsce państwowa presja na Berlin praktycznie zniknęła. Rząd Tuska nie kontynuuje ofensywy dyplomatycznej rozpoczętej po publikacji raportu. Nie słyszymy o nowych inicjatywach międzynarodowych, nie widzimy konsekwentnego stawiania sprawy reparacji podczas rozmów z niemieckimi władzami. Widać zaangażowanie polskich władz w sprawie reparacji, ale od Rosji dla Ukrainy.

Dlatego kontynuuję tę walkę w Parlamencie Europejskim – poprzez wystawy, wysłuchania, publikacje i pytania kierowane do Komisji Europejskiej. Kropla drąży skałę.

Rządy się zmieniają, fakty historyczne nie. Polskie straty nie zniknęły wraz ze zmianą większości parlamentarnej, a niemiecka odpowiedzialność nie wygasła wraz ze zmianą politycznych priorytetów w Warszawie.

Cztery lata temu Polska przedstawiła rachunek. Niemcy go nie uregulowały. A naszym obowiązkiem jest dopilnowanie, aby nikt nie schował go do szuflady.

Arkadiusz Mularczyk

Jeszcze bym pograł



Z Tymonem Bitkowskim, odtwórcą roli króla Maciusia Pierwszego w spektaklu Teatru Telewizji, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

To nie jest twoja pierwsza przygoda przed kamerami, prawda?

Tymon Bitkowski: Dwa lata temu byłem w „The Voice Kids". Potem wystąpiłem w filmie dokumentalnym dla TVP Polonia – „Przykazanie miłości. Historia rodziny Ulmów z Markowej". Zagrałem Władzia, jedno z dzieci. „Król Maciuś Pierwszy" to mój debiut w teatrze i w tak dużej produkcji.

Gratuluję, bo poradziłeś sobie znakomicie. Nie tylko grasz, lecz także śpiewasz, na dodatek w doborowym towarzystwie. Przypomnij, kogo spotkałeś na planie?

Jana Frycza (w spektaklu to prezes ministrów), Marka Kondrata (Stary Doktor). Guwernantkę zagrała Magdalena Popławska, moją mamę, królową – Wiktoria Gorodecka, tatę, króla – Andrzej Konopka. Bardzo podobał mi się kostium Karoliny Gruszki, ministry finansów. Ministrą oświaty była Danuta Stenka. Grali też Borys Szyc i Tomasz Kot. Dużo było tych ministrów. Bardzo polubiłem Macieja Musiała (rola Ochmistrza) i Michała Królikowskiego, Felka.

Czy znałeś wcześniej historię króla Maciusia?

Mama o niej wspominała, ale książkę Janusza Korczaka przeczytałem dopiero, kiedy dowiedziałem się, że zagram w spektaklu „Król Maciuś Pierwszy".

Która cecha Maciusia jest, twoim zdaniem, najważniejsza?

Empatia. To, że chce dla każdego dziecka bardzo dobrze. I mimo że popełnia błędy, jest bardzo pogodny. Bardzo chce mieć przyjaciół i udaje mu się spotkać tego najlepszego, Felka.

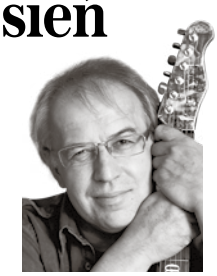
Premiera spektaklu (w reżyserii Tadeusza Kabicza) – 7 września, o godz. 20.55 – rozpocznie nowy sezon Teatru Telewizji. Czy jako król Maciuś Pierwszy będziesz wysoko trzymał głowę?

Nie. To na ekranie jestem królem, a na co dzień – Tymkiem. Oczywiście będę pamiętać, jak wspaniały czas spędziłem na planie. Jeszcze bym pograł, gdybym mógł. Szkoda, że to tak szybko zleciało.

Fot. Xxxxxxx

eprasa.pl 4a9be78ee4

Wrzesień



Przełom lata i jesieni kojarzy się mojej generacji z klęską wrześniową i ze wszelkimi jej konsekwencjami. Gdyby nie agresja Niemiec, wspieranych przez sowiecką Rosję, Polacy uniknęliby hekatomby. Nie byłoby ofiar bombardowań, ostrzałów, głodu i chorób. Nie doszłoby do zbrodni katyńskiej, rzezi wołyńskiej, masakry Woli, ludobójstwa w Piaśnicy i w Ponarach. Nie dymiłyby krematoria KL Auschwitz-Birkenau, nie powstałyby obozy zagłady w Treblince, Bełżcu, Sobiborze, Stutthofie, Majdanku, Gross-Rosen. W Łodzi nie utworzono by przedsionka piekła, czyli obozu pracy dla polskich dzieci. Nie ubyłoby nam 6 mln obywateli. Nie wywieziono by z kraju (w celu germanizacji) 200 tys. blondwłosych i niebieskookich polskich dzieci. Nie rozkradziono by (pod patronatem III Rzeszy) dorobku pokoleń Polaków. Nie trafilibyśmy też na pół wieku pod sowiecką, rabunkową okupację, podczas której dorżnięto resztki naszych elit i skundlono znaczną część narodu.

Kiedy dziś, opisując nadchodzące zagrożenia (w wierszu, prozie, balladzie, w bezpośredniej rozmowie), próbuję podzielić się z młodymi ludźmi swymi obawami, napotykam na mur niezrozumienia. W tzw. feedbackach otrzymuję zwykle komunikaty typu: „nie stresuj nas", „teraz są inne czasy", „bawmy się, żyjmy chwilą", bo przecież „i tak nic od nas nie zależy". Mentalność gotowanej w garnku żaby jest powszechna. A jedyną alternatywą – wyjazd z „tenkraju". Dokąd? Bruksela? Sztokholm? Może przedmieścia Paryża?

Zastanawia wiele pretensji, wysuwanych przez pokolenia zrodzone już w wolnej Polsce pod adresem swych poprzedników. Za co? Za niespotykany przedtem dobrobyt, który im zapewniliśmy, ciężko nań pracując? Za to, że zostawimy im dorobek swego życia? Czy za to, że w ogóle chcieliśmy mieć dzieci?!

Ale „to se nevrátí", jak śpiewa Maryla Rodowicz. Cóż, „każde pokolenie ma własny czas" (zespół Kombii). I własną hekatombę, po której tym razem zniknie cały naród z ponadtysiącletnią historią.

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Mural Andrzeja Zauchy odsłonięto w Krakowie



Fot. PAP

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: POLSKI KOMITET OLIMPIJSKI/FACEBOOK, LIUDMYLA SKWARCZYNSKA, PAP/LESZEK SZYMAŃSKI, ANDRZEJ WIKTOR x2, MATERIAŁY PRASOWE TVP, SHUTTERSTOCK/USHUAIA STUDIO, WEDMOMENTS.STOCK

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Reklama | 01/0926/F

eprasa.pl 4a9be78ee4

FORUM EKONOMICZNE

DOLNY ŚLĄSK
GŁÓWNY PARTNER

XXXV FORUM EKONOMICZNE

8-10 września
2026

Hotel Gołębiewski
Karpacz



ARCHITEKTURA NOWEGO PORZĄDKU
Stabilność w Czasach Zmian

Forum Ekonomiczne to największa i najważniejsza konferencja w Europie Środkowej i Wschodniej. Już od ponad 30 lat Forum, będące platformą do prowadzenia dialogu, skupia liderów politycznych, gospodarczych i społecznych pochodzących z ponad 60 krajów z całego świata.

3 dni
konferencji

500+
debat

6000+
gości

160 partnerów
biznesowych

eprasa.pl 4a9be78ee4

Złoto Tuska

Aferą Zondacrypto rządzący uderzają w prezydenta Nawrockiego i prawicę, by przeszkodzić w jej zjednoczeniu i wygraniu wyborów



STANISŁAW JANECKI

Ostatnim aktem dramatu dotyczącego upadłej giełdy Zondacrypto, który często zamienia się w tragifarsę, stają się słowa Chochoła, wypowiadane do Jaśka w „Weselu" Stanisława Wyspiańskiego: „Miałeś, chamie, złoty róg, / miałeś, chamie, czapkę z piór: / czapkę wicher niesie, / róg huka po lesie, / ostał ci się ino sznur, / ostał ci się ino sznur". Złotym rogiem jest zamiar, a także niepowtarzalna szansa zohydzenia i korupcyjnego umoczenia polityków prawicy (PiS i Konfederacji) oraz prezydenta Karola Nawrockiego przed wyborami parlamentarnymi w 2027 r. Sznurem miałoby zaś być to, że tę wielką szansę może zmarnować „największy" spośród oskarżycieli – poseł i mecenas Roman Giertych.

31 sierpnia 2026 r. Marek Kęskrawiec napisał w „Tygodniku Powszechnym": „Tusk marnuje polityczne złoto. Związki z Przemysławem Kralem mogą być katastrofą dla wielu ludzi prawicy. Aż trudno uwierzyć, że premier marnuje potencjał afery, czyniąc twarzą działań państwa kogoś, komu nie ufa ponad połowa Polaków". Chodzi oczywiście o Romana Giertycha. To ma być afera, która zdecyduje o wyniku wyborów parlamentarnych w 2027 r. Dlatego decyzją Donalda Tuska ma być „hodowana" i podtuczana aż do ciszy wyborczej w przeddzień głosowania. I ma uderzać w prezydenta Karola Nawrockiego jako tego, kto mógłby zjednoczyć prawicę, a tym samym zwiększyć jej szanse na pokonanie obozu Tuska.

Aby osiągnąć swoje cele, Tusk z Giertychem muszą wmówić Polakom (udowodnienie czegokolwiek nie ma tu znaczenia), że prezydent Nawrocki był i jest na pasku kryptowalutowych baronów i lobbystów. Dlatego wedle tej opowieści już trzykrotnie zawetował ustawę regulującą rynek kryptowalut, a jego wersja przepisów w istocie powstała w gabinecie Przemysława Krala, prezesa Zondacrypto.

Zrobienie z Krala „małego świadka koronnego" (ostatecznie zdecyduje o tym sąd, a nie prokuratura) ma sprawić, że w końcu „przypomni" on sobie szczegóły lobbingu, czy wręcz układu z ludźmi prezydenta, a jak głębiej pogrzebie w pamięci, to może jeszcze opowie o zaangażowaniu samego Karola Nawrockiego.

Scenariusz Tuska i Giertycha na pogrążanie w pierwszej kolejności prezydenta Nawrockiego, a w drugiej prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, w ogóle nie musi trzymać się rzeczywistości. Ważnym elementem tego scenariusza jest obsadzenie w roli łączników z Zondacrypto: w przypadku prezydenta – szefa PKOl Radosława Piesiewicza, a w przypadku prezesa PiS – posła Michała Moskala, który był szefem gabinetu politycznego Jarosława Kaczyńskiego, gdy pełnił on funkcję wicepremiera w czasie rządów Prawa i Sprawiedliwości.

Podczas konferencji w Juracie (29 sierpnia 2026 r.) prezydent Karol Nawrocki oświadczył, że przeprowadził wewnętrzną weryfikację i jego ministrowie zaprzeczyli, by utrzymywali jakiekolwiek kontakty z przedstawicielami Zondacrypto. Oczywiście oskarżyciele prezydenta, w tym premier Donald Tusk oraz szef MSZ Radosław Sikorski, nie przyjęli tego do wiadomości. Jeszcze mocniej połączyli wetowanie ustaw regulujących rynek kryptowalut z politycznymi korzyściami, które prawica miała czerpać z hojności Zondacrypto jako sponsora kluczowych wydarzeń, np. konferencji CPAC w Rzeszowie, w której brał udział Karol Nawrocki, czy spotkań konserwatystów w USA, na których także był.

KAROL NAWROCKI – WRÓG NUMER 1

Nieprzypadkowo afera Zondacrypto wybuchła z nową mocą wraz z aresztowaniem Radosława Piesiewicza, czyli akurat wtedy, gdy obóz rządzący zmagał się z serią kryzysów wizerunkowych. Afera w Szpitalu Południowym, rekomendowanie członka rządu Macieja Berka do TK, defraudacja pieniędzy dla powodzian przez działaczy KO, wreszcie skandal wokół raportu Barbary Mróz-Gorgoń – wszystko to tworzyło obraz zmęczonej, pozbawionej planu działania władzy, która kroczy ku wyborczej klęsce. I wszystko to ma zostać przykryte przez aferę Zondacrypto.

Pojawiły się jednak obawy, że Giertych zamieni to złoto w tani tombak. Że Tusk i spółka mieli złoty róg, a Giertych może z niego zrobić sznur. Rządzący kompletnie ignorują chronologię wydarzeń i związki przyczynowo-skutkowe. Bo wówczas sprzymierzeńcami Zondacrypto okazują się politycy i in-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 4a9be78ee4



Roman Giertych, Przemysław Kral, Jacek Dubois

stytucje podległe Donaldowi Tuskowi albo te, na których obsadę miał wpływ. Jak wtedy, gdy Zondacrypto była pełnoprawnym uczestnikiem odbywającego się 7–9 maja 2024 r. XVI Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach, w którym uczestniczyli m.in. Ursula von den Leyen i Donald Tusk. Jak wtedy, gdy w kwietniu 2025 r. Ignacy Niemczycki, sekretarz stanu w kancelarii Donalda Tuska, uroczyście otwierał konferencję FinTech & InsurTech Digital Congress, której Zondacrypto była głównym sponsorem i partnerem strategicznym. Jak wtedy, kiedy Zondacrypto była głównym sponsorem The Hack Summit 2025 (13–14 października 2025 r. na Stadionie Narodowym w Warszawie), w którym uczestniczyli wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski, wiceminister obrony Cezary Tomczyk, wiceminister cyfryzacji Dariusz Standerski, szef Dowództwa Komponentu Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni gen. Karol Molenda i jego zastępca, gen. Mariusz Chmielewski. Jak wtedy, gdy w listopadzie 2025 r., kilka miesięcy przed upadkiem Zondacrypto, konferencję ForFin 2025 zorganizowano za jej pieniądze, a uczestnikami – czyli tymi, którzy uwiarygodniali Zondacrypto – byli m.in. Jacek Jastrzębski, przewodniczący Urzędu Komisji Nadzoru Finansowego, i Michał Kobza, członek zarządu Giełdy Papierów Wartościowych.

Warto przypomnieć, że UOKiK wszczął postępowanie wyjaśniające wobec Zondacrypto już 31 stycznia 2025 r., a we wrześniu 2025 r. w sprawę zaangażowała się Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Przez wiele następnych miesięcy z Zondacrypto współpracowały różne polskie instytucje finansowe, a ze szkoleń organizowanych przez giełdę korzystały Ministerstwo Finansów, prokuratura czy policja.

W atakach na prezydenta ignoruje się to, że wejście w życie ustawy wdrażającej unijne rozporządzenie MiCA i wyznaczającej Komisję Nadzoru Finansowego jako organ nadzorczy nie wpłynęłoby na sytuację oszukanych. Niczego by również nie zmieniło w kwestii bankructwa Zondacrypto i strat szacowanych na kwotę od 350 mln do 2 mld zł. Gdy Zondacrypto przeniosła swoją działalność operacyjną za granicę (najpierw na Maltę, potem do Estonii), polska KNF nie miała już bezpośredniej, realnej władzy nad tym zagranicznym podmiotem, a kluczowe decyzje należały do estońskich regulatorów. Żadne nowe ramy prawne wprowadzane w 2025 r. czy na początku 2026 r. nie uzdrowiłyby wieloletnich problemów finansowych spółki. Nawet gdyby prezydent podpisał – jego zdaniem mocno wadliwą – ustawę w pierwszym podejściu, czyli w grudniu 2025 r., na jej pozytywne działanie byłoby o wiele za późno.

Ale trzykrotnie zawetowana ustawa jest tylko jednym z elementów planu pogrążenia prawicy i prezydenta. Nawet dziennikarze Onetu (Andrzej Stankiewicz i Jacek Gądek w podcaście „Stan wyjątkowy") przyznali, że dla

Fot. Liudmyla Skwarczynska, Andrzej Wiktor, Facebook/Polski Komitet Olimpijski, Leszek Szymański/PAP

eprasa.pl 4a9be78ee4



Donald Tusk przyjmuje w prezencie koszulkę Lechii Gdańsk. Giełda Zondacrypto była sponsorem tego klubu

rządzącej koalicji głównym i najbardziej prestiżowym celem politycznym jest prezydent Karol Nawrocki. Uderzenie w jego autorytet ma kluczowe znaczenie. Chodzi o atak m.in. zeznaniami Przemysława Krala. Główną siłę natarcia stanowią Roman Giertych i Jacek Dubois, dlatego w tej sprawie omijany jest prokurator krajowy Dariusz Korneluk. Gra toczy się między Giertychem i Dubois a prokuratorem Markiem Wełną i prokuratorem generalnym Waldemarem Żurkiem. Ci pierwsi chcą, aby Kral miał status świadka koronnego, żeby nie przeszkodziło temu ani jego uwikłanie w dochodzenie w sprawie ewentualnego morderstwa założyciela giełdy Sylwestra Suszka, ani dochodzenie w sprawie kierowania zorganizowaną grupą przestępczą. Motywy tej decyzji są wyłącznie polityczne i najważniejsze jest tu stanowisko premiera Donalda Tuska.

Przygotowanie ataku na prezydenta Nawrockiego komentatorzy Onetu tłumaczą tym, że „dzisiaj jest on jakimś superstar w polskiej polityce. Na prawicy jest najbardziej popularny i cieszy się największym zaufaniem społecznym w Polsce, więc takie uderzenie może być bardzo mocne. Znaczenie Nawrockiego nie ogranicza się do jego osobistych notowań. Prezydent może realnie wpływać na układ sił po prawej stronie sceny politycznej i na poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości. Jeśli Giertych, Żurek uderzyliby w samego Karola Nawrockiego, w jego autorytet, to waga w polityce samego Nawrockiego mogłaby spaść. Szczególnie niebezpieczny dla prezydenta byłby wątek ewentualnego wsparcia kampanii Nawrockiego przez TV Republikę. Udowodnienie, że Republika dilowała z Zondą w ramach pomagania Nawrockiemu, także finansowego, w kampanii, to już jest mocna rzecz”.

LISTA PROSKRYPCYJNA ONETU

Dziennikarze Onetu (Kamil Dziubka i Dominika Długosz) zabawili się w ułożenie listy proskrypcyjnej, czyli „największych bohaterów afery Zondacrypto”. To gotowiec dla Giertych i Żurka, by nie przemęczali się, wymyślając powody nagonki na prawicowych polityków i uzasadniając wtrącenie ich do lochu. Choć prezydenta Karola Nawrockiego umieścili na trzecim miejscu, to on jest faktycz-

Fot. Donald Tusk/x.com

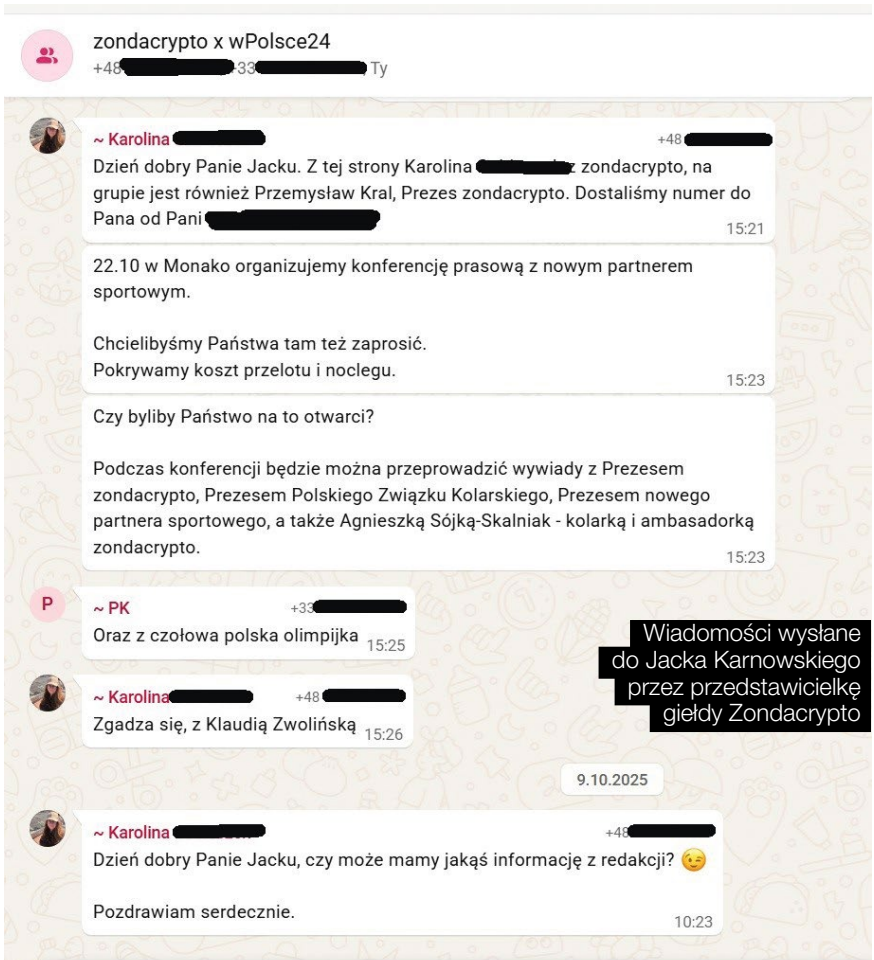
eprasa.pl 4a9be78ee4

nym liderem listy proskrypcyjnej. Bo ponoć „Zondacrypto nieformalnie finansowała kampanię Nawrockiego". Finansowała w ten sposób, że to „Kral zapłacił za organizację międzynarodowej konferencji CPAC w Jasionce pod Rzeszowem, która odbyła się kilka dni przed drugą turą wyborów prezydenckich. Wśród mówców znaleźli się – poza Nawrockim – m.in. ustępujący prezydent Andrzej Duda, były premier Mateusz Morawiecki oraz cała paleta polityków z USA, w tym Kristi Noem, sekretarz bezpieczeństwa w administracji Donalda Trumpa". To porażająco słaby dowód, konferencje CPAC stały się bowiem wręcz rutynowym elementem konserwatywnej agendy, niezależnie od sponsorów. Jeszcze słabszy jest argument o prezydenckich wetach do ustawy o kryptoaktywach, bo najkorzystniejsza dla Przemysława Krala była wersja rządowa.

Onet wzmógł się zwłaszcza przy Radosławie Piesiewiczu (numer 1 na liście), nazywając go „zegarmistrzem Sasina" (to od zegarka Patek Philippe od Krala). Podobno za rządów PiS CBA „badało ich powiązania finansowe", a to dlatego, że Piesiewicz pożyczał Sasinowi pieniądze „na sfinansowanie budowy drewnianych schodów w domu" i dzięki temu „za czasów PiS Piesiewicz stanął na czele PKOl". Czyli posada za schody. Brzmi groteskowo?

Tuż za Piesiewiczem na liście proskrypcyjnej Onetu znalazł się prezes TV Republika Tomasz Sakiewicz, który ponoć „chciał sprzedać Republikę ruskiej mafii". W dodatku tę ruską mafię wykryli sami szefowie stacji i odmówili sprzedaży. Mimo że 25 listopada 2025 r. Tomasz Sakiewicz poleciał do Monako, do transakcji nie doszło. Onetowi było tego za mało, więc oskarżono prezesa Republiki, że „był jednym z głównych lobbystów Zondy na prawicy. I robił za pieniądze Krala kampanię wyborczą Karolowi Nawrockiemu".

Na liście proskrypcyjnej Onetu znalazł się jeszcze Artur Chodziński, określony mianem „agenta [Mariusza – przyp. red.] Kamińskiego" z czasów, gdy ten kierował CBA. W oczach ludzi Onetu Chodziński to prawdziwy demiurg, bo „był m.in. zamieszany w aferę podsłuchową – nagrywanie polityków przez kelnerów – która doprowadziła do utraty władzy przez Platformę Obywatelską w 2015 r.". Chodziński zasłużył na wysokie miejsce na liście, bo to on „prowadził operację przeciwko Romanowi Giertychowi, który był podejrzewany o wyprowadzanie pieniędzy ze spółki Polnord Ryszarda Krauzego". Jest również podejrzewany przez Onet o to, że „prowadzi pod pseudonimami agresywne, wspierające PiS profile w mediach społecznościowych".



> Szefowie telewizji wPolsce24 nawet przez ułamek sekundy nie byli zainteresowani współpracą z Zondacrypto i Kralem, a tym bardziej ich pieniędzmi

Na liście proskrypcyjnej Onetu nie mogło zabraknąć Zbigniewa Ziobry, nazywanego „uciekinierem za kasę Krala", bo ponoć „zgodził się na przyjęcie przez swoją fundację niemal pół miliona złotych od Przemysława Krala". A ponieważ „już przebywając za granicą, pożyczył ze swej fundacji 57 tys. zł", w ten sposób „Ziobro finansował ucieczkę z pieniędzy Krala".

Tuż za Ziobrą jest na liście Przemysław Wipler, nazwany „lobbystą na posyłki", za co ponoć „jego fundacja Dobry Rząd otrzymała od Krala 70 tys. euro, czyli ok. 300 tys. zł".

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 4a9be78ee4

Wiplera ma pogrążać również to, że „był uczestnikiem konferencji CPAC w 2025 r., gdzie gorąco poparł Nawrockiego". Straszne jest też to, że w czasach, kiedy Krala nikt nie ścigał, „należąca do Wiplera spółka public relations i doradztwa medialnego Fiverand pracowała dla Krala", za co „otrzymała 90 tys. euro od kontrolowanej przez Krala czeskiej spółki Expofer Servis House". No i Wipler „odwiedzał Krala w Monako".

Zaraz za Wiplerem na liście proskrypcyjnej znalazł się Michał Moskal, nazywany „dawnym asystentem Kaczyńskiego". Trzeba było to podkreślić, skoro „Kral, Moskal i Chodziński spotkali się w sierpniu 2025 r. na Ibizie". A potem razem z innym ówczesnym posłem PiS, Januszem Kowalskim, „złożył poprawki do rządowego projektu ustawy o kryptoaktywach, zgodnie z interesami Zondy".

Na listę trafił jeszcze Jarosław Stawiarski, nazwany „marszałkiem [woj. lubelskiego – przyp. red.] od załatwiania pracy dla ludzi PiS". Znalazł się na niej chyba dlatego, że ma być „dobrym znajomym Jarosława Kaczyńskiego i zaciekłym wrogiem Przemysława Czarnka". No i przekazał Piesiewiczowi jako prezesowi PKOl „kilkanaście milionów z kasy województwa". A najważniejsze, że „był wraz z synem co najmniej raz na zagranicznym meczu piłkarskim, na który Kral zapewnił im bilety".

W tym proskrypcyjnym zestawieniu znaleźli się również „dziennikarze na liście płac Krala", choć nie pada żadne nazwisko. By ostatecznie pogrążyć wszystkich zajmujących na liście miejsca od 1 do 9, na końcu znaleźli się „gangsterzy, prawdziwi właściciele Zondy".

TELEWIZJA WPOLSCE24 MÓWI „NIE"

Autorzy Onetu, ich koledzy z rządowych mediów oraz politycy będącej u władzy koalicji ani słowem nie zająknęli się na temat tego, po co Przemysław Kral uderzał do polityków PiS, skoro ewentualne korzystne dla niego decyzje zależały wyłącznie od polityków KO. Chyba że uderzał, tylko nie wolno o tym pisać i mówić, bo źli są tylko prezydent Nawrocki oraz politycy PiS i Konfederacji. Ale poczekajmy.


Artur Chodziński

Autorzy Onetu, ich koledzy z rządowych mediów oraz politycy będącej u władzy koalicji ani słowem nie zająknęli się na temat tego, po co Przemysław Kral uderzał do polityków PiS, skoro ewentualne korzystne dla niego decyzje zależały wyłącznie od polityków KO

Nic natomiast nie udało się przykleić do telewizji wPolsce24. Nawet działając na największy „rympał", nie da się podważyć tego, iż szefowie wPolsce24 nawet przez ułamek sekundy nie byli zainteresowani współpracą z Zondacrypto i Kralem, a tym bardziej ich pieniędzmi. Jak ujawnił Jacek Karnowski, redaktor naczelny stacji, dostał propozycję wyjazdu do Monako, gdzie był Kral, ale „ja nie odpowiedziałem, nic nie napisałem, po prostu odczytałem wiadomości. Nie było żadnego kontaktu. To była świadoma decyzja, że my w to nie wchodzimy, bo taka nasza intuicja, że to jest sprawa dziwna, podejrzana". Na ponowną próbę skontaktowania się znowu nie było odpowiedzi. Wystarczyło wiedzieć, z kim nie wolno robić żadnych interesów, a nawet podtrzymywać kontaktu. Inni tego nie wiedzieli, m.in. dlatego znaleźli się na liście proskrypcyjnej Onetu.

Fot. Materiały prasowe UMWM, Shutterstock

eprasa.pl 4a9be78ee4

Dług tego rządu droższy niż wszystkie pieniądze z Unii

Budżet na 2007 r. to finansowa apokalipsa i bardzo niebezpieczna sytuacja. Tak dramatycznych wskaźników nie mieliśmy od 30 lat. Premier Donald Tusk i minister finansów Andrzej Domański są z niego zadowoleni, a prof. Leszek Balcerowicz milczy. Powiem tylko, że w ciągu czerech lat, licząc z budżetem na przyszły rok, wygenerowali 1 bln zł – powtarzam, bilion złotych – deficytu!



Fot. Andrzej Wiktor

Z Januszem Szewczakiem, analitykiem gospodarczym, posłem na Sejm VIII kadencji, członkiem zarządu PKN ORLEN SA w latach 2020–2024, rozmawia Jerzy Szmit

Przez cztery lata w ORLENIE kierowanym przez Daniela Obajtka odpowiadał pan za finanse firmy. Osiągaliście rekordowe zyski. ORLEN stał się wielkim europejskim koncernem energetycznym, odprowadzaliście do budżetu państwa rekordowe kwoty, perspektywicznie inwestowaliście, ogromnymi pieniędzmi wspieraliście polski sport, kulturę, aktywności społeczne.

Janusz Szewczak: W tym czasie wypracowaliśmy ok. 90 mld zł czystego zysku. Wpłacaliśmy do budżetu państwa 60 mld zł rocznie z tytułu podatków i różnych opłat, skonsolidowaliśmy firmę i rozpoczęliśmy wielką ekspansję w Europie Środkowej, łącznie z Niemcami i Austrią. Można powiedzieć, że przeszliśmy przez najtrudniejszy okres z historii gospodarczej ostatnich kilkudziesięciu lat: pandemię COVID-19 i napaść Rosji na Ukrainę. To łącznie było przyczyną szoku cenowego na rynku gazu i ropy naftowej. Poradziliśmy sobie z tym. A przecież Donald Tusk i jego ludzie próbowali wywołać histerię (np. głupimi filmikami).

eprasa.pl 4a9be78ee4

Dzisiaj prokuratorzy ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka nękają was i próbują za to rozliczać.

Tak, jeden ze stawianych zarzutów dotyczy tego, że za czasów Daniela Obajtka ORLEN za tanio sprzedawał paliwo, choć osiągał rekordowe zyski. To chyba jedyny taki przypadek w światowej gospodarce. Odchodząc w lutym 2024 r., zostawiliśmy ponad 21 mld zł czystego zysku. Walne zgromadzenie, powołane już przez rząd Donalda Tuska, przyjęło nasze sprawozdania z tego okresu, ale nie udzieliło absolutorium, wiadomo z jaką intencją. No i rozpoczęło się prokuratorskie polowanie na czarownice.

Od 1 września br. ceny paliw na stacjach znowu wystrzeliły. Wy potrafiliście je utrzymać na rozsądnym poziomie.

Kiedy benzyna 95 kosztowała 6,16 zł, przyszedł Donald Tusk i powiedział, że w ciągu jednego dnia sprawi, iż litr benzyny będzie po 5,19 zł. Ale dzisiaj, gdy rządzi już prawie trzy lata, w wyniku jego decyzji zrobiło się 8,19 zł, a przy na autostradach nawet blisko 9 zł. W ciągu jednego dnia cena wzrosła o złotówkę. Obawiam się, że przy tym sposobie zarzadzania ORLENEM i finansami publicznymi na tym się nie skończy. To łupienie Polaków. Proszę spojrzeć, jak nieudolnie w ostatnim okresie manipulowano cenami paliw. Moim zdaniem, gdy weźmiemy pod uwagę wszystkie czynniki rynkowe i kosztowe, dzisiaj cena mogłaby –bez odczuwalnych strat dla ORLENU – być niższa o 1,5 zł.

Rząd obwinia za podwyżkę cen paliwa prezydenta Karola Nawrockiego.

To absurd. Gdyby prezydent Karol Nawrocki nie skierował ustawy o ponadnormatywnych zyskach do Trybunału Konstytucyjnego, to dzisiaj ceny paliw byłyby jeszcze wyższe, bo takie opłaty są przerzucane na konsumentów. Po tych wrześniowych podwyżkach mielibyśmy benzynę po 9 zł, a diesla po 10 zł za litr. Działając w ten sposób, rząd pokazuje swoją skrajną nieudolność.

W Sejmie był pan wiceprzewodniczącym komisji finansów publicznych. Jak ocenia pan przygotowany przez rząd Donalda Tuska projekt budżetu na 2027 r.?

To finansowa apokalipsa i bardzo niebezpieczna sytuacja. Tak dramatycznych wskaźników nie mieliśmy od 30 lat. Premier Donald Tusk i minister finansów Andrzej Domański są z niego zadowoleni, a prof. Leszek Balcerowicz milczy. Powiem tylko, że w ciągu czterech lat, licząc z budżetem na przyszły rok, wygenerowali 1 bln zł – powtarzam, bilion złotych – deficytu! 1 bln, czyli 1000 mld.

Abstrakcyjna kwota.

Łatwiej zrozumieć, gdy powiem, że to tyle, ile dostaliśmy dotacji i subwencji z Unii Europejskiej przez 22 lata, od początku naszego członkostwa. Po odliczeniu naszej składki otrzymaliśmy ok. 175 mld euro, co oznacza ok. 750 mld zł, więc 75 proc. kwoty, na jaką zadłużył nas Tusk. Tylko w przyszłym roku deficyt budżetu państwa ma wynieść 282 mld zł, a do tego dochodzi zadłużenie samorządów i ta część, która jest ukryta w funduszach pozabudżetowych oraz w BGK. Wszystko wskazuje na to, że w przyszłym roku przekroczymy łącznie 3 bln zł zadłużenia. Odnosząc się proporcjonalnie, skala zadłużenia zbliża nas do najbardziej zadłużonego państwa świata – Stanów Zjednoczonych. Tyle że nie jesteśmy supermocarstwem z największą gospodarką.

> Gdyby prezydent Nawrocki nie skierował ustawy o ponadnormatywnych zyskach do Trybunału Konstytucyjnego, to dzisiaj ceny paliw byłyby jeszcze wyższe, bo takie opłaty są przerzucane na konsumentów. Po wrześniowych podwyżkach mielibyśmy benzynę po 9 zł, a diesla – po 10 zł

A jak to wygląda pod względem wskaźników ekonomicznych?

Według metodyki unijnej liczenia relacji długu do PKB w tej chwili mamy już prawie 62 proc., a pod koniec przyszłego roku, według planowanego w budżecie deficytu na 2027 r., będziemy mieli 70 proc. łącznego długu w relacji do PKB.

Skąd rząd weźmie pieniądze, jeżeli planowane dochody mają być o prawie 300 mld zł niższe od wydatków?

Pożyczy ok. 400 mld zł, choć obawiam się, że to nie wystarczy, bo w ub.r. dochody budżetowe były mniejsze od planowanych o 42 mld zł. Moim zdaniem w tym roku będzie podobnie, więc albo źle liczą, albo nas oszukują.

Ale utrzymanie państwa kosztuje.

Stąd polityka łupienia dużych polskich przedsiębiorców przez podnoszenie obciążeń w podatku CIT, drastyczne uderzenie w małe firmy rozliczające się ryczałtowo. Już wiadomo, że podatek od spółek energetycznych będzie podniesiony o 3 pp. – do 19 proc., a mówi się, że ostatecznie będzie to 30 proc. Za energią pójdzie wzrost cen wszystkiego i każdy to odczuje w rachunkach za prąd oraz inne media, a później we wszystkich towarach i usługach. A przecież drastyczny unijny podatek energetyczny ETS2, choć przesunięty o rok, ma obowiązywać od 1 stycznia 2028 r. A tak już chyba by drażnić ludzi: w przyszłym roku ma nie być ulgi za korzystanie z internetu, co zapewni wpływy do budżetu w wysokości 300 mln zł. Wobec problemów to mało znacząca kwota, ale pokazująca sposób myślenia rządu Donalda Tuska.

W art. 216 ust. 5 konstytucji jest napisane, że jeżeli zadłużenie przekroczy trzy piąte PKB, to nie można zaciągać dalszych zobowiązań i powiększać deficytu.

Ale można manipulować wskaźnikami. W tej chwili deficyt zbliża się do poziomu 55 proc. dlatego, że część ukrywa się

eprasa.pl 4a9be78ee4

w funduszach pozabudżetowych, w tym w BGK. Jest jeszcze 80 mld euro zadłużenia wynikające z KPO, z jego części pożyczkowej. A przecież wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz wbrew konstytucji podpisał pożyczkę, by finansować program SAFE, przeciwko czemu słusznie wystąpił prezydent Karol Nawrocki, pokazując wspólnie z prezesem NBP prof. Adamem Glapińskim inny, lepszy i tańszy projekt finansowania dozbrajania polskiej armii.

A może to, co robi rząd Donalda Tuska, nie jest nieudolnością, tylko świadomym prowadzeniem Polski do wariantu greckiego, czyli bankructwa państwa? Potem wyprzedaż majątku publicznego, zagarnięcie złota NBP i ostatecznie wprowadzenie naszego kraju do strefy euro, czyli pozbawienie tej części suwerenności?

To są bardzo zasadne tezy, mające liczne potwierdzenia. Widok ministra Domańskiego, który na konferencji prasowej rozpaczliwie szuka w notatkach podstawowej informacji, jaki jest deficyt i koszt obsługi długu w budżecie na przyszły rok, a ratuje go asystentka, budzi przerażenie. A przecież to są podstawowe informacje, chodzi o 107 mld zł samych odsetek. Jesteśmy coraz mniej wiarygodni, dlatego musimy podnosić oprocentowanie dziesięcioletnich obligacji skarbowych już do ponad 6 proc. w skali roku. Będziemy więc płacić za pożyczone pieniądze coraz więcej, aby realizować wydatki budżetu, tak jak w Grecji. Na początku lat 90. XX w. gdańscy liberałowie z Januszem Lewandowskim na czele realizowali program masowego wyprzedawania polskiego majątku za grosze. Mają doświadczenie.

Grecję wciągnięto w spiralę zadłużenia.

Dla równowagi przypomnę, że w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy wygenerowany deficyt był kilkakrotnie mniejszy, a w jednym roku udało się zrównoważyć budżet, mimo pandemii COVID-19 i napaści Rosji na Ukrainę. Dzisiaj planowany deficyt tylko na przyszły rok to rekordowe w Europie 7 proc. PKB. Może widząc, że stracą władzę, chcą doprowadzić Polskę do katastrofy, a potem zrzucić winę na rządy prawicy? A dla ratowania państwa trzeba będzie podejmować dramatyczne decyzje, by nie podzielić losów Grecji. Z działania rządu Donalda Tuska nie można wyciągnąć żadnych optymistycznych wniosków.

Pesymistyczne jest także to, że właściwie mamy niekończącą się awanturę, wzniecaną przez obecną władzę.

Przede wszystkim nie ma nawet próby poważnej dyskusji i wspólnego poszukiwania rozwiązań problemów, które zahamują katastrofę demografii, konkurencyjności gospodarki, politykę klimatyczną, komunikacyjną i energetyczną. Mamy ogromny przyrost energii pozyskiwanej ze źródeł odnawialnych, a jej ceny rosną. Przecież miało być odwrotnie! Dlaczego mamy likwidować górnictwo i energetykę węglową, skoro nawet w Unii Europejskiej następuje otrzeźwienie? Jak chronić polskie rolnictwo przed nieuczciwą konkurencją ze strony krajów Mercosur i Ukrainy? Wreszcie – jaką politykę realizować wobec 2 mln Ukraińców już mieszkających w Polsce? Te problemy są fundamentalne, ale ze strony rządu nie ma żadnej woli do dyskusji. Tylko oskarżenia, seanse nienawiści i wyścigi prokuratorów w pisaniu zarzutów oraz składaniu wniosków o uchylenie immunitetu, z prokuratorem generalnym Żurkiem na czele.

Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen przedstawiła pomysł „uruchomienia" prywatnych pieniędzy Europejczyków zdeponowanych w bankach, bo stwierdziła, że one „nie pracują".

To skok na kasę Europejczyków. Szacuje się, że na prywatnych kontach jest ok. 10 bln euro. Dla brukselskich elit to wielka gratka i ratunek. Prowadząc absurdalną politykę, doprowadzili Unię do katastrofalnego zadłużenia oraz niewydolności gospodarczej i społecznej. Wszystko podporządkowali lewackiej ideologii, bez oglądania się na koszty i skutki. Nie chcą odstąpić od absurdalnych, chorych pomysłów i chcą je realizować za prywatne oszczędności obywateli UE.

Przecież to czysty komunizm.

Oczywiście. Powtórzę – kłopoty Unii Europejskiej wynikają z lewackiego zaślepienia ideologicznego. Ale tak łatwo im nie pójdzie. Oszczędności można lokować i inwestować na różny sposób i w różnych miejscach. Nie gódźmy się na ograniczanie obrotu gotówkowego. Pieniądze z Europy wypłyną do Ameryki i Azji. Czyli zaślepione ideologią unijne elity, niepotrafiące już przewidzieć najprostszych ludzkich zachowań, strzelają sobie w kolano albo oficjalnie wprowadzają komunizm. Dzisiejsza Unia Europejska nie ma nic wspólnego z projektami Schumana, Monneta czy Gasperiego. Nie wstępowaliśmy do takiej Unii.

Premier Donald Tusk twierdził, że w Unii „nikt go nie ogra".

On tak twierdzi, ale fakty mówią co innego. Nie dba o polskie interesy. Poza tym, jak można poważnie traktować kogoś, kto mówi, że na pstryknięcie palca może zmienić cenę benzyny na 5,19 zł za litr, a jest już 8,19 zł, wkrótce zaś będzie 9,19 zł? Jednocześnie z kamienną twarzą mówi, że brzydzi się kłamstwem, nie rzuca pustych obietnic i umie odróżnić dobro od zła. Swoim fanatycznym wyznawcom w Polsce może wmówić wszystko i kręcić nimi jak przysłowiową pustą beczką po smole. Ale nawet to grono powoli przeciera oczy i topnieje.

Jakie strategiczne zadanie stoi przed polską prawicą?

Politykę tego rządu trzeba będzie naprawiać przez długie lata. Całe szczęście na polskiej prawicy jest wystarczająco wiele kompetentnych osób, aby tego dokonać. Nie tylko Mateusz Morawiecki znał się na finansach i gospodarce. I na szczęście mamy strażnika naszych portfeli w osobie prezydenta Karola Nawrockiego. Jestem pewien, że woli działania nam nie zabraknie. Musimy ratować nie tylko to, co udało się zrobić w Polsce w ciągu ośmiu lat rządów Zjednoczonej Prawicy, lecz także cały kolosalny dorobek, wypracowany ogromnym wysiłkiem i ofiarami po 1990 r. Świat podziwia nas za efekty naszej pracy, pracowitość, uprzejmość, zaradność życiową, wreszcie za otwartość i gościnność, z jaką przyjęliśmy Ukraińców, uciekających przed rosyjskim agresorem. Nie damy Donaldowi Tuskowi i jego kompanom tego zniszczyć.

eprasa.pl 4a9be78ee4



Dwa kampus

W ostatni weekend sierpnia miało miejsce coś znacznie więcej niż dwa porównywane do siebie spotkania polityków z młodzieżą. Nastąpiło zderzenie dwóch światów, dwóch wizji Polski, dwóch koncepcji przyszłości. Prezydent rozbił w pył przekonanie, że tylko liberalno-lewicowy mainstream ma „sposób na młodych" i wyznaczył nowy kierunek, którego przed nim nie zdołał podjąć nikt

Takiego wydarzenia jeszcze nie było. Po raz pierwszy w historii prezydencka rezydencja w Juracie została otwarta dla zwykłych obywateli. „Chcę wsłuchać się w Wasze potrzeby, rozmawiać o sprawach, które są dla Was ważne, spojrzeć na świat Waszymi oczami" – na to zaproszenie prezydenta odpowiedziało ponad 2 tys. osób. Zgodnie z założeniem w dwudniowym



MARZENA NYKIEL

spotkaniu na Helu wzięło udział ponad 800 młodych ludzi w wieku 18–26 lat. To był ich czas. Prezydent rzeczywiście chciał ich usłyszeć, poznać ich punkt widzenia, odpowiedzieć na ich pytania.

SKOLIM I MSZA ŚW.

Młodzież uczestniczyła w długich rozmowach z parą prezydencką, a także

Fot. campus polska 2026/Facebook

eprasa.pl 4a9be78ee4



y, dwa światy

w licznych dyskusjach z prezydenckimi ministrami oraz przedstawicielami nauki, mediów, kultury i sportu. Program obfitował w prelekcje, debaty i warsztaty: od kursu samoobrony z pierwszą damą po rozmowy przy matchy o kobiecości i macierzyństwie. Uczestnicy wzięli udział we wspólnym biegu z parą prezydencką, warsztatach kulinarnych z szefami kuchni prezydenta i reprezentacji piłkarskiej oraz w strategicznej grze terenowej. Nie brakowało też sportów plażowych i wodnych – od skuterów po siatkówkę. Integracja sprzyjała głębokim rozmowom o mądrej i dobrej przyszłości. Odbyła się również niedzielna msza święta, sprawowana przez ks. Jarosława Wąsowicza, kapelana prezydenta. Choć w ofercie programowej można było przebierać, namiot-kaplica mieszczący blisko 1 tys. osób był niemal pełny.

Nie zabrakło koncertów. Zagrali Skolim, Kubańczyk, WonerS, a także laureaci konkursu chopinowskiego – bracia Hyo i Hyuok Lee. Wszystko to zostało osnute wokół polskości. Konrad Skolimowski, influencer z milionowymi zasięgami, nadwiślański król disco latino, którego teksty może nie należą do ambitnych, ale taneczne piosenki porywają tłumy, szczerze mówił o swoim patriotyzmie. Kubańczyk (Jakub Flas) dzielił się refleksjami nie tylko o muzyce, lecz także odpowiedzialności za przyszłość kraju.

I choć wokół Skolima próbowano rozkręcić aferę, nawet najsłabszy tekst jego piosenki nie pobije żenady, która rozegrała się na imprezie Rafała Trzaskowskiego. Campus Polska Przyszłości został skompromitowany m.in. popisem Mary Spolsky. Nie dość, że wystąpiła z wulgarnym numerem „Jestem suką" i dopuściła się prowokacji z barwami narodowymi, to jeszcze zapowiedziała wejście Rafała Trzaskowskiego słowami: „Poczekajcie, bo ktoś tutaj chce się wpie...lić na scenę". W nagranej później rolce przyznała, że nie skojarzyła, iż zapowiadany przez suflera „gospodarz" to główny organizator wydarzenia. Podobnych wpadek na Campusie było mnóstwo, ale czego się spodziewać po imprezie, na której przed wyborami hasło „je...ć PiS" zdominowało nocne silent disco.

KLUCZ DO MŁODYCH

Kluczowym punktem obu wydarzeń było spotkanie w formule pytań i odpowiedzi – w Juracie z prezydentem,

Fot. Grzegorz Jakubowski/KPRP

eprasa.pl 4a9be78ee4

w Olsztynie z premierem. To zestawienie mówi wszystko.

Buta i arogancja biją z Donalda Tuska nawet wtedy, gdy próbuje grać luzaka. Mimo że PR-owa magia chwili momentami paraliżowała zdrowe reakcje zebranych, którzy klaskali nawet wtedy, gdy premier zapowiadał odebranie im przywilejów podatkowych, to jednak nie zdołano zatrzeć wyraźnego dystansu i sztywności. Jedyna racja należała do mentora na scenie, który – nawet jeśli oddawał głos publiczności – to tylko po to, by się od niego odbić i zachować wyższościową pozycję.

U prezydenta przeciwnie. Naturalność, zaangażowanie, autentyczność, wspólnota. Było to widać nie tylko w słowach, lecz także w gestach, które znacznie trudniej przekłamać. Prezydent zaprosił do siebie młodzież i był razem z nią. Nie wygłaszał mów ze sceny jak premier. Słuchał, dyskutował i rzetelnie argumentował. Wielokrotnie podkreślał, że chce, by młodzi ludzie poczuli sprawczość i zrozumieli rolę, jaką mają do odegrania we własnej ojczyźnie. „Jedno chcę wam przekazać: nie ma przyszłości Rzeczypospolitej – mimo tych znaków zapytania – bez was, bez młodzieży, bez tych, którzy w kolejnych dekadach będą brali odpowiedzialność za to, jak rozwija się Polska" – mówił. I podkreślał, że „tylko połączenie pokoleń daje nam siłę, rozwój i świadomość, że idziemy do przyszłości".

Ta świadomość jest stale obecna w działaniach prezydenta. Powołana przez niego Rada Młodzieży analizowała i opiniowała pięć inicjatyw ustawodawczych. Obecnie przygotowuje projekt ustawy, który jest częścią „Planu 21" i dotyczy bezpłatnych lekcji nauki jazdy w szkołach. Spotkanie w Juracie nie jest więc PR-ową pozą, ale kolejnym krokiem przemyślanych działań.

Karol Nawrocki dokonał czegoś, z czym dotąd prawica nie potrafiła sobie poradzić. Nawet jeśli miała sensownych ludzi w partyjnych młodzieżówkach, często byli wypychani przez zarozumiałych „starych-maleńkich" karierowiczów z silnymi łokciami i słabym kontaktem rówieśniczym. Mimo iż żadna formacja polityczna nie zrobiła dla młodych tak wiele jak Zjednoczona Prawica, nie umiała znaleźć sposobu, by ich za sobą pociągnąć. Prezydent znalazł ten klucz. Rozumie młodych, czuje ich, wie, jak z nimi rozmawiać. Ma syna w ich wieku i poświęcił dotychczasową aktywność zawodową na szukanie sposobów docierania do nich z przekazem historycznym. Już jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej, a potem jako prezes Instytutu Pamięci Narodowej z pasją szukał nowych rozwiązań skutecznego popularyzowania prawdy historycznej i wzbudzania pasji do zdobywania wiedzy o Polsce. Ma też w kancelarii zgrany sztab doskonałych specjalistów, z którymi niejedno przećwiczył w boju. To zaangażowanie i zapał zarażają autentycznością, której nie sposób udawać. Młodzież jest niebywale uczulona na fałsz.

> Campus Polska Przyszłości Rafała Trzaskowskiego i prezydencka Przyszłość.pl to starcie dwóch modeli wychowania przyszłych elit: brukselskiego obozu indoktrynacji z suwerenną kuźnią patriotów i państwowców

FURIA LIBERAŁÓW I LEWICY

Nic dziwnego, że koalicja rządząca wpada w histeryczny popłoch i ciska gromami w prezydenta. Obóz liberalno-lewicowy tkwił dotąd w przekonaniu, że zdominował popkulturę i ma monopol na meblowanie umysłów ludzi młodych. Wydawało mu się, że trend odmóżdżania, rozbrajania świadomości i osłabiania tożsamości trwale zmienił mentalność młodego pokolenia. Ten cel był przecież hojnie finansowany przez organizacje zewnętrzne. Przez lata pieniądze lały się strumieniami z amerykańskiego USAID, z fundacji Sorosa czy Adenauera. Spodziewano się więc sukcesu. Okazuje się jednak, że Campus Polska Przyszłości nie wytrzymuje porównania z prezydenckim projektem Przyszłość.pl. Już samo zestawienie kultury dyskusji i zabawy mówi wszystko.

Rozpętano więc dziką awanturę o finansowanie wydarzenia w Juracie, ale również to porównanie wypada dla Campusu tragicznie. Koalicja Obywatelska grzmi, że prezydent przeznaczył publiczne środki na partyjną imprezę, ale to właśnie ona ściągnęła do Olsztyna cały rząd i wszelkiej maści polityków, finansując Campus nie tylko z funduszy sponsorów, lecz także samorządów. Z doniesień medialnych wynika, że do organizatorów popłynęło z samorządów co najmniej 700 tys. zł. Na stronie jako partnerów wydarzenia wymieniono 17 miast i województw, a także trzy organizacje zależne od samorządów. Na liście znalazły się m.in. Gdańsk, Olsztyn, Łódź, Białystok, Katowice, Opole i Rzeszów oraz kilka województw. Największą kwotę – 300 tys. zł – przeznaczyło województwo warmińsko-mazurskie. Olsztyn, który był gospodarzem imprezy, wydał 150 tys. zł, a przecież jest najbardziej zadłużonym miastem w całym regionie. Inni samorządowi sponsorzy także borykają się z potężnymi problemami, mimo to płacą promocyjny haracz na imprezę Trzaskowskiego. Pełnych kwot jeszcze nie znamy, ale wiadomo, że w 2024 r. wydarzenie Rafała Trzaskowskiego zostało wsparte przez samorządy i jednostki publiczne kwotą aż 923 tys. zł. Ogromne środki płyną dodatkowo od partnerów i sponsorów. Szczególną czujność zawsze budzi obecność pieniędzy z zewnątrz. Campus jest finansowany przez Open Society Foundations, sieć fundacji założoną przez George'a Sorosa, która od lat przeznacza setki milionów na promocję liberalno-lewicowej ideologii.

Polityczna indoktrynacja na Campusie Trzaskowskiego dawno już przekroczyła granice. To tam w 2021 r. Sławomir Nitras snuł realizowany dziś przez Donalda Tuska plan „opiłowania katolików z przywilejów". W 2024 r. bawił się na campusowym silent disco przy skandowanej głośno piosence Cypisa „Jeb...ć

Autopromocja

eprasa.pl 4a9be78ee4

PiS". Towarzyszył mu Adam Szłapka, obecny rzecznik rządu.

Tegoroczny przekaz zdominowała antyprezydencka narracja Włodzimierza Czarzastego i Donalda Tuska oraz zjadliwe wystąpienia Waldemara Żurka czy Barbary Nowackiej. Wykład premiera o kłamstwie sprawił, że niektórzy opuścili salę. Mimo to koalicja 13 grudnia uparcie twierdzi, że Campus Polska Przyszłości nie jest wydarzeniem politycznym, oskarżając jednocześnie o upolitycznienie wydarzenie w Juracie. Zarzuca też Karolowi Nawrockiemu, że wydał na dwudniową imprezę środki z budżetu państwa, a rozmaici eksperci prześcigają się w domysłach, ile trzeba było zapłacić za gaże tak drogich artystów jak Skolim czy Kubańczyk. Czy w takim razie prezydenckie spotkania z Polakami powinny być sponsorowane przez zagraniczne organizacje? Trudno o bardziej patologiczne zakłamanie.

Fakty dotyczące finansowania helskiego spotkania wielu mogą bardzo zdziwić. Rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz mówi, że przygotowywane jest dokładne podliczenie kosztów, ale nie były one wysokie. Zorganizowanie imprezy w ośrodku prezydenckim, liczącym 140 ha, pozwoliło wyeliminować koszty wynajmu. Okazuje się też, że Karol Nawrocki zgromadził wielu ludzi, chcących bezinteresownie włączyć się w to wydarzenie. Np. koło gospodyń wiejskich z Lubelszczyzny przekazało 700 kg mięsa na darmowy posiłek dla młodzieży, a występujący w Juracie artyści nie wzięli żadnych honorariów.

DWIE WIZJE

Campus Polska Przyszłości Rafała Trzaskowskiego zgromadził ponad 1 tys. osób, prezydencka Przyszłość.pl – ponad 800 (limit wyznaczały względy bezpieczeństwa). Każda z tych grup została poprowadzona przez liderów w dwie różne strony. Mimo że obie imprezy miały na celu integrację młodzieży i dyskusję o wyzwaniach stojących przed Polską, proponowane im wizje zupełnie się rozjeżdżają. To starcie dwóch modeli wychowania przyszłych elit: brukselskiego obozu indoktrynacji z suwerenną kuźnią patriotów i państwowców.

Salonowe fajnopolactwo na Campusie jest wykuwane w ideologicznym warsztacie relatywizmu i kosmopolityzmu. Maska pozornego luzu i dowartościowania młodzieży ma przykryć polityczną chęć ulepienia z niej plastycznej masy, podążającej we wskazanym kierunku. Promocja praw mniejszości i integracji unijnej ma pozorować realizację dominującego u młodzieży pragnienia stanowienia. Założeniem Campusu jest polityczna mobilizacja i formowanie wiernego elektoratu, przesiąkniętego niechęcią do prawicy i konserwatywnej wizji świata.

> Obóz liberalno-lewicowy tkwił dotąd w przekonaniu, że zdominował popkulturę i ma monopol na meblowanie umysłów ludzi młodych. Nic dziwnego, że koalicja rządząca wpada w histeryczny popłoch i ciska gromami w prezydenta, który umiał znaleźć klucz do młodych

Prezydent traktuje młodzież podmiotowo. Nie powiela zachodnich wzorców indoktrynacyjnych. Czerpie z własnych doświadczeń i tożsamości narodowej, wskazując na bogactwo polskiego dziedzictwa. Zaprosił młodych, by wsłuchać się w ich głos, zrozumieć, z czym się borykają i uwzględnić tę wiedzę w procesie budowania przyszłości państwa. Nie ma tu jednak żadnej nuty fałszywej kreacji, próby schlebiania gustom, przybierania pozy influencera. Nie ma nadętego pouczania ani infantylnego spuszczania z tonu. Jest zdrowe partnerstwo, zachowujące wszystkie proporcje. Autentyczność prezydenta, jego realna troska o Polskę i Polaków, pociągają. Widać to było w Juracie, widać to na licznych spotkaniach i w sondażach.

Najnowsze badanie United Surveys by IBRiS dla Wirtualnej Polski pokazuje, że tak wysokiego poparcia młodych ludzi nie ma nikt. W najmłodszej grupie badanych – w wieku od 18 do 29 lat – prezydenta ocenia pozytywnie aż 73 proc. ankietowanych. Zaskakujące jest to, że w tej kategorii nikt nie wskazał odpowiedzi „zdecydowanie źle", a negatywną opinię wyraziło zaledwie 7 proc. badanych. Równie wysoki poziom zaufania (73 proc.) Karol Nawrocki notuje wśród 30-latków, gdzie ponad połowa (54 proc.) ocenia go „zdecydowanie dobrze".

Od wieków wiadomo, że *verba docent, exempla trahunt*. Prezydent autentycznie pociąga swoim przykładem. Wspólnie z pierwszą damą niosą swoje życiowe świadectwo, które dla pogubionej w relatywizmie i braku granic młodzieży jest nieocenionym wsparciem. Odpowiada na wewnętrzny i zagłuszany przez mainstream głód autorytetów. Stawia młodzieży odważne wyzwania, zaprasza ich do wspólnej, patriotycznej przygody, budowania silnej, dumnej, pięknej i wielkiej Polski. Ma wszelkie argumenty, by ich przekonać. Ma też rewelacyjne zaplecze – swoich ministrów i ekspertów. W Juracie dokonał całkiem nowego otwarcia i wygląda na to, że rozpoczął realny proces uwalniania młodzieży z ideologicznego pędu ku nicości. Już teraz wiadomo, że to dopiero początek.



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!
prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ DODATKOWO?
Dostęp do e-prenumeraty SIECI
- teraz możesz czytać wygodnie na telefonie lub komputerze

eprasa.pl 4a9be78ee4



Ojcobójstwo w Agorze

Brutalna wojna między zarządem spółki Agora a redakcją „Gazety Wyborczej” trwa już kilka lat. Wygląda na to, że powoli dobiega końca, a finałem będzie całkowita pacyfikacja „Wyborczej” przez zarząd. Prawdopodobnie nawet likwidacja istniejącego już 37 lat tytułu.

Spektakularnym elementem tego finału, choć już bez realnego znaczenia, będzie kompletna degradacja Adama Michnika. Założyciel „GW” i jej wieloletni szef przegrywa kolejne bitwy w wojnie z zarządem. A teraz jest publicznie i celowo upokarzany.

REDAKTOR KONTRA ZARZĄD

Pod koniec sierpnia odbyło się spotkanie zarządu i kierownictwa „GW”. Tematem była sprawa zwolnienia prawników reprezentujących „Wyborczą”, czego chce zarząd, a sprzeciwia się redakcja. „Podczas środowego spotkania Adam Michnik po raz pierwszy zobaczył na żywo, z kim tak naprawdę ma do czynienia. Musiał zrozumieć, że zarząd nawet nie stwarza pozorów, że traktuje go poważnie i darzy elementarnym szacunkiem” – czytamy na branżowym portalu Press. Każdy postulat Michnika był odrzucany lub ignorowany, a forma spotkania była dla niego policzkiem.



PIOTR GURSZTYN

Dla jednych był legendą, autorytetem, guru. Dla drugiej strony, prawicowej, to szarlatan i szkodnik. Adam Michnik. Dziś dla jednych i drugich jest nikim. Stracił jakiekolwiek znaczenie. Bynajmniej nie z powodu wieku. Jego dawni podwładni i wychowankowie całkowicie pozbawili go władzy, a teraz odbierają mu nawet szacunek

Michnik pojawił się tam osobiście, co było zaskoczeniem dla uczestników, bo rzadko bywał na tego rodzaju zebraniach. W trakcie okazało się, że jeden z członków zarządów, Bartłomiej Chmiel, połączył się zdalnie z siłowni. Zostało to odebrane jako przejaw lekceważenia. Na dodatek wypowiadał się w sposób, który przedstawiciele „GW” uznali za bardzo arogancki. Usłyszeli od niego, że nie mają prawa interesować się takimi kwestiami jak obsługa prawna ich redakcji.

Temat prawników „GW” ciągnie się od dłuższego czasu. Już wiele miesięcy temu zarząd podjął decyzję, aby wyrzucić z pracy mecenasa Piotra Rogowskiego. W świecie medialnym to sławna postać. Zawsze reprezentował „Wyborczą” i samego Michnika w procesach przeciwko innym mediom i w ocenie przeciwników procesowych jego zachowanie było odbierane jako niezbyt etyczne. Ale ta wierność nie została doceniona przez zarząd. W jego obronie Michnik i ok. 100 dziennikarzy „GW” napisali list do zarządu. I to też był temat sierpniowego spotkania. Członkini zarządu Aleksandra Sobczak usłyszała pytanie, dlaczego zarząd w ogóle nie odpowiedział na list. Kobieta stwierdziła, że „otrzymuje bardzo dużo korespondencji, mogła coś przeoczyć”. Te słowa mocno wzburzyły Michnika, tak że manifestacyjnie opuścił spotkanie.

Fot. Andrzej Wiktor

Autopromocja

eprasa.pl 4a9be78ee4

Miarą upokorzenia Michnika było to, że Aleksandra Sobczak jeszcze niedawno była jego podwładną, wicenaczelną „GW". Podobnie jak kolejny członek zarządu – Mikołaj Chrzan. Teraz traktują swojego dawnego guru z buta.

Czy Michnik był zaskoczony tą sytuacją? Zapewne nie do końca, bo opisane wyżej starcie było szczególnie ostre, ale nie pierwsze. W swej demaskatorskiej książce o „GW" jej były ważny dziennikarz Marcin Kącki napisał o podobnym zdarzeniu. Była już konfliktowa sytuacja, podczas której Michnik domagał się rozmów z zarządem Agory, a ten odmówił spotkania. Legendarny redaktor pocałował klamkę. Dla kierownictwa spółki Adam Michnik, słynny kiedyś opozycjonista, założyciel „GW", niemal polityczny king maker w pierwszych latach III RP, dzisiaj jest tylko kłopotem. Piątym kołem u wozu.

Od kiedy tak się dzieje? Bo prawica bardzo długo widziała w nim poważne zagrożenie i kogoś, kto ma realny wpływ na naszą rzeczywistość. Przez całe lata tak oczywiście było, ale upadek Michnika nie jest kwestią ostatnich dni. Zaczął się ponad 20 lat temu.

AGORA: BŁĘDY I AWANTURY

Pierwszym symptomem i jednocześnie przyczyną kłopotów wpływowego redaktora okazała się afera Rywina. Charakterystyczne było jedno zdarzenie – kolejność zeznań przed komisją śledczą badającą aferę: najpierw samego Adama Michnika, a potem Jerzego Urbana. Naczelny „GW" w swych zeznaniach umniejszał swoje kontakty z Urbanem, zasłaniając się m.in. niepamięcią. Tymczasem następnego dnia Urban zeznał coś, co ukazało Michnika jako kłamcę. Dawny komunistyczny propagandzista oznajmił, że dzień wcześniej biesiadował z niegdysiejszym opozycjonistą. Wystawna kolacja w damskim towarzystwie odbyła się w rezydencji Urbana. Tamto zestawienie zeznań stanowiło poważny uszczerbek na wizerunku Michnika. I to chyba najbardziej w oczach tych, którzy mieli do niego pozytywny stosunek.

W 2009 r. ukazała się w Polsce biografia Michnika pióra francuskiego autora Cyrila Bouyeure'a. Napisana w sposób życzliwy wobec bohatera książki, odebrana zatem – przynajmniej przez prawicowego czytelnika – jako laurka. Michnik się jednak wściekł. W jego świecie przesłanie książki zostało odebrane inaczej. Był to zawoalowany opis końca potęgi redaktora i jego postępującej marginalizacji. Tego, że był już bezsilny wobec polskiej polityki. A także tego, że młodsze pokolenie jego podwładnych przestało patrzeć na niego jak na guru. Ich zniechęcenie Michnikiem zresztą stale rosło. Finalnie w dzisiejszej Agorze jest on postrzegany przez młodszą część pracowników jako postać groteskowa i nielubiana. „Dziaders", jak mawiają ci młodzi ludzie.

Na to wszystko nałożyły się przyczyny, które można nazwać obiektywnymi – rozwój nowych mediów i błędy całej grupy, czyli Agory. Większość z nich nie jest winą Michnika, ale to one sprawiły, że „Gazeta Wyborcza" – matka całego koncernu – stała się balastem. Kulą u nogi. A dla Michnika „GW" to sprawa życia i śmierci. Wojna była więc nieunikniona.

Wszystkie spółki wokół Agory były pomyślane jako podpórki „Gazety" na wypadek gorszej koniunktury. Ale prasa papierowa jest już przeszłością, podpórki stały się więc głównym biznesem. Choć również one przynosiły straty. Agorze nie udało się otworzyć własnej telewizji, z czym wiązała się afera Rywina. Skądinąd warto zwrócić tu uwagę na charakterystyczne i upokarzające dla „GW" odwrócenie ról. Jej ówczesnym wrogiem, obsadzonym w roli wcielonego zła, był Włodzimierz Czarzasty. Dzisiaj ci sami dziennikarze, którzy wtedy opisywali go w najczarniejszych barwach, robią z nim uniżone wywiady (np. Agnieszka Kublik), sam Czarzasty jest zaś prezentowany w mediach Agory jako postać pozytywna, ważny lider tzw. strony demokratycznej.

Katastrofą okazała się próba wydawania własnego tabloidu „Nowy Dzień". Trzeba było go zamknąć po kilku miesiącach, a złośliwa konkurencja nazywała go tabloidem niskonakładowym. Także inne próby skończyły się źle. W 2018 r. Agora założyła nawet sieć fast foodów – Papa Diego z meksykańskim jedzeniem i Van Dog z hot-dogami. Po dwóch latach musiała to zamknąć, a inne biznesy – sprzedać. Nadal jest właścicielem m.in. największej sieci kin Helios. To też biznes, który zaczyna trącać myszką, więc jeden z multipleksów – w Rzeszowie – został już zamknięty. Agora przejęła 100 proc. akcji grupy radiowej Eurozet, ale to również nie jest biznes przyszłości. Trudności sprawiły, że spółka zaczęła wynajmować powierzchnię biurową w swojej siedzibie przy ul. Czerskiej w Warszawie. Odbyło się to kosztem redakcji „GW", przenoszonej na gorsze piętra, co też było przyczyną głośnych awantur.

Dlaczego zarząd Agory ma zatem finansować „Wyborczą", medium schyłkowe, które dzisiaj jest tylko biuletynem Silnych Razem?

Otwarta wojna domowa ujawniła się pięć lat temu. Latem 2021 r. zarząd Agory poinformował, że chce połączyć stronę internetową „GW", czyli wyborcza.pl, z portalem gazeta.pl. Uzasadnieniem była chęć zakończenia kanibalizacji. Kierownictwo „GW" ostro się temu sprzeciwiło. Adam Michnik zagroził odejściem, ale jednak został. Doszło do nietypowej sytuacji, gdy wyborcza.pl rozpoczęła kampanię „Jedyna i prawdziwa »Gazeta Wyborcza« w internecie to właśnie wyborcza.pl". W odwecie portal gazeta.pl przestał linkować teksty z „GW".

Wspomniani wcześniej Aleksandra Sobczak i Mikołaj Chrzan byli wtedy wicenaczelnymi „GW", więc razem z Michnikiem walczyli przeciw zarządowi. Dzisiaj są po drugiej stronie barykady.



NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?

Płacisz mniej niż w kiosku – tylko 9,40 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)

eprasa.pl 4a9be78ee4

Kilka miesięcy później zarząd zwolnił dyscyplinarnie wydawcę „GW" Jerzego Wójcika, postać bardzo tam wpływową. Michnik i Jarosław Kurski podjęli walkę w jego obronie. Zdecydowali się na kuriozalny, lecz całkowicie nieskuteczny ruch: upublicznili spór, drukując na łamach „GW" manifest przeciw własnemu zarządowi. „Pytamy więc publicznie ten Zarząd [...] czy to Wasza zajadła mściwość, głupota czy błąd. [...] Jedyne, co ludzie z Zarządu mogliby zrobić, to nie wtrącać się, wydzielić »Wyborczą« w osobną spółkę albo odejść. Nie robią ani pierwszego, ani drugiego, ani trzeciego. Oświadczamy więc: kierownictwo »Gazety Wyborczej« całkowicie utraciło do Zarządu Agory zaufanie i składa wobec niego wotum nieufności".

Zarząd się odwinął i wysłał do pracowników e-mail, którego treść szybko wyciekła na zewnątrz. „To spór personalny, a jego osią są sukcesja, władza, pieniądze i oczekiwanie zwiększonych przywilejów dla wybranych osób". Zarząd ujawnił, że Kurski i Wójcik zwrócili się do zarządu z żądaniem nowych warunków pracy. „Ich oczekiwania obejmowały m.in. 12-miesięczne okresy wypowiedzenia, dodatkowe 12-miesięczne odprawy, dodatkowe urlopy zdrowotne, samochody i pełną opiekę medyczną dla rodzin".

Ciekawostka: teksty „GW" są za paywallem, ale manifest Michnika walczącego z własnym zarządem jest dostępny za darmo. Dzięki temu można się zapoznać ze specyficzną poetyką jego polemik: „Zastanawiam się, dlaczego autorzy manifestu Bartosza Hojki [prezesa zarządu – przyp. red.] i innych sięgają po chwyty z czarnej propagandy, znane mi dobrze z Marca 1968 r., z kampanii antysolidarnościowych w epoce stanu wojennego, z seansów nienawiści organizowanych w mediach związanych z obozem politycznym Jarosława Kaczyńskiego. To przecież metody podłe".

Dalszy ciąg był taki, że ktoś nagrał spotkanie z listopada 2021 r., na którym odbyła się kłótnia między kierownictwem „GW" a zarządem Agory. Nagrania wyciekły latem następnego roku, co też stanowiło element wojny domowej wewnątrz koncernu z ul. Czerskiej. „Nie stawiajcie nas pod ścianą, bo się nie cofniemy" – odgrażał się Michnik, a chodziło o to, aby zarząd składał się z ludzi, których kandydatury będą konsultowane z kierownictwem redakcji „GW" (czyli Michnikiem) i przez nie zaakceptowane. Jak wiemy, żądanie Michnika zostało odrzucone.

Inny tekst na stronach „GW", autorstwa Kurskiego i Wójcika, nosi tytuł, który pokazuje, jaka tam panowała i panuje atmosfera: „Wojna Zarządu Agory z redakcją »Wyborczej« wchodzi w fazę czarnego PR".

> Pod koniec sierpnia odbyło się spotkanie zarządu Agory i kierownictwa „Gazety Wyborczej". Każdy postulat Michnika był odrzucany lub ignorowany, a forma spotkania była dla niego policzkiem. Wzburzony manifestacyjnie je opuścił

ZWOLNIENIA I ODEJŚCIA

Jest faktem, że zarząd Agory traktował pracowników grupy w sposób brutalny, szczególnie szeregowych dziennikarzy, a Michnik nie potrafił ich obronić lub był obojętny. Z perspektywy zwykłych pracowników historia „GW" od 2007 r. to dzieje nieustających zwolnień grupowych i słabych zarobków. Niedawno szefowa związków zawodowych w Agorze ujawniła, że tamtejsi dziennikarze muszą dorabiać w McDonaldzie lub Uberze.

Gdy tylko pojawia się możliwość znalezienia lepszej pracy, z „GW" uciekają najbardziej znane nazwiska. Szczególnie MSZ za rządów PO stało się takim przytuliskiem – trafili tam Marcin Bosacki, Marcin Wojciechowski, Paweł Wroński. Konrad Niklewicz jest dzisiaj dyrektorem Tramwajów Warszawskich. Niedawno pojawiła się informacja, że Anna Kalita, autorka ciekawych tekstów o tematyce społecznej, będzie rzeczniczką ZUS.

Podobne wiadomości płyną z radia Tok FM (własność Agory, ale poza grupą Eurozet). To rozgłośnia, która kilka lat temu była swoistym radiowęzłem zakładowym mediów głównego nurtu. Ale nie tylko, strona prawicowa też musiała odnosić się do poranków Tok FM. A dzisiaj? Nie dość, że ta stacja nikogo już nie obchodzi, trwa exodus pracujących w niej dziennikarzy. Odeszło wiele osób, uznawanych za filary tej rozgłośni, m.in. Agnieszka Lichnerowicz, Anna Gmiterek-Zabłocka i Tomasz Stawiszyński. Czytamy o tym na portalu Press: „Czynnikiem frustrującym są żenująco niskie zarobki. Nie dotyczy to tylko samego Tok FM, ale i całej Agory. Są dziennikarze, którzy zarabiają 6 tys. zł brutto" – mówi była wydawca Tok FM". Ale jest też wymiar polityczny tych zmian, co również odnotował Press: „Były wydawca Tok FM: – Jest przesunięcie środka ciężkości do centrum i pod politykę zgodną z polityką rządu Donalda Tuska. Agnieszka Lichnerowicz miała wrażliwość na różnego rodzaju niesprawiedliwości związane choćby z nieprzestrzeganiem praw człowieka. Jej odejście i zdjęcie programu Anny Gmiterek-Zabłockiej sprawiają, że takich narracji będzie zdecydowanie mniej".

Tyle że to nie ma – jak już pisaliśmy – większego znaczenia. Tok FM systematycznie traci słuchaczy, tak jak „Wyborcza" czytelników, a Adam Michnik – swoje dawne znaczenie. Prawica odczuwa Schadenfreude, patrząc na jego upadek. A jest on tym boleśniejszy, że opinie Michnika przestały być ważne także dla świata liberałów i lewicy, czyli ludzi, do których zwracał się przez lata – przekonywał, perswadował, wychowywał. Wszystko poszło jak krew w piach.

eprasa.pl 4a9be78ee4



Polacy jednorazowi

Z życiem w pojedynkę jest jak z diabelskim cyrografem – podpisując go, otrzymuje się złudzenie wolności i nieskończonych możliwości, z czasem jednak daje o sobie znać gigantyczny koszt samotności



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Już przed końcem wakacji posłanka Koalicji Obywatelskiej Magdalena Filiks opublikowała na Facebooku dziwny post, będący czymś w rodzaju oferty albo ogłoszenia. „Moi drodzy, poszukuję »złotej rączki« – o ile ten gatunek nie jest jeszcze zupełnie na wymarciu – to najlepiej adoptuję taką rączkę. Mogę prać, gotować i sprzątać, i podawać »piwo do meczu«. Normalnie pełen pakiet" – napisała. „To się zepsuło, tamto odpadło i tamto nie działa... i wkręcił się sznurek od kosiarki itd., itp. Nie wiem, czy jest dziś taki zawód, bo każdy fachowiec jest od czegoś innego – niedługo ktoś inny będzie kładł kafelki, a ktoś inny fugi, gubię się w tych specjalizacjach. No elektryka ciężko wezwać do wypadających ze ściany kontaktów. Więc szukam kogoś, kto »ogarnia«. Zatrudnię na dożywocie" – podsumowała swój wpis, prosząc zainteresowanych o kontakt przez prywatną wiadomość.

Z jednej strony można pomyśleć, że to niestandardowa oferta matrymonialna („pełen pakiet", „zatrudnię na dożywocie"), a z drugiej, że samotna kobieta po prostu nie daje sobie rady z codziennym utrzymaniem domu i szuka męskiej pomocy. Jedno drugiego zresztą nie wyklucza.

Zjawisko, którego ilustracją jest przytoczony wpis posłanki Filiks, jest jednak znacznie szersze. „Niby śmieszne, ale za kilka lat to będzie realny problem singielek z psieckiem. Hydraulik puknie dwa razy w rurę i skasuje 300, elektryk wymieni żarówkę, ale za 100, a informatyk zrestartuje komputer, ale za pińcet" – tak były poznański radny Tomasz Lipiński skomentował na platformie X ogłoszenie posłanki Filiks.

Współczesna kultura promuje życie w pojedynkę, kusząc rzekomą wolnością i życiem pełnym wrażeń. Są to jednak diabelskie pokusy, bo z czasem okazuje się, że koszty samotnego życia stają się coraz wyższe i trudniejsze do zniesienia. Przy czym nie chodzi tylko o drobne naprawy w domu czy gotowanie obiadów. Człowiek pozbawiony oparcia w rodzinie jest po prostu bezbronny wobec otaczającego go świata.

SINGIEL WYPIERA RODZINĘ

Nie jest łatwo oszacować liczbę osób żyjących w Polsce samotnie. Przeróżne statystyki podają rozmaite dane, w zależności od tego, czy mowa wyłącznie o kawalerach i pannach, czy również o osobach owdowiałych lub rozwiedzionych. W takim ujęciu mówi się najczęściej o 7–10 mln ludzi żyjących bez stałego partnera, przy czym życie bez stałego partnera niekoniecznie oznacza samotność, wielu kawalerów i panien mieszka bowiem razem z rodzicami. Takie szacunki są więc mylące.

Znacznie ciekawsze byłyby dane na temat liczby osób, które decydują się na życie w pojedynkę z własnego, nieprzymuszonego wyboru, a nie wskutek zrządzenia losu. Przy czym nie chodzi tu bynajmniej o ascetów żyjących w celibacie, ale o osoby, które nie zamierzają wchodzić w żadne stałe relacje. Takich danych brakuje – być może dlatego, że musiałyby się one opierać na osobistych wywiadach i byłyby trudne do zweryfikowania. Ale choć twardych danych nie ma, widać pewne tendencje.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 4a9be78ee4

W wielu statystykach używa się pojęcia jednoosobowego gospodarstwa domowego, które obejmuje wszystkie osoby żyjące w pojedynkę – bez względu na przyczyny samotności. W Polsce liczba takich gospodarstw rośnie od wielu lat, a dynamika tego wzrostu należy do najwyższych w Europie. Według danych Eurostatu i Polskiego Instytutu Ekonomicznego w 2025 r. single stanowili 35 proc. gospodarstw domowych w Polsce, podczas gdy w 2006 r. było to 22 proc. W liczbach bezwzględnych to prawie 5,5 mln ludzi.

Takich wzrostów nie da się wytłumaczyć zwykłym zrządzeniem losu, np. rosnącą liczbą osób owdowiałych. Przyczyną nie są również rozwody, które od dziesięciu lat utrzymują się na mniej więcej stałym poziomie 60 tys. rocznie. Za nagły skok samotności odpowiadają zatem osoby świadomie wybierające życie w pojedynkę.

Potwierdzają to również inne dane. Jak informuje Eurostat, rodziny z dziećmi stanowią już mniejszość polskiego społeczeństwa – od 2006 r. do teraz ich udział spadł z 37 do 25 proc. wszystkich gospodarstw domowych. Wynika z tego, że znacznie łatwiej trafić dziś na singla niż na rodzinę z dziećmi.

Konsekwencją tych zmian jest głęboki kryzys demograficzny. Według portalu Birth Gauge, zajmującego się monitorowaniem dzietności na świecie, Polska znalazła się w tej kategorii na ostatnim miejscu w Europie oraz na trzecim od końca wśród krajów OECD (gorszą sytuację demograficzną zanotowano jedynie w Chile i Korei Południowej).



Posłanka Koalicji Obywatelskiej Magdalena Filiks

Fot. Andrzej Wiktor

> W Polsce liczba jednoosobowych gospodarstw domowych rośnie od wielu lat, a dynamika tego wzrostu należy do najwyższych w Europie

ŹRÓDŁO ZYSKU

Dlaczego coraz więcej Polaków nie chce zakładać rodziny i woli żyć samotnie? Odpowiadając na to pytanie, najczęściej mówimy o przemianach cywilizacyjnych, niektórzy dorzucają też kiepskie perspektywy wśród młodych ludzi i brak stabilizacji finansowej.

I choć warunki ekonomiczne stanowią – jak trafnie zauważa część lewicy – bardzo istotny czynnik przy podejmowaniu decyzji o założeniu rodziny i potomstwie, to nie są warunkiem jedynym. Gdyby tak było, nie mielibyśmy żadnego kryzysu demograficznego w rozwiniętych państwach świata i zmagałyby się z nim wyłącznie ubogie kraje Afryki i Azji Południowej. Tymczasem, jak wiemy, jest dokładnie odwrotnie.

Oznacza to, że źródło problemu tkwi w zmianach cywilizacyjnych. Dziś jesteśmy bogatsi niż kiedyś, co powoduje, że znacznie więcej dóbr wydaje się znajdować w zasięgu naszych możliwości. I wielu dokonuje takiego wyboru kosztem założenia rodziny i posiadania dziecka. To problem wszystkich bogacących się społeczeństw.

Samotni ludzie – zarówno mężczyźni, jak i kobiety – są wymarzoną klientelą dla współczesnego biznesu. Nawet jeśli nie zarabiają fortuny, to i tak zawsze zdołają odłożyć na egzotyczne wakacje, samochód, drogie ubrania lub kosmetyki. Znajdą też czas na dodatkowe aktywności. Tymczasem przeciętnej rodzinie zwykle brakuje czasu i pieniędzy na przyjemności, dlatego rodziny są znacznie mniej wartościowym źródłem zysku – w ich przypadku nadmiarowe oszczędności są najczęściej inwestowane w dzieci.

Nic więc dziwnego, że wielki kapitał – ręka w rękę z obyczajową lewicą – promuje dziś życie w pojedynkę i hedonizm. Wmawia się ludziom, że samotność to atut, a nie kłopot. Ta krótkowzroczna strategia jednak zadziwia. Single będą bowiem przynosić zyski, ale tylko do pewnego momentu. Za jakiś czas poumierają i nie pozostawią po sobie potomstwa. Kolejnych klientów już nie będzie, bo obecni po prostu wyginą.

TRIUMF EGOIZMU

Na razie międzynarodowy biznes pompuje swoje kieszenie na sztucznie wykreowanych zachciankach samotnych „zdobywców" tego świata. To doskonali pracownicy, bo nie mają żadnych zobowiązań i są w pełni dyspozycyjni. Nieustatkowany, ale pełen ambicji i głodny życia samotny człowiek jest przecież na wagę złota. Ktoś taki zrekompensuje sobie brak rodziny pracą. Jego ojcem będzie przełożony, a siostrą i bratem – koleżanka i kolega zza biurka obok. Bzdura? Oczywiście, że tak. Ale taki styl jest promowany. Życie tych

eprasa.pl 4a9be78ee4

ludzi jest podporządkowane kolejnym modom i trendom, które odbierają im zdolność do samodzielnego myślenia i dają złudne poczucie wolności wyboru. Idziesz w pojedynkę? Ciesz się pełnią życia.

A na co zamieniają swoją wolność współcześni single? Na zaspokojenie materialnych pragnień? Na spełnienie fantazji seksualnych? To proponują im popularne portale i liberalne media. Kolejnych samochodów, mieszkań oraz partnerów, których kolekcjonowanie jest jakoby głównym zajęciem singli, nie dostaje się jednak za darmo. Dlatego wolność jest zamieniana na służbę karierze, pieniądzom i zagranicznej korporacji.

Dziś wolność – i to nie tylko na Zachodzie – nie jest zobowiązaniem, lecz wyłącznie prawem. I to prawem niepodzielnym. O ile kiedyś wolnym człowiekiem nazywano kogoś, kto dzielił się swoją wolnością z innymi, o tyle dziś wolnym człowiekiem jest ten, kto jest gotów zniewolić siebie i wszystkich innych, byle tylko zagarnąć jak najwięcej. Ale wolność egoisty nie jest prawdziwą wolnością, bo w jego świecie nie ma miejsca dla innych.

Single są produktem prywatyzacji społeczeństwa – ich liczba zaczęła rosnąć w czasie, gdy państwo dobrobytu zawaliło się pod wpływem kryzysu gospodarczego oraz rewolucji obyczajowej. Stali się ucieleśnieniem neoliberalnych przemian, ludźmi zdanymi wyłącznie na siebie i wolny rynek, trenowanymi do nieustannej rywalizacji i walki o przetrwanie. Im jest ich więcej, tym ta walka staje się bardziej bezwzględna. Są zarówno jedną z przyczyn, jak i skutków rozkładu społeczeństwa, w którym przestało się liczyć dobro wspólne, a jego miejsce zajęły egoistyczne interesy i aspiracje jednostek.

POPYT NA SAMOTNOŚĆ

Egoizm jest jednym ze źródeł samotności. Nie chodzi tu jedynie o niezdolność do dzielenia się własnym życiem z inną osobą, lecz także – a może przede wszystkim – o pieniądze. Konsumpcja stała się pokusą tak wielką, że wszystko inne musiało zejść na dalszy plan. Utrzymanie rodziny i wychowanie dzieci kosztują. Czy nie lepiej więc zrezygnować z tych wydatków i przeznaczyć je, na co tylko dusza zapragnie?

Nadwyżka pieniędzy, którą dysponuje singiel, jest doskonałym źródłem zysku dla wielkiego kapitału, który będzie wymyślał nowe coraz to nowsze gadżety i usługi, aby wyczyścić mu konto. Rozejrzyjmy się dookoła. To nie tylko wyprawy do tropików, wypasione auta czy mieszkania „inwestycyjne". To również mnóstwo prostych usług, począwszy od niezliczonych barberów, poprzez śniadaniownie i siłownie, kończąc na pomocy domowej i dostawcach jedzenia. Warto zauważyć, że wiele z tych branż zostało opanowanych przez przyjezdnych z dalekich krajów.

Nadwyżka pieniędzy, którą dysponuje singiel, jest doskonałym źródłem zysku dla wielkiego kapitału, który będzie wymyślał nowe gadżety i usługi, aby wyczyścić mu konto

Wzrost imigracji jest zresztą jedną z konsekwencji rozkładu współczesnego społeczeństwa.

Jednocześnie będą zanikać tradycyjne usługi i rzemiosło. Zamożna klientela – a do takiej należy wielu singli z wyboru – nie będzie przecież oddawała butów do szewca ani lodówki do naprawy, lecz po prostu wyrzuci zużyte rzeczy do śmieci. Niemal wszystko, co produkują dziś współczesne fabryki, jest jednorazowe lub wymaga specjalistycznego serwisu. Tymi, których nie stać na ciągłą wymianę sprzętu, nikt nie będzie się przejmować. Nie ma przecież mowy o tym, aby jacyś nieautoryzowani spece pozbawiali zarobku wielkie koncerny. Nic więc dziwnego, że posłanka Filiks nie może znaleźć „złotej rączki". Takich ludzi jest coraz mniej, a ich usługi będą drożeć. Przy czym i tutaj Polaków zastąpią imigranci.

ŻYĆ DLA OBCYCH

Z życiem w pojedynkę jest jak z diabelskim cyrografem – podpisując, go otrzymuje się złudzenie wolności i nieskończonych możliwości, z czasem jednak daje o sobie znać gigantyczny koszt samotności.

Dla najbogatszych biznes ma już rozwiązanie tego problemu, choć według polskiego prawa jest to nielegalne. Można zamówić sobie surogatkę i kupić od niej dziecko. Płeć i kolor włosów do ustalenia. Na takie „usługi" jest coraz większe zapotrzebowanie, o czym może świadczyć pomysł zorganizowania w połowie września konferencji surogacyjnej w Warszawie, której gospodarzem ma być ukraińska klinika leczenia niepłodności.

Inni, których nie stać na „kupno" dziecka, mogą wypełnić pustkę zwierzęciem – już dziś w polskich domach mieszka ponad 8 mln psów i 7 mln kotów, co robi duże wrażenie, jeśli zestawi się to z liczbą dzieci (do 17. roku życia), których jest zaledwie 7 mln. Nic więc dziwnego, że kliniki weterynaryjne wyrastają jak grzyby po deszczu.

Ani pies, ani kot nie pomogą jednak w codziennym życiu. Nie wyniosą śmieci, nie sprzątną mieszkania, nie pójdą na zakupy ani nie wykręcą przepalonej żarówki. Wszystkie te, wydawałoby się, proste czynności z wiekiem staną się przeszkodą trudną do pokonania. Dlatego już wkrótce czeka nas kolejny wielki boom – na pielęgniarzy i pomoc domową. Oczywiście większość z nich – jak pokazuje doświadczenie Europy Zachodniej – będą stanowić imigranci. I to oni okażą się beneficjentami cudzej samotności, stając się ostatnią pozycją na liście wydatków naszych, wiekowych już singli. Ich pieniądze, które w innych okolicznościach stanowiłyby inwestycję w przyszłość rodziny i dzieci, zostaną pod koniec życia wydane na przypadkowych ludzi, którzy – być może – wytransferują je za granicę do swoich bliskich w dalekich krajach. Żyć dla obcych – to wyjątkowo ponura perspektywa.

eprasa.pl 4a9be78ee4



Jak skończyła się Szczepkowska

„Proszę państwa, 4 czerwca 1989 r. skończył się w Polsce komunizm". To jedno z najbardziej rozpoznawalnych zdań w najnowszej historii Polski. Wypowiedziała je Joanna Szczepkowska w Dzienniku Telewizyjnym, a zdanie, które miało być spontanicznym komentarzem aktorki, z czasem stało się symbolicznym podsumowaniem końca systemu komunistycznego. Szczepkowska została zapamiętana jako osoba, która jednym zdaniem postawiła kropkę nad epoką. Dziś niestety bardziej przypomina łobuza awanturującego się pod budką z piwem



DOROTA ŁOSIEWICZ

Właśnie dlatego trudno przejść obojętnie obok tego, co dziś dzieje się z językiem tej samej osoby. Bo oto aktorka, która stała się symbolem wolności słowa, demokratycznego przełomu i końca komunistycznej opresji, coraz częściej używa języka, który z wolną debatą publiczną ma niewiele wspólnego. Jej przeciwnikiem jest prezydent Karol Nawrocki. I nie chodzi już o ostrą krytykę jego decyzji, poglądów czy działań. Chodzi o serię personalnych obelg, których kulminacją ma być ostatni wpis na Facebooku, w którym głowa państwa została określona słowem na „ch" w kontekście wystąpienia w rocznicę porozumień sierpniowych. „Ty ch...ju. Dzisiaj premierem jest człowiek, który poświęcił młodość polskiej demokracji, a teraz poświęca wszystko, żebyśmy się nie dostali w ręce Rosji. Ty robisz wszystko, żeby osłabić Ukrainę i przybliżyć Rosję do naszego terytorium" – napisała Szczepkowska na swoim profilu na FB.

Jak można napisać w ten sposób o prezydencie własnego państwa? To pytanie nie dotyczy tego, czy Karol Nawrocki zasługuje na krytykę. Każdy polityk, także prezydent, podlega ocenie obywateli. Istnieje jednak różnica między powiedzeniem: „Uważam, że prezydent postąpił źle", a nazwaniem go „chamem", „żulem", „zdrajcą", „szkodnikiem", „człowiekiem bez honoru", a wreszcie – „ch...jem". To już nie jest krytyka – to zwykła pogarda. Co jest dalej?

NAJPIERW BYŁ „CHAM"

Historia bluzgów nie zaczęła się wczoraj. W sierpniu 2025 r., zaledwie kilka dni po objęciu urzędu przez Karola Nawrockiego, Szczepkowska zareagowała na sytuację, w której Donald Tusk musiał czekać na prezydenta w pałacu. Nie ograniczyła się jednak do oceny protokołu czy zachowania gospodarza spotkania. Napisała: „Chamem pan jesteś, panie Nawrocki. Nie żadnym tam człowiekiem z dołów, który poszedł do góry, tylko chamem". A dalej: „Cham na stanowisku prezydenta jest nieszczęściem, ale też ujmą dla państwa". Na końcu pojawiło się efektowne: „Kordian i cham".

To nie była więc krytyka zachowania prezydenta. To był wyrok dotyczący jego charakteru. Szczepkowska zastrzegła wprawdzie, że „nie obowiązują" jej dyplomatyczne zachowania, ponieważ jest „zwykłą obywatelką tego kraju". Tyle że bycie zwykłym obywatelem nie oznacza, że każde słowo automatycznie staje się wartościowe. Demokracja daje obywatelowi prawo do krytyki, nie daje natomiast prawa do używania języka pogardy. Co więcej, Szczepkowska nie jest anonimową internautką. Jest osobą publiczną, aktorką, pisarką, symbolem pewnej części polskiej inteligencji. Jej słowa mają inną wagę niż komentarz przypadkowego użytkownika Facebooka.

Potem pojawiło się określenie „rezydent". Szczepkowska zaczęła konsekwentnie odmawiać Nawrockiemu na-

Fot. MOZCO/Shutterstock.com

eprasa.pl 4a9be78ee4

wet określenia „prezydent". W jednym z kolejnych wpisów zwracała się do niego właśnie jako do „rezydenta". To już nie obelga – to próba odebrania przeciwnikowi politycznej legitymacji na poziomie języka. Można oczywiście powiedzieć: „Nie jest moim prezydentem". To zdanie jest zrozumiałe w demokracji. Ludzie głosują na różnych kandydatów. Ale słowo „rezydent" sugeruje coś więcej: człowieka, który zajmuje budynek, stanowisko czy urząd, ale nie jest prawdziwym prezydentem, tylko uzurpatorem. To język politycznej delegitymizacji. Demokracja ma zaś tę niewygodną cechę, że czasami wygrywa ktoś, na kogo nie głosowaliśmy. A ludzie, którzy nazywają się „demokratami", przeważnie szanują demokrację tylko wówczas, gdy jej rozstrzygnięcia im się podobają.

FURIA SIĘ ROZKRĘCA

W lutym 2026 r. Szczepkowska poszła dalej. Komentując działania prezydenta, stwierdziła: „Jest polityk i jest szkodnik". W rozmowie z Onetem tłumaczyła, że niektórzy nie uznają Nawrockiego za prezydenta, ponieważ chcieli Trzaskowskiego, inni kwestionują wynik wyborów, a „jeszcze inni, bo to po prostu szkodnik". „Szkodnik" jest słowem szczególnym. Nie oznacza przeciwnika. Nie oznacza nawet złego polityka. Oznacza kogoś, kto szkodzi. Człowiek przestaje być wtedy kimś, z kim się spieramy. Staje się kimś, kogo należy usunąć. Tak powstaje język, w którym przeciwnik polityczny przestaje być człowiekiem o innych poglądach, a zaczyna być problemem do usunięcia.

W marcu 2026 r. nastąpiła kolejna eskalacja. Po konflikcie prezydenta z dziennikarzem TVN24 Szczepkowska napisała: „Różnie już pisałam – szacunkowy, rezydent, zdrajca. Ale ludzie! To zwykły żul! Uliczny żul, z takich, co chcą się bić na przystankach, bo im się na chwilę wzmogła adrenalina". To jest już zupełnie inny poziom języka. „Żul" nie jest określeniem politycznym. Nie opisuje decyzji ani poglądów. Jest społeczną obelgą. Ma zdeprecjonować człowieka poprzez przypisanie mu określonego statusu społecznego, sposobu zachowania i kultury. A przecież właśnie kultura miała być jednym z tematów tej historii. To Szczepkowska zarzucała Nawrockiemu, że nie ma nic wspólnego z „kulturą i tradycją naszej ojczyzny". Tymczasem trudno nie zapytać: czy kulturę mierzymy tym, jak elegancko człowiek mówi o osobach, które lubi, czy tym, jak mówi o tych, których nie znosi?

Gdy prezydent zdecydował się na usunięcie okrągłego stołu z pałacu prezydenckiego i przeniesienie go do Muzeum Historii Polski, Szczepkowska nazwała głowę państwa „człowiekiem bez honoru". Ta sama Szczepkowska, która jest przecież częścią historii, do której Nawrocki sam się odwołuje. Jej słynne zdanie o końcu komunizmu było jednym z symbolicznych momentów 1989 r. A kiedy prezydent postanowił podkreślać własną interpretację końca komunizmu i usunął z pałacu okrągły stół, Szczepkowska potraktowała to jako zawłaszczenie historii. Jej krytyka była wówczas bardzo osobista. Komentując przemówienie Nawrockiego i jego stosunek do okrągłego stołu, powiedziała: „To nie jest prezydent mojej Polski, kraju, w którym ja bym chciała mieszkać". To zdanie jest ostre, ale jeszcze mieści się w granicach politycznej polemiki. „To nie jest mój prezydent" – można powiedzieć. „Nie chcę mieszkać w Polsce, którą on reprezentuje" – można powiedzieć. „Nie zgadzam się z jego wizją Polski" – oczywiście też można powiedzieć. Ale od tego do „chama", „żula", „zdrajcy", „człowieka bez honoru" i wreszcie „ch...ja" jest bardzo daleka droga. A Szczepkowska przebiegła ją sprintem.

KIEDY PRZECIWNIK PRZESTAJE BYĆ CZŁOWIEKIEM

Niesprawiedliwe byłoby jednak potraktowanie Szczepkowskiej wyłącznie jako kolejnej osoby, która w przypływie politycznych emocji przekroczyła granicę dobrego smaku. Ona jest czymś więcej. Jest bardzo wyrazistym przykładem zjawiska, które polscy badacze opisali już kilka lat temu. W 2019 r. Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego opublikowało raport dotyczący polaryzacji politycznej. Wnioski były zaskakujące szczególnie dla tych, którzy lubią przedstawiać polską wojnę polityczną jako starcie dwóch równie agresywnych plemion. Okazało się bowiem, że nie wszystkie uprzedzenia rozkładają się symetrycznie. Z badania wynikało, że zwolennicy ówczesnej opozycji mieli bardziej negatywne nastawienie do zwolenników PiS niż wyborcy PiS do swoich politycznych przeciwników. Ówczesna opozycja deklarowała mniejsze zaufanie do drugiej strony i wykazywała większą skłonność do jej dehumanizowania. W omówieniu raportu zwracano uwagę, że właśnie ten wniosek był dla wielu najbardziej zaskakujący.

To ważne, ponieważ w 2019 r. partie dzisiejszej większości były jeszcze opozycją. Dzisiaj sytuacja polityczna jest odwrotna: tamta opozycja jest obozem rządzącym, a PiS znajduje się po stronie opozycyjnej. Ale mechanizm opisany przez badaczy pozostaje aktualny. W raporcie pojawia się pojęcie dehumanizacji, czyli odmawiania przedstawicielom obcej grupy pełni cech ludzkich. I tutaj robi się naprawdę ciekawie. Bo co właściwie robi człowiek, który o politycznym przeciwniku mówi „żul" czy „ch...j"? Nie polemizuje z jego poglądami. Nie ocenia jego decyzji. Niszczy go jako człowieka. Co robi ktoś, kto nazywa człowieka „ch...jem"? W tym określeniu nie ma już absolutnie żadnego argumentu. Jest wyłącznie pogarda.

I właśnie dlatego najnowszy wpis Szczepkowskiej jest czymś więcej niż kolejnym przykładem internetowego chamstwa. Jest idealną ilustracją procesu, który psychologowie społeczni nazywają dehumanizacją. Najpierw przeciwnik jest „nie nasz". Potem jest „zły". Potem staje się „szkodnikiem". Potem „żulem". Potem „zdrajcą". A na końcu zostaje z niego już tylko obelga. Człowiek znika.

I tutaj dochodzimy do paradoksu, który powinien być szczególnie interesujący dla Szczepkowskiej. Jej słynne zdanie z 1989 r. miało znaczenie symboliczne właśnie dlatego, że oznaczało koniec świata, w którym człowiek był podporządkowany systemowi, a jego wartość zależała od tego, po której stronie politycznej się znajdował. Tymczasem dzisiaj aktorka sama tworzy język, w którym polityczny przeciwnik przestaje być pełnoprawnym uczestnikiem wspólnoty. Smutny koniec Joanny Szczepkowskiej.

eprasa.pl 4a9be78ee4



Akt sabotażu na lotnisku w Lipsku. Niemieckie władze oskarżyły o jego przeprowadzenie reżim Putina

Rosyjska „wojna sabotażowa” przeciw Europie

W najbliższych tygodniach i miesiącach Kreml będzie nasilał kampanię terroru wobec państw europejskich, bo ich reakcje na wcześniejsze prowokacje uznał za przejaw słabości i braku zdecydowania. Ma to służyć zmianie nastrojów społecznych. Zastraszeni ludzie mają przeciwstawić się dalszej pomocy Ukrainie



MAREK BUDZISZ

Władze Niemiec oficjalnie oskarżyły Rosję o akt sabotażu na lotnisku w Lipsku, które obsługiwało transporty wojskowe dla Ukrainy. W lipcu znaleziono tam drona z głowicą bojową, który nie wybuchł tylko dlatego, że inny dron, używany – jak sądzą śledczy – do sterowania tym pierwszym, zderzył się ze startującym samolotem i uległ uszkodzeniu. Po dwumiesięcznym dochodzeniu niemieckie władze zidentyfikowały dwóch podejrzanych. Jeden z nich, Rosjanin, posiadający również łotewski paszport, miał odpowiadać za logistykę i był mózgiem całej operacji, a drugi, Białorusin z kryminalną przeszłością, zajmował się „wykonawstwem”.

W sprawie jest też wątek polski, bo dzięki śladom genetycznym udało się powiązać jednego z zamachowców z zagadkowym pożarem w sklepie sieci Leroy Merlin w Łodzi. Latem 2024 r. doszło tam do niegroźnego podpalenia, a dzień później klienci i pracownicy zostali ewakuowani przez antyterrorystów z powodu znalezienia podejrzanego pakunku. Piszę o tym, bo na tym przykładzie wyraźnie widać zarówno to, że sprawcy „trenują”, zanim zostają użyci do przeprowadzenia poważniejszych operacji, jak i to, że ich bazą wypadową często jest Polska. Podobnie było w przypadku skrzynki z bronią i amunicją, odkrytej niedawno w lesie w Brandenburgii, która została tam przywieziona przez mieszkającego

Fot. IMAGO/EHL Media/East News

Autopromocja

eprasa.pl 4a9be78ee4

w Polsce „jednorazowego agenta", zwerbowanego przez rosyjskie FSB.

Według „Der Spiegel", którego dziennikarze powołują się na przecieki ze służb specjalnych, na terenie Unii działają obecnie cztery siatki dywersyjno-wywiadowcze, kontrolowane przez oficerów rosyjskich służb. To by oznaczało, że kampania sabotażu i dywersji dopiero się zaczyna, tym bardziej że Rosjanie wykorzystują rodzimych ekstremistów, często inspirując i finansując ich działania. Ci w grudniu ub.r. podpalili stację transformatorową w Berlinie, co na kilka dni pozbawiło prądu część niemieckiej stolicy. Kilka miesięcy później, w czerwcu, doszło do incydentu w Reutlingen w Badenii-Wirtembergii. Pożar w tamtejszej stacji elektroenergetycznej pozbawił prądu 40 tys. osób i 7,6 tys. budynków. Władze podejrzewały podpalenie, ale sprawców nie udało się ująć. Z kolei w sierpniu nieznani sprawcy użyli skonstruowanych domowym sposobem wyrzutni, aby umieścić miedziane kable na liniach wysokiego napięcia i wywołać w ten sposób zwarcie, które skutecznie doprowadziło do automatycznego wyłączenia bloków energetycznych w elektrowniach Brandenburgii i Nadrenii-Palatynacie.

Kryzys na linii Berlin–Moskwa rozwija się, bo po oskarżeniach i zamknięciu przez rząd Merza konsulatu Federacji Rosyjskiej w Bonn, a także Domu Rosyjskiego w Berlinie, Ławrow zapowiedział likwidację placówek Instytutu Goethego w trzech miastach i konsulatu w Petersburgu. Z kolei Putin oskarżył rząd Merza o spreparowanie dowodów i próbę wzniecenia „antyrosyjskiej histerii" z powodów wewnętrznych. Chodzi o wybory we wschodnioniemieckich landach, gdzie – tak jak w Saksonii-Anhalt – duże szanse na zwycięstwo ma AfD.

Przy okazji kryzysu w relacjach z Moskwą w Niemczech ujawniła się „partia pokoju", czyli zwolenników porozumienia z Rosją, oskarżających Merza i CDU o nierozsądną politykę prowokowania rosyjskiego niedźwiedzia. Zwolennicy porozumienia to nie tylko politycy AfD, lecz także lewicowa Sahra Wagenknecht czy Manuela Schwesig z SPD, mająca szansę na zwycięstwo w Meklemburgii.

Rozpoczynając kampanię sabotażu i zastraszania, Rosjanie pokazują, iż rząd jest nieudolny i nie potrafi zagwarantować bezpieczeństwa, lecz mówią także o porozumieniu – oczywiście o ile Niemcy podejmą właściwą decyzję podczas wyborów. Putin otwarcie mówił o takiej perspektywie na konferencji w kirgiskim Biszkeku, dodając przy tym, że Merz prowadzi politykę lekceważenia interesów narodowych.

ZASTRASZYĆ, ZMIENIĆ NASTROJE, SZPIEGOWAĆ

Na przykładzie Niemiec wyraźnie widać *modus operandi* rosyjskiej polityki wobec państw europejskich. Nie chodzi w niej o agresję czy prowokowanie konfliktów na większą skalę, lecz o wywołanie narastającej presji na społeczeństwo, która ma doprowadzić do zmiany nastrojów i w rezultacie do „rewolucji wyborczej" – oczywiście takiej, w której bez poparcia partii opowiadających się za porozumieniem z Rosją nie będzie można zbudować stabilnego rządu.

Roderich Kiesewetter, pułkownik rezerwy i poseł CDU, uważa, że w najbliższych tygodniach i miesiącach Kreml będzie nasilał kampanię terroru wobec państw europejskich, bo uznał ich reakcję na wcześniejsze prowokacje za przejaw słabości i braku zdecydowania. Podobnego zdania jest Emil Grædholm, szef duńskiego kontrwywiadu, który w rozmowie z dziennikiem „Berlingske" powiedział, że podległe mu służby wykryły plany sabotażu, za którymi stoją Rosjanie. Wśród celów znalazły się firmy zbrojeniowe, w tym pracujące na rzecz Ukrainy, co pozwala zrozumieć, że niedawne podpalenia fabryk dronów w Skarżysku-Kamiennej i Lublinie nie są odosobnionymi przypadkami, lecz elementami większej operacji. Grædholm przyznał, że „chcą nas zastraszyć, abyśmy przestali wspierać Ukraińców i nie wzmacniali własnych zdolności obronnych".

Podobnie wygląda to w Polsce. Elementem zastraszenia była rosyjska rakieta manewrująca, która uderzyła pod Lublinem, a ograniczeniu skłonności do wspierania Ukrainy służy kampania nienawiści, wzmacniana przez prorosyjskie portale, czy naiwnych, często nawet patriotycznie motywowanych obywateli Rzeczypospolitej. W Danii rosyjski *modus operandi* jest podobny, bo jak powiedział szef tamtejszego wywiadu, Rosja próbuje również werbować „zwykłych Duńczyków", którzy często nie wiedzą, że pracują dla Moskwy. „Może się to wiązać z robieniem zdjęć lub nagrywaniem filmów firm lub obiektów, które następnie mogą zostać wykorzystane do celów sabotażu".

Dziś nie ma „niewinnych" czy nieszkodliwych działań, na co zwróciła uwagę Ulrike Franke z think tanku ECFR. Przypomniała sytuację ze stycznia 2025 r., kiedy nad bazą Bundeswehry Schwesing odnotowano pięć przelotów niezidentyfikowanych dronów. Początkowo uważano, że incydent był związany z aktywnością hobbystyczną, ale później ustalono, że najprawdopodobniej stali za nim Rosjanie, a drony „zbierały" i rozpoznawały sygnały telefonów komórkowych szkolonych tam żołnierzy. Po co to Moskalom? Okazuje się, że obsługę systemów Patriot ćwiczyli tam również żołnierze z Ukrainy, więc sporządzenie katalogu indywidualnych cech ich telefonów pozwoliło Rosjanom identyfikować miejsca ich dyslokacji, kiedy już znaleźli się na froncie.

To, co się stało w Schwesing oraz w Lipsku, pokazuje zarówno skalę rosyjskich operacji, jak i to, że często są one planowane przez długie miesiące. Pożary w fabrykach zbrojeniowych w Polsce, Włoszech, Estonii, Słowacji czy eksplozja w Bułgarii – a to tylko wydarzenia z ostatnich kilku miesięcy – wskazują też na wzrost aktywności, czyli skłonność do nasilenia takich działań przez Moskali.



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA SIECI PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?
Tygodnik SIECI odbierasz **już w poniedziałek** ze swojego paczkomatu
Możesz go zmienić na inny np. na czas urlopu

eprasa.pl 4a9be78ee4

NIC NIE WSKAZUJE NA DUŻĄ OPERACJĘ

Alexander Stubb, prezydent Finlandii, pytany przez dziennikarzy dziennika „Bild" o prawdopodobieństwo ataku Rosji na NATO, odpowiedział, że „po prostu nie widzę na to ani dowodów, ani faktów". W podobnym duchu wypowiadał się w ostatnich dniach Kaupo Rosin, szef wywiadu Estonii, który uchodzi za najlepiej poinformowaną w sprawach Rosji służbę w europejskim NATO. Jego zdaniem nie ma dowodów, by Kreml przygotowywał w najbliższym czasie jakąś dużą operację wojskową wymierzoną w Pakt Północnoatlantycki. Z tego powodu niedawna „demonstracja siły" NATO u granic obwodu królewieckiego, czym tak ekscytowali się niektórzy polscy komentatorzy, miała bardziej wymiar polityczny i służyła przygotowaniu wizyty szefa CIA w Moskwie. Zaangażowane w nią było 25–50 samolotów różnych typów i przeznaczenia, a ćwiczenia – jak informowali dziennikarze – miały planowy, a nie nadzwyczajny charakter.

„The Wall Street Journal" i Politico, powołujący się na swe źródła w Białym Domu, napisały, że obecność Ratcliffa w Moskwie była w większym stopniu związana z amerykańskimi planami zakończenia wojny na Ukrainie, niż stanowiła próbę „zniechęcenia" Rosjan do operacji przeciw NATO. Jego misja zakończyła się zresztą niepowodzeniem, bo w świetle tych relacji, kiedy Putin – który odwołał inne spotkania, aby móc ewentualnie rozmawiać z wysłannikiem Białego Domu – dowiedział się, jakie są amerykańskie propozycje, miał zrezygnować z bezpośrednich rozmów. Zostało to odczytane jako rosyjskie „nie" dla propozycji spotkania w trójkącie Trump–Putin–Zełenski, a stanowisko to wzmocniły zarówno deklaracje Pieskowa, który zaznaczył, że obecnie nie ma o czym rozmawiać, jak i intensywny, 60-godzinny rosyjski atak na Kijów, który rozpoczął się zaraz po tym, jak Ratcliff udał się w podróż powrotną.

Putin zamierza nasilić zarówno działania przeciw Ukrainie, jak i to, co Irina Borogan, rosyjska emigracyjna specjalistka, nazywa wojną sabotażową przeciw państwom europejskim. Alexander Stubb, którego mniej niepokoi otwarta agresja wojskowa, zaraz jednak dodaje: „Nie mówię – zrelaksujcie się". Jego zdaniem należy być przygotowanym na różne zagrożenia, ale nie popadać w panikę. Rosjanom – jak argumentuje – zależy na tym, abyśmy stale dyskutowali, „czy zaatakują", bo to raczej demobilizuje, niż skłania do działania. W jego opinii kolejna fala mobilizacji jest możliwa, bo Rosjanie tracą dziś miesięcznie na froncie większą liczbę żołnierzy, niż zgłasza się ochotników. Otwarta agresja na NATO jest jednak mniej prawdopodobna niż eskalacja wobec Ukrainy i nasilenie wojny asymetrycznej w postaci aktów sabotażu w Europie.

> Rosyjska strategia na najbliższe miesiące jest prosta: zwiększając intensywność ataków na Ukrainę, doprowadzić Kijów do krachu finansowego. Wtedy społeczeństwo będzie musiało poradzić sobie bez prądu i ciepła

DOBIĆ UKRAINĘ

Eskalacja wobec Ukrainy już ma miejsce, bo jak napisał Iwan Kyryczewski, dziennikarz „Defence Express" i żołnierz, tylko w ostatnim miesiącu Rosjanie wystrzelili 2,5 tys. dronów Gierań 5. To konstrukcje zaopatrzone w silnik rakietowy, które przemieszczają się z prędkością od 500 do nawet 600 km/h i mają zasięg 900 km. Zmienili też taktykę uderzeń, atakując również w dzień, używając jednorazowo mniejszej liczby środków napadu. Ma to na celu zastraszenie ludności cywilnej, bo alarmy lotnicze są ogłaszane nawet kilkanaście razy dziennie, sparaliżowanie gospodarki, ale przede wszystkim „wyczerpanie" obrony przeciwlotniczej. Im mniej będzie ona skuteczna, tym bardziej prawdopodobne stanie się wprowadzenie przez Rosjan do walki lotnictwa załogowego. Pod koniec sierpnia nad Odessą Rosjanie wznowili operacje swoich Su-57. Nowe drony odrzutowe umożliwią też – ze względu na większy zasięg i prędkość – atakowanie celów na zachodniej Ukrainie. Okolice Lwowa czy Użhorodu nie będą już bezpiecznymi sanktuariami, gdzie lokalizuje się fabryki broni i chroni ludność cywilna. Jeśli wrośnie intensywność uderzeń na zachodniej Ukrainie, to możemy spodziewać się kolejnych „incydentów" w Polsce.

Innym narzędziem eskalacji będą nowe konstrukcje, o których dwa tygodnie temu na konferencji prasowej mówił Wadym Skibicki, zastępca szefa ukraińskiego wywiadu. Jest to dron przeznaczony do „ścinania" słupów wysokiego napięcia, bo w tym celu rosyjscy konstruktorzy umieścili w jego skrzydłach ładunki wybuchowe. Chodzi o to, aby jesienią i zimą nie tylko atakować elektrownie i stacje transformatorowe, lecz także uniemożliwić Ukrainie import energii z krajów ościennych. To oznacza, że niedawne ataki na infrastrukturę energetyczną w Niemczech mogą nie być przypadkowe, bo Rosjanom może zależeć na wywołaniu kryzysu w całej Europie. Wystarczy, że uda im się „wyłączyć" kilka elektrowni, co będzie oznaczało skokowy wzrost cen na rynku kontraktów spotowych. Na dodatek ze względu na wojnę Stanów Zjednoczonych z Iranem niemieckie podziemne magazyny gazu są zapełnione jedynie w 51–53 proc., jak pod koniec sierpnia informowała stacja Deutsche Welle. To o ponad 10 proc. mniej niż europejska średnia i ilość, która nie wystarczy, aby spokojnie przetrwać zimę, zwłaszcza jeśli będzie ona sroga.

Rosyjska strategia na najbliższe miesiące jest prosta: zwiększając intensywność ataków, doprowadzić do sytuacji, w której Ukrainie skończą się pieniądze, a wtedy społeczeństwo będzie musiało poradzić sobie bez prądu i ciepła. Nasilenie wojny sabotażowej w Europie ma natomiast ograniczyć determinację Zachodu do wspierania Kijowa. Wiele wskazuje więc na to, że w najbliższym czasie także w Polsce możemy spodziewać się kolejnych aktów sabotażu.

eprasa.pl 4a9be78ee4



Fot. JENS SCHLUTER/AFP/East News

Zlęknione pokolenie



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Ulrich Siegmund [na zdj.], kandydat na premiera Saksonii-Anhalt, podoba się szczególnie młodym. Tak jak cała Alternatywa dla Niemiec. Dlaczego? Bo młode pokolenie Niemców coraz bardziej boi się o swoją przyszłość

Martin Reichardt stoi na scenie Starego Teatru w Magdeburgu na tle kilku plastikowych dębów oraz niemieckich flag. Na sali widać mnóstwo młodych twarzy. To członkowie „Pokolenia Niemcy" (Generation Deutschland), młodzieżówki Alternatywy dla Niemiec (AfD). Do wyborów w Saksonii-Anhalt pozostało już tylko kilka dni. Reichardt, przewodniczący lokalnych struktur AfD, ma rozgrzać salę, wprowadzić bojowy nastrój. „Odbierzemy zdegenerowanej lewicy władzę nad Niemcami" – krzyczy. Młodzi wiwatują. Gdy po nim na scenę wchodzi Ulrich Siegmund, kandydat AfD na premiera Saksonii-Anhalt, wiwaty zamieniają się w owację na stojąco. Po krótkim przemówieniu Siegmund jest zasypywany selfie i podpisuje liczne egzemplarze magazynu „Der Spiegel" ze swoim zdjęciem i nagłówkiem: „Najniebezpieczniejszy człowiek Niemiec". Jak zawsze jest w dobrym nastroju. Typ idealny, kontaktowy, młody (rocznik 1990), z niesamowitą pamięcią do imion. „Mandy, świetnie wyglądasz" – mówi do jednej dziewczyny. „Znamy się, ty jesteś Udo, prawda?" – pyta młodego chłopaka.

Potem wsiada na swój enerdowski skuter marki Simson KR51 Schwalbe (rocznik 1975) i odjeżdża. Kupił go pierwotnie, by dojeżdżać na praktyki zawodowe. Dzięki specjalnej klauzuli w traktacie zjednoczeniowym może

eprasa.pl 4a9be78ee4

poruszać się z prędkością 60 km/h, tak jak w NRD. Simson to coś więcej niż tylko skuter – dla wielu ludzi w dawnym NRD marka ta stanowi dumę Wschodu.

Uli, jak pieszczotliwie nazywają Siegmunda jego zwolennicy, jest na fali wznoszącej. Szczególnie wśród młodzieży. Na TikToku ma ponad 800 tys. followersów, podczas gdy jego rywal Sven Schulze, obecny premier Saksonii-Anhalt z CDU – zaledwie 4,2 tys. Pokrywa się to mniej więcej z sondażami przedwyborczymi. W badaniu przeprowadzonym przez Forschungsgruppe Wahlen na zlecenie ZDF AfD zdobyła aż 40 proc. poparcia, chadecy Schulzego – zaledwie 23 proc. W innych sondażach partia Siegmunda może liczyć nawet na 43 proc.

OPANOWAĆ ALGORYTMY

AfD istnieje od 13 lat, ale nigdy nie rządziła ani na szczeblu krajów związkowych, ani na federalnym. W partii wyczuwa się niecierpliwość. Z całych Niemiec do Saksonii-Anhalt przybywają zwolennicy AfD: to właśnie stamtąd ma się rozpocząć ich triumfalny marsz. „Wszystko jest możliwe" – śpiewa ochrypły kobiecy głos w hymnie wyborczym Siegmunda. Na jego wiece przychodzi wielu młodych ludzi, głównie mężczyzn z małych miejscowości, gdzie brakuje kobiet, bo przeprowadziły się do dużych miast. Siegmund, który urodził się trzy tygodnie po zjednoczeniu, opowiada im o dawnych Niemczech, gdzie wszystko było w porządku. Bezpiecznie. Przyjaźnie. Dobrobyt dla wszystkich. Choć nie pamiętają tych Niemiec, tęsknią za nimi.

Przez długi czas młodzi byli uważani w Niemczech za bardzo postępowych. Wybory do Bundestagu w 2025 r. pokazały jednak zupełnie inny obraz: młodzi mężczyźni głosowali na AfD, podczas gdy młode kobiety stawiały na skrajnie lewicową (i postkomunistyczną) Die Linke. Alternatywa dla Niemiec zdobyła wówczas 21 proc. głosów wśród wyborców w wieku od 18 do 24 lat, a Die Linke – 25 proc.

Według badacza pokoleniowego Rüdigera Maasa, ok. 65 proc. młodych ludzi deklaruje, że boi się prawicowego ekstremizmu, ale mimo to wielu z nich głosuje na AfD. „Oni postrzegają tą partię jako prawicowo-konserwatywną, a nie ekstremistyczną" – uważa Maas, autor książki „Pokolenie prawicowe?" („Generation rechts?"). Mimo że kilka lokalnych struktur AfD znajduje się pod stałą obserwacją Urzędu Ochrony Konstytucji, w tym ta w Saksonii-Anhalt.

Według Maasa AfD lepiej niż inne partie opanowała algorytmy TikToka i Instagrama. Przed wyborami w 2025 r. materiały wideo tej partii osiągały nawet 10-krotnie większe zasięgi niż treści publikowane przez inne formacje polityczne. Jego zdaniem odejście młodych od tradycyjnych partii jest spowodowane „egzystencjalnym strachem". „Zapytaliśmy osoby głosujące po raz pierwszy o ich obawy i okazało się, że są one znacznie bardziej zlęknione niż ogół społeczeństwa. Również w tym przypadku występują różnice między płciami: młodzi mężczyźni obawiają się migracji i kryzysu finansowego, a AfD obiecuje rozwiązanie tych problemów. Młode kobiety bardziej obawiają się kwestionowania feminizmu i różnorodności – co również tłumaczy sukces Die Linke" – zaznaczył badacz w rozmowie z „Der Spiegel".

Badania opinii publicznej (m.in. cykliczny raport Jugend in Deutschland) pokazały, że współczesna młodzież w Niemczech zmaga się z silnym poczuciem niepewności. Do głównych źródeł obaw należą wysoka inflacja, kryzys mieszkaniowy, kurczące się perspektywy gospodarcze, pesymizm oraz niekontrolowana migracja. Młodzi chcieliby żyć w takich Niemczech, jakie były w latach 80. XX w., nawet jeśli były to Niemcy podzielone. Także ci na wschodzie. Im okres NRD kojarzy się głownie ze stabilnością i sukcesami sportowymi, a nie ze STASI, brakiem wolności i inwigilacją.

W OBRONIE NIEMIECKOŚCI

W wyborach do Bundestagu w 2021 r. młodzi masowo głosowali na Zielonych oraz liberalną FDP. Po latach słabych rządów tzw. koalicji sygnalizacji świetlnej (SPD, Zieloni, FDP), partie te drastycznie straciły zaufanie przedstawicieli najmłodszej grupy wiekowej. Według niemieckiego dziennika „Die Welt" prawicowe przekonania młodych wychodzą jednak daleko poza zachowania wyborcze. Coraz więcej z nich dołącza do młodzieżówki AfD lub angażuje się w ruchu tożsamościowym. Są jeszcze Młodzi Nacjonaliści, młodzieżówka partii „Die Heimat", kiedyś znanej pod nazwą NPD. W 2023 r. liczyła 230 członków, dziś – ponad 400. Młodzi Nacjonaliści regularnie wychodzą na ulice „w obronie niemieckiej kultury". „Wielu zradykalizowało się w czasie pandemii COVID-19. Spotęgowała ona poczucie bezsilności" – czytamy na łamach gazety.

Ale najważniejszym powodem zaangażowania młodych w ruchy prawicowe, określane przez mainstream jako skrajne, jest nielegalna migracja. Szczególnie na wschodzie. W badaniu Sinus 38 proc. młodych ludzi w Saksonii, Saksonii-Anhalt i Turyngii podało migrację jako główny problem Niemiec. Powszechniejszy wśród nich jest jedynie strach przed wojną. Jedną z młodych zbuntowanych, którą obszernie portretuje „Die Welt", jest Lily Baginski z Ludwigshafen. Na jednej z antyimigracyjnych demonstracji w Stuttgarcie 23-latka w „ludowym stroju", czyli długiej spódnicy i stokrotkami wplecionymi w blond warkocze, niosła transparent z popularnym wśród neonazistów wierszem: „Wciąż tam siedzicie, tchórze, opłacani przez wroga. Pośmiewisko ludu. Ale pewnego dnia sprawiedliwość znów zwycięży, wtedy lud was osądzi i niech Bóg się nad wami zmiłuje".

W ciągu ostatniego 2,5 roku ministerstwa spraw wewnętrznych na szczeblu federalnym i lokalnym odnotowały prawie 500 takich manifestacji. Dla Baginski – jak sama przekonuje – liczy się tradycyjna rodzina. Kapitalizm jest zły, bo gospodarka „musi służyć ludziom". Najważniejsze jednak jest to, że dla „obcych kulturowo cudzoziemców" nie ma miejsca w RFN. Po szkoleniach ideologicznych, na które uczęszczają bardziej doświadczeni działacze, powtarzają, że Niemcy poradzą sobie, mając tylko 60 mln mieszkańców. A więc bez migrantów, tych z pierwszego i kolejnych pokoleń.

eprasa.pl 4a9be78ee4

ZOSTAĆ CZY WYJECHAĆ?

Oczywiście chodzi o coś więcej niż tylko bunt. Młodzi podejmują decyzje polityczne na tym etapie życia, na którym wiele rzeczy jest jeszcze niepewnych: zawód, studia, pierwsza praca, mieszkanie, mobilność, finanse. W Saksonii-Anhalt pojawiają się kolejne pytania: zostać czy wyjechać? 20-letni Maximilian Klar z Wittenbergi, również zastanawia się nad swoją przyszłością. „Czy jest tu jeszcze bezpiecznie? Czy mam zostać, czy przenieść się do innego landu, gdzie warunki są lepsze, np. pod względem komunikacji miejskiej lub oferty studiów. A może za granicę?" – pyta.

Alternatywa dla Niemiec stara się odpowiedzieć na te pytania. Siegmund przekonuje, że ci Niemcy, którzy wyjechali w ostatnich latach z kraju, wrócą, a inni nie będą mieli powodu, by wyjeżdżać. Partia planuje także wielką reformę szkolnictwa w Saksonii-Anhalt. Koniec obowiązku szkolnego, czyli możliwe będzie nauczanie domowe, dzieci migrantów w oddzielnych klasach, ścisła neutralność polityczna nauczycieli. Marco Ladewig jest dyrektorem gimnazjum im. prof. Friedricha Förstera w Haldensleben. Według niego wzrost poparcia dla AfD zmienił atmosferę w jego szkole. W zeszłym roku nauczyciele i uczniowie mieli głosować nad przystąpieniem do sieci „Szkoła bez rasizmu – Szkoła z odwagą". Ladewig powiedział w radiu „Deutschlandfunk", że ostatecznie zabrakło im 16 głosów do wymaganego 70-procentowego poparcia. Później grupy młodych ludzi zebrały się w świetlicy i klaskały. „Świętowali, że udało im się zablokować program" – dodał. Jedna z nauczycielek usłyszała od nich, że gdy wygra AfD, „nie będzie już mogła gadać tych lewicowych głupot". Ministerstwo Edukacji w Magdeburgu oświadczyło, że „wyraźnie" zachęca szkoły do aktywnego promowania wartości demokratycznych w nauczaniu i kulturze szkolnej. „Nauczyciele nie powinni czuć się zaniepokojeni, jeśli ich rola w demokratycznym procesie edukacyjnym jest kwestionowana".

BRAK PERSPEKTYW

Ale tak się czują. Wielu zapowiedziało, że przeniesie się do innych landów, jeśli AfD będzie rządziła w Saksonii-Anhalt. Jeden z nich skarżył się dziennikowi „Die Welt", że w swojej szkole jest stale konfrontowany „ze skrajnie prawicową muzyką, ulotkami, literaturą". A także z problemami uczniów, na które nie ma rozwiązania. Choćby z powodu wysokich cen paliwa ich rodziców nie stać na dojazdy do pracy.

Saksonia-Anhalt to mały kraj związkowy, liczący zaledwie 2,1 mln mieszkańców i niecałe 1,7 mln uprawnionych do głosowania. Jest to także region słaby strukturalnie. Ze średnią wieku powyżej 48 lat ma najstarszą populację w Niemczech. Od 2000 r. kraj stracił prawie pół 500 tys. mieszkańców. Do 2035 r. prognozowany jest dalszy, gwałtowny spadek liczby ludności w wieku produkcyjnym – o ponad 12 proc. W 2025 r. PKB na mieszkańca wynosił 38 452 euro, co stanowiło znacznie mniej niż średnia krajowa, wynosząca 53 516 euro. Bezrobocie także jest o 2 pp. wyższe niż w innych częściach kraju.

> AfD istnieje od 13 lat, ale nigdy nie rządziła ani na szczeblu krajów związkowych, ani na federalnym. W partii wyczuwa się niecierpliwość. Z całych Niemiec do Saksonii-Anhalt przybywają zwolennicy AfD: to właśnie stamtąd ma się rozpocząć ich triumfalny marsz

Przez dziesięciolecia węgiel brunatny stanowił podstawę lokalnej gospodarki. W 2020 r. rząd federalny podjął jednak decyzję o stopniowym wycofywaniu energii z węgla do 2038 r. Oprócz miejsc pracy zaniknie także część tożsamości regionalnej, ponadto obszary wiejskie w powiatach Saalekreis, Mansfeld-Südharz i Anhalt-Bitterfeld są zagrożone upadkiem gospodarczym.

Intel, amerykański producent półprzewodników, miał temu częściowo zaradzić i zbudować pod Magdeburgiem „najnowocześniejszą na świecie" fabrykę chipów, ale ostatecznie – z powodu problemów finansowych – zrezygnował z tego. Wartość projektu to 30 mld euro. Po marzeniach o fabryce i nowych miejscach pracy pozostało tylko puste pole. Był też park przemysłowy Solar Valley, wzdłuż A9 niedaleko lotniska Lipsk/Halle. Produkowano tu panele słoneczne. Konkurencja z Chin spowodowała jednak, że firmy zbankrutowały. Zniknęło ponad 1,3 tys. miejsc pracy.

KWITNĄCE KRAJOBRAZY

Rozczarowanym mieszkańcom, szczególnie młodym, AfD obiecuje „Zwrot 2.0" (Wende 2.0), czyniąc aluzję do „Die Wende" – procesu pokojowej rewolucji, która na przełomie 1989 i 1990 r. doprowadziła do upadku komunistycznej dyktatury w NRD. „Będzie to powstawanie z ruin" – obiecywał Siegmund na jednym z wieców. Jest to pierwsze zdanie z hymnu NRD, który kandydat na premiera także zresztą intonował podczas jednego ze swoich występów. Kwitnące krajobrazy mają więc powstać w Saksonii-Anhalt na podstawie „100-dniowego planu działania" Siegmunda, zawierającego kluczową obietnicę „deportowania od pierwszej minuty" cudzoziemców, którzy nie mają prawa pobytu. Siegmunt dysponuje także personelem do realizacji tych planów. Od ub.r. „Czarno-czerwono-złota Akademia" AfD szkoli w Berlinie przyszłych urzędników państwowych. A tych na najwyższych szczeblach w Saksonii-Anhalt partia zamierza „od razu wymienić". Mowa o 150–200 osobach. Saksonia-Anhalt ma stać się wzorem dla reszty Republiki Federalnej.

eprasa.pl 4a9be78ee4



Śmierć, która otworzyła rany

Jeśli ktokolwiek pomyślał, że śmierć serbskiego zbrodniarza wojennego Ratko Mladicia będzie końcem trudnej ery na Bałkanach, której był symbolem, to się mylił



GORAN ANDRIJANIĆ

To był pierwszy dzień procesu przeciwko Ratko Mladiciowi, byłemu dowódcy bośniackich i chorwackich Serbów, przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym dla byłej Jugosławii w Hadze w maju 2012 r.

Na sali sądowej obecne były również rodziny ofiar serbskich zbrodni wojennych popełnionych pod dowództwem gen. Mladicia. Prokurator odczytywał akt oskarżenia przeciwko Serbowi. Gdy zaczął szczegółowo opisywać morderstwo 8 tys. Bośniaków w Srebrenicy latem 1995 r. – główną zbrodnię, o którą oskarżono Mladicia – na sali rozległ się szmer i płacz. W tym momencie serbski zbrodniarz przesunął palcem po gardle, co publiczność zinterpretowała jako symulację rzezi. Jak później relacjonowali obecni dziennikarze, zapanował chaos i proces trzeba było odroczyć.

Pięć lat później, w 2017 r., Mladić został skazany na dożywocie. Trybunał uznał go odpowiedzialnym i winnym za wiele zbrodni popełnionych podczas wojny w Bośni i Hercegowinie. Największa, w Srebrenicy, została później określona jako ludobójstwo, a także uznana za czystki etniczne Chorwatów i Bośniaków na terenach okupowanych przez Serbów. Został

Fot. Radivoje Pavicic/Associated Press/East News 01/08266/F

eprasa.pl 4a9be78ee4

też skazany za oblężenie Sarajewa. Wyrok został potwierdzony w 2021 r.

Obrazek z początku tekstu pokazuje, że Mladić nigdy nie okazał skruchy. Zmarł 27 sierpnia br. w Hadze, w patologicznym urojeniu, że służył swojemu narodowi. W rzeczywistości służył zbrodniczemu planowi serbskiego przywódcy Slobodana Miloševicia i jego współpracowników, chcących wykorzystać rozpad Jugosławii do stworzenia Wielkiej Serbii – nowego państwa, które obejmowałoby Serbię, niemal całą Bośnię i Hercegowinę oraz część Chorwacji. To właśnie ten plan z oddaniem wspierał Mladić, popełniając zbrodnie wszędzie, gdzie dowodził.

W przypadku jego wyroku sprawiedliwości stało się zadość jedynie częściowo, szczególnie z chorwackiej perspektywy. Akt oskarżenia nie obejmował żadnych przestępstw popełnionych przez jego siły, gdy był dowódcą 9. Korpusu Jugosłowiańskiej Armii Ludowej z siedzibą w Kninie. Miasto to było epicentrum separatystycznego powstania Serbów, które wybuchło latem 1991 r., a Mladić został tam wówczas przeniesiony, aby pomóc w wojnie z Chorwatami. W czasie, gdy formalnie lub nieformalnie był dowódcą korpusu, JNA i serbscy rebelianci popełnili wiele zbrodni wojennych, z których najohydniejsza miała miejsce w wiosce Škabrnja w listopadzie 1991 r. Serbowie zamordowali wtedy 68 osób, głównie cywilów. Mladić był tym, który wydał rozkaz ostrzału Zadaru i Szybenika oraz wielu innych miast w tej części Dalmacji. Jak wyjaśniali podczas procesu prokuratorzy w Hadze, wszystkie te zarzuty nie zostały uwzględnione w ostatecznym akcie oskarżenia, aby „usprawnić" proces. Chorwacja nie mogła wówczas wiele z tym zrobić.

DLA JEDNYCH ZBRODNIARZ, DLA INNYCH BOHATER

Jeśli ktokolwiek mógł pomyśleć, że śmierć zbrodniarza wojennego (chorego od kilku lat i przykutego do łóżka) będzie końcem trudnej ery, którą sam symbolizował, to był w błędzie. Stało się wręcz przeciwnie. Śmierć Mladicia otworzyła stare rany i pokazała, że od czasów wojny w byłej Jugosławii niektóre narody niczego się nie nauczyły.

Serbowie – zarówno w samej Serbii, jak i w Republice Serbskiej, części Bośni i Hercegowiny – uznali śmierć Mladicia za odejście „bohatera". Patologiczna sytuacja, w której ludzie gromadzili się na ulicach miast i zapalali znicze, by uczcić człowieka, który sprowadził zło na setki tysięcy ludzi, nieprzypadkowo przypominała sposób, w jaki reżim w Rosji przez wieki czcił swoich „zasłużonych" obywateli. Piszę „nieprzypadkowo", bo dobrze znane są głębokie historyczne powiązania między serbskim a rosyjskim imperializmem. Kolejnym wspólnym elementem tych dwóch społeczeństw jest wiara prawosławna, wykorzystana jako wsparcie państwowego imperializmu. Nic więc dziwnego, że Serbska

REKLAMA



eprasa.pl 4a9be78ee4

Cerkiew Prawosławna uczestniczy obecnie w gloryfikacji zbrodniarza.

„Oddał i poświęcił wszystko dla wolności swojego ludu. Wyrok wydany na Mladicia nie był skierowany tylko przeciwko niemu, ale przeciwko narodowi serbskiemu" – powiedział metropolita Budimlji i Nikšicia Metody (Metodije).

Największe oburzenie wywołała jednak wypowiedź serbskiego ministra sprawiedliwości Nenada Vujicia, który oświadczył, że Ratko Mladić zostanie pochowany z pełnymi honorami państwowymi. Powiedział również, że państwo i rodzina są w kontakcie z Hagą w sprawie przejęcia ciała serbskiego generała. Te słowa zostały przyjęte jako potwierdzenie tego, co większość społeczeństwa w tym regionie wiedziała już od dawna – Serbia i serbskie społeczeństwo nie zrobiły absolutnie nic, aby rozliczyć się ze swoją przeszłością i winą za wojnę.

Z KOMUNISTY NACJONALISTA

Biografia i profil psychologiczny Ratko Mladicia są typowe dla tej warstwy serbskiego społeczeństwa, która aktywnie uczestniczyła w agresji na inne narody. Urodził się w 1943 r. w Bośni i Hercegowinie, we wsi niedaleko Kalinovnika. Był synem komunistycznego partyzanta (jego ojciec zginął, kiedy Ratko miał dwa lata). Już jako nastolatek wstąpił do Jugosłowiańskiej Armii Ludowej, która ukształtowała go nie tylko jako żołnierza, lecz także jako jugosłowiańskiego radykała, oczywiście z pozycji serbskich. Był jednym z oficerów, którzy wykazali się „gorliwością" nawet w czasach, gdy sztuczny komunistyczny twór zaczął się rozpadać. Z dnia na dzień z komunisty przeistoczył się w serbskiego nacjonalistę, podobnie jak cała serbska elita polityczna pod wodzą Slobodana Miloševicia. To on, a także kilku innych byłych generałów JNA, którzy później stali się dowódcami wojskowymi serbskiego ruchu imperialistycznego (np. Mile Mrkšić czy Veselin Šljivančanin), byli odpowiedzialni za najstraszniejsze wojenne zbrodnie w byłej SFRJ.

Nieprzypadkowo w 1991 r. został wysłany do Kninu, aby wesprzeć serbską rebelię, która właśnie wybuchła, i z podpułkownika awansował na stopień generała. Przegrał tam wszystkie ważne bitwy z armią chorwacką, w tym te o Zadar, Szybenik i Biograd. Mimo to, gdy wybuchła wojna w Bośni i Hercegowinie, Belgrad przeniósł go na te tereny, gdzie został dowódcą armii Republiki Serbskiej. Dlaczego? Bo w tamtym czasie najważniejsze było posiadanie dowódcy, który będzie gotowy do przeprowadzenia czystek etnicznych i dokonania innych zbrodni wojennych. Mladić był za nie odpowiedzialny w latach 1992–1995.

W tym czasie przeżył osobistą tragedię – jego córka Ana zginęła w Belgradzie z jego broni. Niektóre media pisały, że popełniła samobójstwo, ponieważ nie mogła sobie poradzić z depresją wywołaną działalnością ojca. Sam generał twierdził, że jej śmierć była wysoce podejrzana.

W dużej części polskiego społeczeństwa panuje naiwne wyobrażenie Jugosławii, która została zniszczona przez „nacjonalizmy" z zewnątrz. Komunistyczny twór, jakim była Jugosławia, został zbudowany na zbrodniach komunistów i zawsze takim pozostał, a nienawiść, która go zniszczyła, pochodziła z wewnątrz. Od ludzi takich jak Ratko Mladić.

CO ZROBI VUCIĆ?

Dzisiaj Deutsche Welle i inne europejskie media są przerażone tym, że reżim prezydenta Aleksandra Vučicia rozważa pogrzebanie Mladicia z honorami. A wystarczyło bliżej przyjrzeć się temu, kto od dziesięcioleci rządzi Serbią. Sam prezydent to człowiek ukształtowany politycznie w otoczeniu Vojislava Šešelja, kolejnego zbrodniarza wojennego, który uniknął sprawiedliwości z powodu choroby. Ponadto Vučić ma w rządzie ludzi, takich jak szef dyplomacji Ivica Dačić, socjalista, który niegdyś aktywnie wspierał reżim Slobodana Miloševicia (tak samo zresztą jak Vučić). Oczywiście Vučić jest przede wszystkim zainteresowany utrzymaniem władzy, a serbskie mity nacjonalistyczne, które podtrzymuje, właśnie temu służą.

> „To tak, jakby zamykali przed sobą drzwi Unii Europejskiej" – powiedział premier Chorwacji Andrej Plenković, dając jasno do zrozumienia, że jeśli Mladić zostanie pochowany jak bohater, to jego kraj jest gotowy zablokować przystąpienie Serbii do Unii

Teraz znalazł się jednak w trudnej sytuacji. Niedawno rozpoczął proces zbliżania się do Zachodu, a Berlin i Paryż od dawna uważają, że jest to najlepsze rozwiązanie dla Serbii. Dlatego otwarcie wspierają go w konflikcie z demonstracjami studenckimi, które wstrząsają krajem od półtora roku. Z jednej strony Vučić nie chce ryzykować swojej pozycji w europejskich stolicach, by nie hamować drogi Serbii do UE, a z drugiej zdaje sobie sprawę, że większość Serbów – podobnie jak on – uważa Mladicia za bohatera.

Znalazł się w podobnej sytuacji co prezydent Boris Tadić, gdy w 2006 r. zmarł Slobodan Milošević. Aby uniknąć publicznych wizyt na grobie zbrodniarza, Serbowie pochowali Miloševicia na dziedzińcu jego rodzinnego domu w miejscowości Požarevac.

W chwili pisania tego tekstu nie ma jeszcze informacji, czy Vučić zdecyduje się na podobne rozwiązanie. Jedno jest pewne: jeśli ulegnie presji i pochowa Mladicia jak bohatera, wiele zaryzykuje.

„To tak, jakby zamykali przed sobą drzwi Unii Europejskiej" – powiedział premier Chorwacji Andrej Plenković, dając jasno do zrozumienia, że w takiej sytuacji jego kraj jest gotowy zablokować przystąpienie Serbii do Unii.

eprasa.pl 4a9be78ee4

Dział przygotowywany we współpracy z miesięcznikiem
GAZETA BANKOWA

Prawdziwy sztuczny pieniądz



W wielu krajach, m.in. w USA, rządy tworzą strategiczne rezerwy bitcoinów, a banki centralne traktują kryptowalutę jak cyfrowy odpowiednik złota. Rynek jest warty ok. 2,7 bln dol., a technologia blockchain rośnie w tempie 80 proc. rocznie



DARIUSZ MATUSZAK

Może to był tylko eksperyment, a może bunt, w każdym razie 18 sierpnia 2008 r., kiedy zachodni świat mierzył się z największym kryzysem finansowym od dekad, zaczęła powstawać nowa forma życia. Tego dnia jedna osoba – a może grupa – o pseudonimie Satoshi Nakamoto zarejestrowała domenę bitcoin.org. 31 października do internetu trafił dokument „Bitcoin: elektroniczny system gotówkowy peer-to-peer". Ten ostatni zwrot oznacza „równy z równym". W świecie cyfrowym to bezpośrednie komunikowanie się komputerów, a w nowej erze finansów –także system obiegu pieniądza, w którym obywatel nie potrzebuje państwa czy banku.

To, co nazwiemy wirtualnym życiem gotówki, wylęgło się w styczniu 2009 r., kiedy ogłoszono światu, że wydobyto pierwszy blok Genezis – jakby zapisano pierwszą stronę biblijnej Księgi Rodzaju (Genezis) – wygenerowano pierwsze bitcoiny i ruszył blockchain, czyli silnik nowego życia. Wtedy również publicznie udostępniono oprogramowanie bitcoin i doszło do pierwszej transakcji – Satoshi wysłał 10 monet do programisty Hala Finneya. Nowe życie ruszyło na podbój świata.

Aktowi stworzenia towarzyszyło hasło „Kanclerz na skraju drugiego wykupu banków", zaczerpnięte z tytułu w brytyjskim „The Times". To był komentarz do światowej katastrofy finansowej i pomysłu ratowania prywatnych banków za pieniądze podatników. Tak się skończyła historia tamtego kryzysu, a nowe życie miało powstać jako forma buntu przeciwko ciemności – systemowi i państwom, które ograbiały miliony obywateli.

ŁAŃCUCH, CZYLI COŚ JAK DNA

Dlaczego odwołujemy się do metafor związanych z życiem? Bo robili to sami twórcy nowego systemu pieniądza i ta analogia chyba najlepiej oddaje istotę technologii blockchain, na której wszystko się opiera. To samopowielający się program/protokół, jak namnażająca się komórka potrzebująca pożywienia. W przypadku blockchaina (łańcucha bloków) jest

eprasa.pl 4a9be78ee4

nim energia elektryczna i praca rozsianych po świecie ludzi – a raczej ich komputerów, rozwiązujących zagadki matematyczne. Ogniwami łańcucha są tzw. bloki, które można traktować jako pakiet danych i jako fragment DNA systemu. Zawierają one listę i historię transakcji, np. informacje o tym, kto, komu i ile kryptowaluty przesłał w danym czasie. Tożsamości kryją się jednak pod pseudonimami i do dziś nie wiadomo, kim jest Satoshi Nakamoto.

Wcześniej trzeba założyć konto w sieci. By to zrobić, nie trzeba podawać swych danych ani mieć zgody żadnej instytucji. Pobiera się odpowiednią aplikację, a system generuje losowo 78 liczb. Prawdopodobieństwo, że ktoś trafi taki sam ciąg, jest praktycznie zerowe. Ta liczba jest jeszcze zamieniana w ciąg nawet 24 wyrazów i oto masz prywatny klucz/hasło do swojego konta. Jeśli je stracisz, wszystko przepadło. Nie ma infolinii, pod którą można zadzwonić. Z hasła z pomocą szyfrowanych równań system kreuje klucz publiczny. To dostępny każdemu adres konta, który może wyglądać tak: 1A1zP1eP5QGefi2DMPTfTL5SLmv7Divf. Na świecie jest ich ok. 55 mln, choćby z ułamkiem bitcoina, i 180 mln operacyjnych – głównie banków i giełd.

Gdy jest konto, można dokonywać transakcji, które są składane w bloki – jak spisy w księdze rejestrowej. Niegdyś tzw. górnicy, czyli autystyczni piwniczni komputerowcy, a dziś właściciele wielkich centrów obliczeniowych, biorą tysiące takich transakcji i składają je w blok, który będzie kolejnym ogniwem blockchaina. Na całym świecie miliony koparek komputerowych ściga się w tym samym momencie. Ten, kto wygra, zyskuje prawo do dopisania nowego bloku w łańcuchu i nowe bitcoiny. Aby blok został zaakceptowany przez resztę sieci, górnik musi wcześniej rozwiązać zagadkę matematyczną. Każdy blok ma tzw. cyfrową pieczęć (*hash*) – unikalny kod identyfikacyjny, jak cyfrowy odcisk palca i klucz do poprzedniego bloku. Kod wcześniejszego bloku trzeba wkleić na początek następnego. Dzięki temu powstaje łańcuch – coś, co można porównać do DNA, tyle że poszczególne ogniwa są połączone kodami, a nie wiązaniami chemicznymi. Kopie bloków istnieją na komputerach sieci jak DNA w każdej komórce. Cała sieć, czyli tysiące komputerów podpiętych pod dany blockchain, weryfikuje każdą transakcję, sprawdzając, czy np. nadawca posiada bitcoiny, które chce przesłać. Ostatecznie zatwierdza nowy blok, co w przypadku bitcoina wiąże się też z emisją nowych monet. Weryfikacja nie zależy więc od zaufania do konkretnego człowieka, banku, państwa, ale od matematycznej zgody tysięcy maszyn rozproszonych na całym globie. Raz dokonanego zapisu w blockchainie nie można już nigdy zmienić.

Proszę uwierzyć, że ciężko pojąć i tłumaczyć to, co wymyślili autystyczni programiści, ale umówmy się – nie wiemy, jak działa telewizor czy aspiryna, a i tak z nich korzystamy. Za nowym systemem stoi jednak głęboka filozofia. Można się z nią nie zgadzać, ale nie da się zaprzeczyć, że chodzi o coś więcej niż tylko o nową bankowość. Każde rozwiązanie technologiczne jest w nim odpowiedzią na rzeczywisty problem albo przynajmniej go dotyka. Bitcoin powstał w środowisku programistów odrzucających system, czy nawet państwo, albo sytuujących się na ich kresach. Zrodził się w czasach finansowej katastrofy, która zrujnowała miliony ludzi – tylko nie bankierów, którzy sprowadzili to nieszczęście. To oni namawiali na toksyczne produkty finansowe i sprzedawali je, na papiery wartościowe, które okazywały się śmieciami. Kryzys rozlał się na świat nie tylko z powodu fali bankructw, które wywołał, lecz także dlatego, że podobny system działał wszędzie. Bankierzy nie stracili, bo ich banki zostały uratowane przez administrację Baracka Obamy za pieniądze podatników, ale miliony Amerykanów straciło całe oszczędności. Nam lepiej jest znany przykład grecki, który już opisywaliśmy. Grecja zablokowała i ograniczyła ludziom dostęp do ich własnych pieniędzy. To i tak lepiej niż Cypr, który ukradł z depozytów kwoty powyżej 100 tys. euro. Ponadto przeprowadzono wyprzedaż kraju. Bruksela od 2010 r. organizowała tzw. program naprawczy i wielkie pożyczki nie po to, by pomóc zadłużonej Grecji, tylko aby ratować francuskie i niemieckie banki. Wpakowały one w greckie obligacje blisko 100 mld euro. Kolejne pożyczki poszły na to, by Grecy wykupili od Francuzów i Niemców te swoje śmieciowe papiery. W zamian za nowe kredyty Grecja wyprzedała państwowe firmy i nieruchomości, np. tereny po igrzyskach, i oddała władzę nad infrastrukturą. Największy port – Pireus – trafił się Chińczykom, a Niemcom m.in. 14 lotnisk, mających fundamentalne znaczenie dla porozrzucanego po wyspach kraju. W zamian za ich państwo Grekom pożyczono miliardy na spłacenie miliardów długu.

To się działo już po stworzeniu bitcoina, ale te i podobne wydarzenia, jak choćby okradzenie obywateli Argentyny z 70 proc. ich oszczędności przez rząd tego państwa, były katalizatorem dla narodzin kolejnych kryptowalut i rozwoju nowej branży. Socjalistyczny rząd Trudeau w Kanadzie kazał bankom z dnia na dzień zablokować konta kierowców, którzy uczestniczyli w proteście przeciwko covidowemu reżimowi.

Jeśli dziś ktoś potrzebuje zachęty, by zamienić swoje pieniądze na kryptowaluty, to właśnie dostarczyła jej przewodnicząca Komisji Europejskiej. 27 sierpnia br. na paryskiej konferencji przedsiębiorców La Ref, Ursula von der Leyen mówiła o „10 bilionach leniwych oszczędności Europejczyków, które śpią, zamiast pracować". Uznała, że trzeba je wykorzystać do finansowania inwestycji. To była mętna propozycja stworzenia unii europejskich rynków kapitałowych, ale wywołała ogromne poruszenie. I nic dziwnego. Po Komisji Europejskiej, po unijnych instytucjach, można spodziewać się oszustw, kłamstw, naginania prawa, niedemokratycznych procedur, wprowadzania nowych regulacji, więc uznano, że wystąpienie Niemki to zapowiedź kradzieży/konfiskaty/zablokowania albo przymusowego pożyczenia Unii tych pieniędzy na narzuconych warunkach. W mediach społecznościowych rozpętała się burza i nawet jeśli reakcje były przesadzone, to widzimy, jak nędznym zaufaniem cieszy się przewodnicząca KE.

SAM SOBIE BANKIEM I KLIENTEM

Cyfrowi anarchiści, libertarianie i cyberpunkowcy powiedzieli więc: zaufaj matematyce, kodowi i sobie, a nie państwu, bankom, systemowi czy Niemce

eprasa.pl 4a9be78ee4

na czele UE. Niby dlaczego tylko państwo miałoby mieć prawo do emisji pieniądza? Bądź sam sobie klientem, bankierem, emitentem. W tradycyjnym systemie to bank trzyma twoje pieniądze i może je zablokować, ograniczyć dostęp do nich, stracić je, gdy zbankrutuje, lub ukraść na polecenie państwa. W kryptowalutach wszystko kontrolujemy sami, o ile nie straciliśmy owego prywatnego klucza. Sami jesteśmy swoim bankiem. Pieniądze są w sieci, a do niej nie da się włamać i wykraść jak z konta w banku. Nikt nie może kazać ich zablokować ani pożyczyć ich dla von der Leyen. Nikt nie może zabronić ci wysłania ich, komu chcesz. Nie ma „godzin pracy banku", nie ma weekendów, nie ma pytań, skąd masz pieniądze i ile.

Co więcej, praktycznie każdy może być emitentem kryptowalut. Mamy do wyboru dwie wersje: albo prawdziwa kryptowaluta na własnym blockchainie, który trzeba stworzyć, albo tzw. token na już istniejącej infrastrukturze blockchaina. Niemal całą robotę wykonałby sztuczny inteligent AI. Gdybym rzucił mu polecenie: stwórz mi kryptowalutę moje kochane pieniążki (MoKoPi) na blockchainie Etherum z podażą 1 mld sztuk, to wykonałby tę robotę szybciej, niż ja napisałem to zdanie. Takich tokenów powstały miliony.

Jeden z przykładów to token Trump. Od swego debiutu stracił ponad 90 proc. wartości, co pokazuje, jak ryzykowne jest inwestowanie w takie aktywa. Problemem z moimi MoKoPi byłoby to, że nikt nie dałby za niego legitnych złotówek, nikt nie wymieniałby ich, nie handlowałby nimi, nie przyjmowałby jako zapłaty. Byłby to elektroniczny gadżet, który z czasem by zniknął, jak miliony takich tokenowych zabawek.

Oczywiście nie ma systemów idealnych i hakerzy potrafią włamywać się po słabo zabezpieczone kody prywatne. W największej aferze – Bybit – skradziono 1,5 dol. w kryptowalucie etherum. Według FBI za całą akcją stała Korea Północna. W 2014 r. upadła giełda Mt. Gox, z której zniknęło kilkaset tysięcy bitcoinów, bo klienci powierzyli giełdzie na przechowanie klucze do nich. Inny charakter miał upadek Zondacrypto. Wszystko wskazuje na to, że w tej aferze ukradziono „prawdziwe" pieniądze klientów, wpłacane na transakcje zabezpieczone bitcoinami, których nie było, bo zniknął poprzedni właściciel giełdy, a wraz nim klucz do nich.

TEJ SIŁY JUŻ NIE POWSTRZYMACIE

Zakazanie obrotu kryptowalutami jest jednak w Polsce praktycznie niemożliwe i byłoby szkodliwe. Niby zrobiono to w kilku krajach, w których istnieje policyjna kontrola rynku finansowego, jak Chiny, Afganistan, Maroko, Algieria czy Bangladesz, ale i tam ludzie omijają przepisy. Niemożliwe jest sprawdzenie, czy ktoś nie dał komuś telefonu z kodem do bitcoina albo do MoKoPi. Zakaz byłby szkodliwy, bo wyeliminowałby z rynku polskie firmy, a i tak dochodziłoby do transakcji, tyle że za granicą. Obrót kryptowalutami w ogromnym stopniu stymuluje rozwój technologii blockchain, która ma już tysiące zastosowań. Giełdy, instytucje finansowe inwestują w system ogromne pieniądze choćby po to, by się nie zatkał, kiedy miliony ludzi jednocześnie handluje kryptowalutami. Blockchain to już technologia do potwierdzania wszelakich praw własności. Jeśli nadam kod artykułowi, który właśnie piszę, to już na zawsze będę miał dowód, iż jestem autorem. Oszust może zmienić trzy zdania i nadać własny kod, ale mój już na wieki będzie wcześniejszy. Blockchainy zintegrowane z AI już wyszukują w sieci plagiaty. Niepotrzebne będą księgi wieczyste potwierdzające własność nieruchomości. To też sposób na sprzedaż np. 2 m² jakiegoś centrum handlowego, np. Arkady. W realnym świecie nikt nie zawrze takiej transakcji, a na blockchainie – owszem. Technologia służy do śledzenia łańcuchów dostaw i automatycznie uruchamia transakcje. Tantiemy za muzykę przychodzą z sekundą jej odtworzenia i nie czeka się miesiącami na łaskę ZAIKS. Historia używanego samochodu jest na blockchainie i nie pomogą żadne przysięgi, że jest bezwypadkowy. Podobnie przebieg studiów – czy chodziłeś do Collegium Humanum i zdawałeś coś, czy nie. Pracodawca w sekundę sprawdzi, czy dyplom jest prawdziwy, czy z bazaru. Produkowanie lewych dokumentów będzie niemożliwe, co oczywiście nie oznacza, że nie będzie można przekupić urzędnika, by wydał taki lipny, ale prawdziwy. I zła wiadomość dla Czarzastego: w trakcie procedowania projektu ustawy z kodem na blockchainie nie da się potajemnie skreślić –tak, by nikt się nie zorientował– słów „lub czasopisma". System od razu to zauważy, odrzuci zmianę, a syreny alarmowe zawyją.

> W kryptowalutach wszystko kontrolujemy sami, o ile nie straciliśmy prywatnego klucza. Sami jesteśmy swoim bankiem. Pieniądze są w sieci, a do niej nie da się włamać i wykraść jak z konta w banku

W wielu krajach, m.in. w USA, rządy tworzą strategiczne rezerwy bitcoinów, a banki centralne traktują kryptowalutę jak cyfrowy odpowiednik złota. Rynek jest warty ok. 2,7 bln dol., a technologia blockchain rośnie w tempie 80 proc. rocznie. Rynki – finanse, logistyka, ubezpieczenia, cyberbezpieczeństwo, nieruchomości i inne, na których ona dosłownie pożera ich tradycyjne oprogramowania, są warte ponad 30 bln dol. Ok. 640 mln dol. warte jest zaś wysypisko śmieci w walijskim mieście Newport. Od 13 lat James Howell walczy z władzami o to, by móc je przekopać, albo nawet kupić. A wszystko dlatego, że jeszcze w pradawnych czasach, używając zwykłego komputera, wydobył 8 tys. bitcoinów, ale twardy dysk, na którym zapisał klucz do nich, wyrzucił przez pomyłkę do kosza i teraz gdzieś pod tysiącami ton śmieci leży jego 640 mln dol.

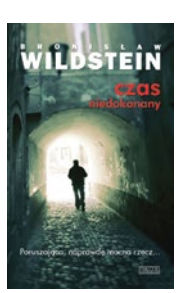
eprasa.pl 4a9be78ee4



Przeszłość zawsze nas dopadnie

TVP pokaże serial „Czas niedokonany” na postawie powieści ***Bronisława Wildsteina***. To opowieść o tym, że nie możemy uwolnić się od swojej tożsamości i historii, a także o komunizmie i III RP. „System ufundowany po 1989 r. ma charakter oligarchiczny. Także ten na Zachodzie odsłania swoje podobieństwa do rządów despotycznych” – zauważa Wildstein w rozmowie z Maciejem Walaszczykiem

10 września TVP1 o godz. 22.30 wyemituje pierwszy odcinek serialu „Czas niedokonany”, który zrealizowano na podstawie pańskiej znanej książki pod tym samym tytułem. Wcześniej trafił on jednak na półkę, jakby symbolicznie dopisując do niej kolejny rozdział.



Bronisław Wildstein: Rzeczywiście trochę tak to wygląda, co pokazuje, do czego doszliśmy. Serial w reżyserii Dariusza Gajewskiego nie jest moim dziełem, ale powstał na podstawie scenariusza świetnego dramaturga Wojciecha Tomczyka. Jego pierwowzorem jest moja książka, co w napisach końcowych, zdaje się, starano się ukryć. Film ponad dwa lata temu został wyprodukowany, skolaudowany, pozytywnie oceniony i... wylądował na półce. Nie dlatego, że TVP cierpi na natłok własnej produkcji.

Dlatego, że powstał, gdy rządziło PiS, czy ze względu na pana jako autora książki, będącej podstawą scenariusza?

Fot. Andrzej Wiktor, materiały prasowe

eprasa.pl 4a9be78ee4

Nie wiem, ale wiele produkcji powstałych w tym czasie zostało już wyemitowanych. Mimo siłowego i bandyckiego przejęcia TVP przez rząd Tuska, ostateczne szlify nad serialem wykonano, gdy pojawił się już nowy zarząd.

Obecnie mamy do czynienia ze specyficzną recydywą postkomunizmu. Marszałkiem Sejmu jest Włodzimierz Czarzasty, były aparatczyk i człowiek nomenklatury z czasów PRL. Gdy przyjrzymy się rozkładowi sił politycznych, to okazuje się, że resztówki tej postkomunistycznej lewicy, choć w rządzie stanowią siłę szczątkową, posiadają nieproporcjonalnie duże znaczenie. To tym dziwniejsze, że Donald Tusk odwołuje się do swojej, może wyolbrzymianej, solidarnościowej przeszłości. Ale jedną z nielicznych obietnic, które zrealizował, było przywrócenie przywilejów emerytalnych dawnym ubekom.

Czy w TVP rządzą dzisiaj postkomuniści?

Mamy choćby Sławomira Zielińskiego, który jest tam obecnie dyrektorem programowym. A przecież jego kariera zaczynała się w okresie stanu wojennego. Co ciekawe, nawet w czasach, gdy z nadania ówczesnego prezydenta Kwaśniewskiego prezesem TVP był Robert Kwiatkowski, Zieliński, choć był także wtedy liczącą się postacią, to jednak nie tak ważną jak dziś.

Dlaczego tak się dzieje?

Mamy w Polsce zachowaną tę specyficzną ciągłość, o czym piszę właśnie w „Czasie niedokonanym". Czas ludzki jest zawsze niedokonany, choć w rozgrywającej się wokół nas historii zdarzają się również zerwania, ale w Polsce nic takiego nie nastąpiło. Nomenklatura PRL uwłaszczyła się, a po krótkim okresie niepewności umocniła swoją pozycję. Mamy zatem rodzaj oligarchicznej władzy w nowych warunkach.

Książka rozciąga się na cały XX w., wskazuje źródła dzisiejszych konfliktów. A serial?

Całościowa adaptacja była niemożliwa, gdyż stanowiłaby ogromne przedsięwzięcie produkcyjne. Serial skupia się na tu i teraz. Wydarzenia, które w powieści rozgrywają się w latach 2007–2008, w filmie przeniesione zostały na lata 2019–2020 i kończą w czasie pandemii. To pokazuje, że historia opisana książce jest aktualna i nie jest opowieścią obyczajową, zamykającą się w określonym czasie. Rzeczywistość nie jest zamknięta i zadaniem książki było ukazanie tej prawdy.

Na zbudowanej w niej wielopoziomowej scenie widzimy konsekwencje realizacji idei filozoficznych, czyli rewolucji marksistowskiej, a także roli psychoanalizy. Mamy również poziom społeczny z kwestią żydowską i oczywiście polityczny, który zasadniczo wpływa na ludzkie losy. W filmie dominuje ten ostatni?

Ten polityczny ujawnia się, ale w głębszym sensie. To opowieść o załamaniu się tradycyjnego porządku. Ma to wymiar historyczny i mityczny, bo to poprzez konkretne wydarzenia należy pokazać uniwersalny wymiar rzeczy. Punktem wyjścia jest mord założycielski, a więc jeden z wielu pogromów, które w tamtym czasie władze carskie organizowały przy pomocy Czarnej Sotni. Ginie wtedy żydowska rodzina mieszkająca na Polesiu.

Ok. 1906 r., gdy wskazywano Żydów jako sprawców rewolucji.

Wskazano na nich jak na kozła ofiarnego, bo ci Żydzi o rewolucji nie mieli pojęcia i nigdy ona do nich nie dotarła. Najstarszy z rodu żyje w świecie nieodczarowanym, zakorzenionym metafizycznie i religijnie. To wspólnota przednowoczesna, a ta nowoczesność wdziera się tam jako zbrodnia.

Dzieci, które przeżyły, Jakub, Józef i Adam, stają się przedstawicielami tego nowoczesnego świata. Dlaczego?

To wydarzenie definitywnie odcięło ich od korzeni. Ich wychowawcą stał się brat zamordowanego ojca, człowiek będący specyficznym nietzscheanistą. Nie ma większych oporów moralnych, zarabia pieniądze tam, gdzie akurat można je zdobyć. Przenosi ten swój „namiot" z miejsca na miejsce, a jego ojczyzna jest tam, gdzie może wyrwać coś dla siebie. Każdy z jego przysposobionych synów chce z nim zerwać, ale realnie naśladuje go na różne sposoby. Wrażliwy na krzywdę ludzką Jakub zostaje marksistą, szuka świeckiej i ostatecznej formuły zbawienia świata, znajdując ją w bolszewizmie. Bierze na siebie ciężar przemiany świata, a stając się czekistą, jest sprawcą monstrualnych zbrodni. Józef z kolei jest filozofem, poszukującym nowej metafizyki, uczniem Heideggera, ale nazistowskie Niemcy wypluwają go z siebie jako obcego. I w końcu Adam, który jest lekarzem psychiatrą, fascynuje się Freudem i psychoanalizą. On – tak jak każda z tych postaci – ponosi całościową klęskę. Ich życiowe wybory są nie tylko pomyłką, lecz także prowadzą do zbrodni i zła. Komunizm, który po 1945 r. zostaje w Polsce ufundowany, jest tego owocem.

Jaka historia się tu rozgrywa?

Śledzimy losy matki Adama juniora, która będzie działaczką opozycji przedsierpniowej, podziemnej Solidarności i dziennikarką. Jej rodzice pochodzą ze wsi, ojciec jako AK-owiec spędził kilka lat w stalinowskim więzieniu. Zuzanna jest reprezentantką klasycznej polskiej rodziny, zniszczonej przez komunizm. Jej mąż, Benedykt, syn Adama, jeszcze w czasie wojny jako Baruch, będąc żydowskim dzieckiem, ukrywany był w szafie. Pozostał w nim strach, który kształtuje jego życiowe wybory. Te świadomości zderzają się, choć towarzyszy im miłość, która jednak nie jest w stanie przezwyciężyć wzajemnych napięć. Faktu, że oni – tak jak my wszyscy – jesteśmy zakorzenieni w historii, z której wyrastamy. Niesiemy ją nieświadomie.

Jesteśmy przez nią zdeterminowani? Ona nigdy nie umiera?

Tak jest właśnie w przypadku głównego bohatera serialu, a więc Adama Broka juniora, który jest człowiekiem urodzonym w połowie lat 70. Będąc zdolnym ekonomistą, dostaje pracę w Nowym Jorku, a jako broker jest świadkiem kolapsu giełdowego, widzi walący się świat. Do Polski ściąga go umierający ojciec. I tak wbrew swojej woli Adam wraca do kraju, od którego, zdawałoby się, uwolnił się, bo oznaczał dla niego

eprasa.pl 4a9be78ee4





głównie konflikt między jego rodzicami. Wraca i natychmiast wpisuje się w rzeczywistość, która go pochłania.

Dlaczego jako ludzie wolni, samodzielnie kształtujący swe życie, nie możemy przezwyciężyć naszej historii?

Od przeszłości potrafimy oderwać się na tyle, na ile jesteśmy w stanie nadać kształt swojej tożsamości. Ale od niej samej nie jesteśmy w stanie się uwolnić. Jesteśmy zakotwiczeni w swoim losie, żyjąc w dziejącej się historii. Współczesny człowiek wyznaje mit, że los zastąpił wyborem. Kiedyś było jasne, że człowiek jest wpisany w swój czas i miejsce, żyje w formach mu przez los zadanych, tak jak żyli jego rodzice i przodkowie. Kształt jego egzystencji był ograniczony i nie mógł go za bardzo zmienić. Dziś roimy sobie, że przekroczyliśmy te ograniczenia, ciągle stwarzamy się na nowo i przekraczamy wszelkie tożsamości. To mistyfikacja.

Choć istnieją szczególne grupy, szczególni ludzie, którzy są w stanie oderwać się od wspólnotowej identyfikacji, robią to zwykle przez nieustanne zaprzeczanie temu kim są, a więc ostatecznie w odniesieniu do niej. To także nasza polska sytuacja. Mówiono nam, że w epoce globalizacji, gdy już wejdziemy do Europy, zeuropeizujemy się, a nasza polska tożsamość stanie się swego rodzaju nieznaczącym regionalizmem.

Od lat 90. ub.w. całe młode pokolenie słyszało podpowiedź, że można już ją porzucić wraz z całą przeszłością.

I przekonywano, że powinni porzucić ją jako obciążenie. Okazuje się, że jest to niemożliwe, bo coraz mocniej widzimy napięcia cywilizacyjne związane z imigracją i islamem, a zatem zderzeniem kulturowych tożsamości. To będzie fundamentalny problem i nie wiadomo, jak Europa sobie z nim poradzi.

> To opowieść o załamaniu się tradycyjnego porządku. Ma to wymiar historyczny i mityczny, bo to poprzez konkretne wydarzenia należy pokazać uniwersalny wymiar rzeczy. Punktem wyjścia jest mord założycielski, a więc jeden z wielu pogromów, które w tamtym czasie władze carskie organizowały przy pomocy Czarnej Sotni. Ginie wtedy żydowska rodzina mieszkająca na Polesiu

Problem tożsamości ujawnia się szczególnie w sytuacjach kryzysowych. Także w kryzysie, który wybuchł w 2008 r., nagle odwoływano się do państwa. Wtedy UE nie funkcjonowała jako wspólnota, ale twardy układ Francji i Niemiec, które do stolika, przy którym dokonywano ważnych ustaleń, dopraszały Wielką Brytanię i okazjonalnie Włochy.

W książce pada zdanie, że może „kapitał nie ma narodowości, ale kapitaliści już tak".

Także wojna na Ukrainie udowodniła, że historia nie została obłaskawiona. Mimo zapewnień wielu specjalistów, że w perspektywie pokoleń Rosja nie zagrozi naszej niepodległości. To doświadczenie Ukraińców, którzy tak jak wiele innych narodów w przeszłości walczą teraz o przetrwanie. Gdyby wspólnotowa tożsamość nie miała znaczenia, wszyscy powinni stamtąd uciec. Jednak nawet ci, którzy uciekli, nadal czują się Ukraińcami. Niewielu też dziś twierdzi, że Polska rozpuści się w europejskim morzu.

W serialu mamy postać prof. Kleina, filozofa i byłego marksistę, dla którego globalizacja to szczęśliwy świat bez tożsamości, epoka baumanowskiej płynnej rzeczywistości.

To modelowy przedstawiciel młodych stalinowskich intelektualistów, którzy zawiedli się komunizmem, a swoje doświadczenia przenieśli na ogólną interpretację świata. To jest charakterystyczne dla całej tej grupy nie tylko w Polsce. To ludzie, którzy widząc, jak niebezpieczny był marksizm, uznali, że wobec tego każda mocna, nawet szlachetna, idea jest niebezpieczna. Dlatego krytykowali rewolucję Solidarności jako opartą na narodowych symbolach i tradycjach, a więc groźniejszą od zimnego i pozbawionego zębów komunizmu. Po 1989 r. Adam Michnik przyjął tę interpretację, ostrzegając np. przed fundamentalizmami moralnymi. Dziś wszyscy lewicowi liberałowie pragną przezwyciężyć wszelkie tożsamości: narodowe, etniczne i religijne. W zmienności świata dostrzegli szansę

Fot. TVP

eprasa.pl 4a9be78ee4



na to, że człowiek może siebie dowolnie wybierać i stawać się kimś innym niż jest. Myślę, że filmowy Klein dobrze oddaje tę postawę, a Adam Brok junior jest dla niego modelem człowieka przyszłości, którego nie wiąże własny kraj ani rodzina, robi karierę w firmie prowadzącej globalne interesy, np. w putinowskiej Rosji. Dla Rosjan jest Amerykaninem i sam siebie tak rozpoznaje. Jednak gdy wraca do Polski, dopada go przeszłość.

Młodzi staliniści i ubecy żydowskiego pochodzenia, tacy jak Wolińska czy Bauman, uzasadniali swoje zaangażowanie obawami przed polskim antysemityzmem. Ale powieściowy Adam Brok senior uważa, że nie miał on znaczenia wobec prześladowań rozpętanych przez Niemców.

Antysemityzm istniał, ale nie ponosi on odpowiedzialności za Holokaust. Ci ludzie dziś *ex post* dorabiają do tego ideologię. W latach 80. Zygmunt Bauman nie myślał o tym, by wrócić do Polski, bo miał świadomość, że został tu po nim, jak sam mówił, tylko smród. Przyznawał w prywatnych rozmowach, że robił zło. Dopiero gdy okazało się, że nie musi się już z niczego rozliczać, zaczął budować piętrowe uzasadnienia swojej biografii. Potrafił nawet na łamach „The Guardian" mówić, że po wojnie zwalczał terrorystów, podobnych do tych z Al-Kaidy. To paskudna postać.

Serial jest skupiony na współczesności, ukazując zarówno to, czym była PRL, jak i jej ciągłość w III RP. Pokazuje również jej symbiozę ze współczesnym Zachodem.

Ufundowana w Polsce po 1989 r. liberalna demokracja uderza w prawdziwą demokrację. Jej koryfeusze uważają siebie za elitę, panów świata rządzących podległymi im masami, które mają się emancypować. Taki stan rzeczy obejmuje całą cywilizację zachodnią, która zaczyna odsłaniać swoje podobieństwa do rządów despotycznych. Adam w pewnej chwili zauważa, że Taggart, jego amerykański szef, przypomina mu Menucha, rosyjskiego oligarchę, a faktycznie gangstera, z którym musiał przez pewien czas współpracować. Podobieństwo tych postaw jest groźne.

> Od przeszłości potrafimy oderwać się na tyle, na ile jesteśmy w stanie nadać kształt swojej tożsamości. Ale od niej samej nie jesteśmy w stanie się uwolnić. Jesteśmy zakotwiczeni w swoim losie, żyjąc w dziejącej się historii

A gdzie Zuzanna jako przykład typowego, zwykłego Polaka, bardzo prostolinijnego i romantycznego? Przegrała?

Nie przesadzajmy z tą typowością. Film rozpoczyna się od wyroku skazującego Zuzannę – dziennikarkę, która po latach oskarżyła jednego z byłych funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa o zabicie jej brata. Dziś ów funkcjonariusz to właściciel wielkiego portalu internetowego. To on produkuje film, dzięki któremu poznajemy opozycyjną przeszłość Zuzanny. Jej dzieje stanowią fabułę. Ubek ma w tym cyniczny interes, ale bohaterka przegląda się w postaciach z przeszłości. Historię czasu PRL oglądamy więc z dystansu. Mąż Zuzanny, Benedykt, dziennikarz tygodnika „Republika", przypominającego słynną „Politykę", która w realiach PRL odgrywała rolę reprezentanta liberalnego skrzydła władzy, ma świadomość klęski pomimo społecznego sukcesu. Zuzanna, choć oczywiście doświadcza dramatyzmu, bolesnych rozstań i samotności, nie nosi w sobie poczucia porażki. Jest naturalnie ukształtowana przez narodowy etos. Choć intelektualnie nie jest w stanie stawić czoła ani mężowi, ani jego wyrafinowanemu intelektualnie środowisku, odwołuje się do fundamentalnych zasad, które wyniosła z domu. To bardzo wymowne, jak łatwo postkomuniści odnaleźli wspólny język z dominującą klasą polityczną UE.

Sensem jest władza ponad wspólnotami, tożsamościami, interesami narodów?

Tylko to nie jest demokracja, lecz system oligarchiczny, rodzaj ideokracji, w której władza egzekwowana jest przez prawo i sądy, a sprawowana przez establishment. Nie ma jednego centrum, bo jest układem sieciowym, ale postawy kierujących nią są wszędzie identyczne, dlatego tak łatwo się porozumiewają.

Czy w świecie zniszczonym przez rewolucje, skazanym na dyktat rynków i pieniądza, osuwającym się w otchłań nihilizmu, książka i serial niosą jakieś optymistyczne przesłanie?

Książka kończy się w zawieszeniu, nie wiemy, co wybierze i jaką drogą podąży Adam Brok. Ale film niesie afirmację. Zuzanna wyrasta z narodowej tradycji, trwa w kulturze, która ją – jak i nas wszystkich – przekracza. Trwa w tym miejscu, w którym stała zawsze, a to daje jej siłę. Myślę, że jest to optymistyczne.

eprasa.pl 4a9be78ee4

W ostatnich latach zmienia się nastawienie polskiej opinii publicznej do Izraela. Dotyczy to zarówno lewicy, jak i prawicy

Biedny chrześcijanin patrzy na Strefę Gazy



GRZEGORZ GÓRNY

Izraelskie wojsko w Strefie Gazy

Podczas niedawnego spotkania z młodzieżą w Juracie Karol Nawrocki został zapytany, co sądzi o działaniach Izraela w Strefie Gazy i jaką politykę wobec tego powinna prowadzić Polska. Prezydent odpowiedział, że z jednej strony, w kategoriach geopolitycznych, Polska pozostaje w tym samym obozie co Izrael, ale z drugiej strony nie ma zgody na to, co robi państwo żydowskie w Strefie Gazy, a zwłaszcza na „mordy Izraela na niewinnych Palestyńczykach".

Choć była to pojedyncza wypowiedź w kontekście pozadyplomatycznym, warto zwrócić na nią uwagę, ponieważ oddaje ona pewną zmianę nastrojów, która dokonała się w polskiej klasie politycznej. Jeszcze do niedawna regułą w naszym kraju było unikanie jakiejkolwiek krytyki Państwa Izrael przez przedstawicieli głównych nurtów zarówno lewicy, jak i prawicy. Dominowała narracja o dialogu, porozumieniu, pojednaniu i współpracy. Na forum ONZ, gdy głosowano nad rezolucjami potępiającymi politykę Izraela, polska delegacja niemal zawsze opowiadała się przeciwko takim projektom. W pewnym momencie byliśmy uważani wręcz za najbardziej proizraelskie państwo w Europie.

PIERWSZE PĘKNIĘCIE

Prawdziwy zimny prysznic nadszedł na początku 2018 r., gdy w parlamencie była procedowana nowelizacja ustawy o IPN. Zakładała ona, że każdy, kto publicznie i wbrew faktom przypisuje polskiemu narodowi lub państwu odpowiedzialność lub współodpowiedzialność za zbrodnie przeciw ludzkości popełnione przez III Rzeszę, podlega karze grzywny lub pozbawienia wolności do lat trzech. Taka sama kara miała grozić za „rażące pomniejszanie odpowiedzialności rzeczywistych sprawców tych zbrodni".

Wspomniany projekt był odpowiedzią na ewidentne fałszowanie historii i przypisywanie Polakom głównej odpowiedzialności za Holocaust (w takiej roli coraz rzadziej przedstawiani byli natomiast Niemcy, którzy zamienili się w nieposiadających narodowości „nazistów"). Przejawem owego fabrykowania dziejów najnowszych było częste używanie określenia „polskie obozy śmierci".

Podczas procedowania nowelizacji główna kontrowersja, która pojawiła się w debacie publicznej, dotyczyła zbrodni dokonanych przez ukraińskich nacjonalistów. W tym kontekście nikt nie spodziewał się negatywnych reakcji ze strony żydowskiej. Dlatego prawdziwym zaskoczeniem dla wszystkich było wystąpienie Anny Azari, ambasador

Fot. Ran Zisovitch/Shutterstock.com

eprasa.pl 4a9be78ee4

Izraela w Polsce, w trakcie obchodów 73. rocznicy wyzwolenia Auschwitz-Birkenau 27 stycznia 2018 r. Dyplomatka zaprotestowała przeciw uchwalonej dzień wcześniej przez Sejm RP ustawie penalizującej tzw. kłamstwo oświęcimskie (tylko pięciu posłów głosowało przeciw nowelizacji). Powiedziała, że w Izraelu zostało to potraktowane jako „niemożliwość powiedzenia prawdy o zagładzie".

Te słowa padły w momencie najgorszym z możliwych – podczas uroczystych obchodów, gdy oczy całego świata były zwrócone na dawny niemiecki obóz zagłady. Wystąpienie izraelskiej ambasador natychmiast trafiło na czołówki wszystkich wpływowych mediów na naszym globie. Przekaz z uroczystości zdominowała narracja o tym, że Polacy chcą fałszować historię. Znów pojawiły się wzmianki o „polskich obozach zagłady" i „polskiej współodpowiedzialności za Holocaust". Tę narrację wzmocniły wypowiedzi czołowych polityków izraelskich. Premier Binjamin Netanjahu zaapelował o wycofanie projektu wspomnianej nowelizacji. Powiedział: „Ta ustawa nie ma podstaw, jestem jej zdecydowanie przeciwny. Nikt nie może zmienić historii, a Holokaust nie może być negowany".

Jeszcze mocniej zaatakował Polskę lider lewicowej opozycji Ja'ir Lapid, który powiedział, że setki tysięcy Żydów zostały zamordowane na ziemiach polskich, nie spotykając żadnego niemieckiego żołnierza. Powołał się przy tym na swe rodzinne doświadczenie, mówiąc, że jego babkę zamordowali podczas Holocaustu Polacy. Później okazało się, że polityk bezczelnie kłamał, ponieważ obie jego babki przeżyły wojnę.

Władze w Warszawie wydawały się oszołomione tym atakiem. Mówiły, że projekt ustawy był konsultowany ze stroną izraelską od dwóch lat i nie pojawiły się żadne zastrzeżenia. Co więcej, pod wpływem izraelskich uwag do nowelizacji zostały wniesione poprawki, jakich życzyli sobie Żydzi. Projekt nie przewidywał karania świadków ocalałych z Holocaustu za ich wspomnienia z czasów wojny (np. dotyczące polskich szmalcowników). Nie penalizował też opinii, które padłyby „w ramach działalności artystycznej lub naukowej". Mimo to w świat poszła inna narracja.

DRUGIE PĘKNIĘCIE

Miesiąc po tych wydarzeniach doszło do kolejnego zaostrzenia sporu. Powodem była wypowiedź premiera Mateusza Morawieckiego w trakcie Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Szef polskiego rządu został zapytany przez izraelskiego dziennikarza Ronena Bergmana, czy w świetle nowelizacji ustawy o IPN zostałby uznany za przestępcę, gdyby przytoczył historię swojej matki, która co prawda przeżyła Holokaust, ale członkowie jej rodziny zginęli, ponieważ zostali zadenuncjowani na Gestapo przez Polaków. Premier odpowiedział: „Oczywiście nie będzie to karane, nie będzie to postrzegane jako działalność przestępcza, jeśli ktoś powie, że byli polscy sprawcy. Tak jak byli żydowscy sprawcy, tak jak byli rosyjscy sprawcy czy ukraińscy, nie tylko niemieccy".

Wypowiedź ta wywołała burzę w Izraelu, gdyż uznano, iż Morawiecki zrównuje żydowskie ofiary z niemieckimi ludobójcami. Być może premier powinien być bardziej precyzyjny, ale jego zamysł był czytelny: czym innym jest odpowiedzialność narodu czy państwa, a czym innym poszczególnych ludzi. Hannah Arendt w swej książce „Eichmann w Jerozolimie" pisała przecież o zbrodniczej działalności policji żydowskiej w gettach. Czy mówienie prawdy o żydowskich kolaborantach, którzy pracowali dla Gestapo, takich jak Abraham Gancwajch czy Leon Skokowski, jest zrównywaniem katów z ofiarami?

Niemniej wypowiedź Morawieckiego zapoczątkowała nową fazę kryzysu we wzajemnych relacjach. W izraelskich mediach znów pojawiła się masa tekstów o Polakach jako „negacjonistach" i „fałszerzach historii". Z nieoficjalnych doniesień wynikało, że w zażegnanie sporu zaangażowała się administracja amerykańska, której nie w smak był konflikt między jej dwoma sojusznikami.

Po kilku miesiącach negocjacji, 27 czerwca 2018 r., doszło do wydania wspólnej deklaracji Morawiecki–Netanjahu. W dokumencie stwierdzono, że Holokaust był bezprecedensową zbrodnią popełnioną przez nazistowskie Niemcy, a określenia typu „polskie obozy śmierci" są nieprawdziwe i zniekształcają odpowiedzialność sprawców. Oba rządy potępiły również antysemityzm i antypolonizm (było to pierwsze oficjalne stwierdzenie władz izraelskich, że istnieje żydowski antypolonizm, który należy odrzucić tak samo jak antysemityzm wśród Polaków). Tego samego dnia Sejm RP uchwalił ustawę, która wycofała sankcje karne z nowelizacji ustawy o IPN (pozostawiając jako dochodzenie sprawiedliwości drogę cywilnoprawną).

Choć na poziomie międzyrządowym spór został zażegnany, to jednak ukazał on kruchość deklarowanej wielokrotnie przyjaźni. Niektórzy porównywali tę sytuację do „kiczu polsko-niemieckiego pojednania". Okazało się, że Warszawa nie może liczyć na stronę żydowską, walcząc o swe dobre imię i prawdę historyczną na arenie międzynarodowej. W tle pozostawał też spór o reparacje wojenne od Niemiec, stawiając pytanie, czy naród, który był współsprawcą Holokaustu, może się domagać odszkodowań. Efekt był taki, że w 2018 r. wielu Polaków zostało odartych ze złudzeń żywionych wobec Izraela.

TRZECIE PĘKNIĘCIE

Nowy rozdział do tej historii dopisały wydarzenia w Strefie Gazy. Jeszcze do niedawna najmniejsza nawet wzmianka o izraelskich zbrodniach na Palestyńczykach spotykała się z publicznym potępieniem jako przejaw antysemityzmu. Teraz media, zwłaszcza internetowe, są pełne oskarżeń pod adresem Izraela, że jest państwem rasistowskim oraz dokonuje ludobójstwa Palestyńczyków – i nie budzi to ani powszechnego zdziwienia, ani publicznego oburzenia, zarówno na lewicy, jak i na prawicy.

Z Izraela wciąż dochodzą wieści o żydowskich napaściach na tle religijnym nie tylko na muzułmanów, lecz także na chrześcijan. W 2024 r. odnotowano tam 111 antychrześcijańskich incydentów, w tym 47 ataków fizycznych, w 2025 r. – 155 incydentów, w tym 61 ataków fizycznych. Większość sprawców pozostaje bezkarna. Niedawno sąd uniewinnił ultraortodoksyjnego osadnika, który w kwietniu br. w Starym Mieście w Jerozolimie przewrócił na ziemię i skopał zakonnicę z Francji. To wszystko sprawia, że wielu Polaków, także sympatyzujących do tej pory z Żydami, zmienia swoje nastawienie do Izraela.

eprasa.pl 4a9be78ee4

Zapomniany polski noblista



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Był warszawskim chłopakiem z żydowskiej rodziny, elektromonterem, fizykiem i jednym z naukowców pracujących nad stworzeniem pierwszej bomby atomowej. Później z powodów moralnych opuścił program Manhattan i resztę życia poświęcił walce z bronią, nad której opracowaniem sam pracował. W 1995 r. otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. W Polsce jego nazwisko wciąż pozostaje niemal nieznane

Ilu Polska ma noblistów? Według głośnego raportu Barbary Mróz-Gorgoń zaledwie pięciu. To oczywiście bzdura. Raport „Polaków portret własny" miał być opowieścią o tym, jak Polacy postrzegają samych siebie i jak Polska powinna budować swoją markę. Wśród polskich noblistów wymieniono Marię Skłodowską-Curie, Wisławę Szymborską i Olgę Tokarczuk, a pozostałych laureatów zastąpiono tajemniczym „itp.". Tymczasem nawet po uzupełnieniu tej listy o Henryka Sienkiewicza, Władysława Reymonta, Czesława Miłosza i Lecha Wałęsę wciąż nie otrzymujemy pełnego obrazu osób związanych z Polską, które zostały laureatami Nagrody Nobla. Pozostaje bowiem jeszcze jedno nazwisko, o którym w Polsce mówi się zaskakująco rzadko: Józef Rotblat, którego życie to gotowy materiał na scenariusz filmowy.

CHŁOPAK Z MURANOWA

Józef Rotblat urodził się 4 listopada 1908 r. w Warszawie, w rodzinie polskich Żydów. Jego dzieciństwo przypadło na czas gwałtownych przemian politycznych i społecznych, a młodość na pierwsze lata odrodzonej Rzeczypospolitej. Rodzina mieszkała w kamienicy przy ul. Miłej 64 na warszawskim Muranowie, w tej części miasta, która kilkadziesiąt lat później zostanie doszczętnie zniszczona przez niemieckich okupantów.

Początkowo nic nie zapowiadało, że ten chłopak z niezamożnej rodziny zostanie światowej sławy uczonym. I wojna światowa przyniosła Rotblatom finansową katastrofę. Ojciec Józefa prowadził wcześniej dobrze prosperujące



Fot. JOHN EGGITT/AFP/East News

eprasa.pl 4a9be78ee4

przedsiębiorstwo związane z transportem konnym, jednak wojenne konfiskaty zniszczyły podstawy tego biznesu. Przyszły fizyk musiał więc wcześnie zacząć pracować i nauczyć się samodzielności. Rodzina przeniosła się do niewykończonego jeszcze mieszkania w kamienicy przy ul. Nowolipki 53.

Droga do wyższego wykształcenia nie była dla niego prosta i przyjemna. Po ukończeniu szkoły rzemieślniczej, aby wesprzeć rodzinę, zatrudnił się jako pomocnik elektryka. W dzień pracował, wieczorami zaś zdobywał wiedzę, traktując naukę jako drogę do spełnienia wielkiego marzenia, którym była fizyka. W 1928 r. rozpoczął studia wieczorowe w Wolnej Wszechnicy Polskiej. Uczelnia dawała szansę na zdobycie wyższego wykształcenia również tym, których sytuacja materialna czy wcześniejsza droga edukacyjna utrudniały dostęp do tradycyjnych studiów. Rotblat szybko okazał się wyjątkowo zdolnym studentem, a jego talent dostrzegli warszawscy fizycy.

W 1932 r. uzyskał magisterium z fizyki. Ukończone kursy pedagogiczne dały mu również prawo do nauczania fizyki w szkołach średnich. Dwa lata później został asystentem w Pracowni Radiologicznej Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Pracował tam pod kierunkiem prof. Ludwika Wertensteina, ucznia Marii Skłodowskiej-Curie, i pod jego opieką przygotowywał rozprawę doktorską. Zajmował się fizyką jądrową i radiologią. Interesowało go promieniowanie oraz możliwości wykorzystania zjawisk zachodzących w jądrze atomowym. Dzięki pomocy prof. Stefana Pieńkowskiego i Czesława Białobrzeskiego w 1938 r. obronił doktorat z fizyki na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Warszawskiego. Miał wówczas 30 lat.

WYJAZD, KTÓRY URATOWAŁ MU ŻYCIE

Przełom nastąpił w 1939 r. Kilka miesięcy po obronie doktoratu Rotblat wyjechał do Anglii na stypendium. Początkowo miał tam spędzić zaledwie pewien czas, jednak na Wyspach pozostał już do końca życia. Rozpoczął pracę na Uniwersytecie w Liverpoolu pod kierunkiem Jamesa Chadwicka, laureata Nagrody Nobla za odkrycie neutronu. Dla młodego naukowca z Warszawy był to ogromny awans i wejście w sam środek światowej fizyki jądrowej. Nie mógł jeszcze wiedzieć, że wyjazd z Polski uratuje mu życie.

Kilka miesięcy później Niemcy zaatakowały Polskę. Wybuchła wojna, która na zawsze zmieniła jego życie. Rotblat nie zdołał niestety uratować swojej żony, Toli. Początkowo nie było go stać, by zabrać ją ze sobą do Anglii. Kiedy jego stypendium zostało podwojone, jeszcze przed wybuchem wojny, przyjechał do Polski, by sprowadzić ją na Zachód, Tola zachorowała jednak na zapalenie wyrostka robaczkowego i nie była w stanie podróżować. Rotblat wrócił więc sam. Nigdy więcej nie zobaczył ukochanej. Stało się tak, mimo że wielokrotnie próbował wydostać żonę z okupowanej Polski. Wszystkie starania zakończyły się niepowodzeniem. Najprawdopodobniej Tola zginęła w niemieckim obozie zagłady w Bełżcu. Dla Rotblata była to tragedia, która na zawsze odcisnęła piętno na jego życiu. Stracił żonę, rodzinne miasto i świat, który znał od dzieciństwa. Sam przeżył wojnę na Zachodzie, ale świadomość losu Toli prześladowała go do końca życia. Choć cieszył się powodzeniem u kobiet, nigdy się już nie ożenił.

PROJEKT MANHATTAN

Na początku lat 40. XX w. coraz więcej fizyków zdawało sobie sprawę, że odkrycia dotyczące rozszczepienia jądra atomowego mogą doprowadzić do stworzenia broni o niespotykanej dotąd sile. Sprawa była niezwykle poważna. Obawiano się, że nazistowskie Niemcy mogą jako pierwsze skonstruować bombę atomową, co mogłoby przesądzić o klęsce aliantów. Rotblat podzielał te obawy. W Wielkiej Brytanii powołano specjalny komitet kierujący badaniami nad energią atomową o nazwie MAUD Committee. Prace prowadzono w najważniejszych ośrodkach akademickich, m.in. na uniwersytetach w Birmingham, Liverpoolu, Oksfordzie i Cambridge.

Rotblat od początku był zaangażowany w te badania. W czerwcu 1942 r. prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin D. Roosevelt powołał tajną strukturę o nazwie Manhattan Engineer District, której zadaniem było opracowanie i zbudowanie bomby atomowej. Rok później premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill uzgodnił z Rooseveltem, że zasadnicza część prac zostanie przeniesiona do Stanów Zjednoczonych, a brytyjscy fizycy dołączą do amerykańskiego programu.

Wśród naukowców pracujących w Wielkiej Brytanii było wielu uchodźców z Niemiec i innych krajów Europy. Prawie wszyscy przyjęli brytyjskie obywatelstwo. Wyjątkiem był Rotblat, który tego nie zrobił, ale ostatecznie uzyskał zgodę na wyjazd do USA, zachowując polski paszport. Na początku 1944 r. znalazł się w Los Alamos w Nowym Meksyku, w ściśle tajnym ośrodku, gdzie realizowano Manhattan Project: amerykańsko-brytyjski program budowy bomby atomowej. Rotblat pracował przy budowie broni niespełna rok. W listopadzie 1944 r. do Los Alamos przyjechał James Chadwick. Przywiózł informacje wywiadowcze, z których wynikało, że Niemcy zrezygnowali z budowy bomby atomowej. Dla Rotblata była to przełomowa wiadomość. Skoro główny powód, dla którego przystąpił do projektu, przestał istnieć, uznał, że dalszy udział w pracach nie ma już moralnego uzasadnienia. Postanowił odejść z programu. Uzyskał zgodę na opuszczenie Los Alamos i wrócił do Anglii.

OD TWÓRCY BOMBY DO JEJ PRZECIWNIKA

Po wojnie Rotblat nie zdecydował się na powrót do Polski. Wiedział, że część niemieckich fizyków jądrowych została schwytana przez Armię Czerwoną i zmuszona do pracy nad sowieckim programem atomowym. W 1946 r. przyjął brytyjskie obywatelstwo. Jeszcze klika lat pracował na uniwersytecie w Liverpoolu, a od 1949 r. był profesorem w londyńskim Szpitalu św. Bartłomieja, gdzie zajął się m.in. radiobiologią i medycznymi zastosowaniami promieniowania. Jednocześnie coraz głośniej ostrzegał przed konsekwencjami nasilającego się wyścigu zbrojeń.

W 1954 r. Stany Zjednoczone przeprowadziły na atolu Bikini próbę potężnej bomby termojądrowej. Rotblat

eprasa.pl 4a9be78ee4

analizował skutki promieniowania i opadu radioaktywnego oraz zwracał uwagę na skalę zagrożenia dla ludności oraz środowiska. Wnioski, do których doszedł, opublikował w 1955 r. Jego praca wzbudziła niezadowolenie amerykańskich i brytyjskich władz, przyczyniła się jednak do rozpoczęcia międzynarodowej dyskusji na temat konsekwencji prób nuklearnych. Wtedy skrzyżowały się drogi Rotblata i Bertranda Russella. Brytyjski filozof, matematyk i laureat Nagrody Nobla był jednym z najbardziej zdecydowanych przeciwników broni nuklearnej. Wspólnie z Albertem Einsteinem i grupą innych wybitnych uczonych Russell doprowadził do napisania w 1955 r. manifestu Russella–Einsteina. W dokumencie ostrzegano przed konsekwencjami rozwoju broni masowego rażenia i wzywano naukowców oraz przywódców świata do podjęcia działań na rzecz pokoju. Wśród 11 sygnatariuszy znalazł się Rotblat, a także inny polski uczony Leopold Infeld.

NAUKOWCY PONAD GRANICAMI

Dwa lata później, w 1957 r., odbyła się pierwsza konferencja naukowców Wschodu i Zachodu poświęcona zagrożeniom związanym z bronią masowego rażenia. Spotkanie zorganizowano w kanadyjskiej miejscowości Pugwash, a konferencji przewodniczył Rotblat. Tak narodził się ruch, który przyjął nazwę od miejsca pierwszego spotkania – Konferencja Pugwash w Sprawie Nauki i Problemów Światowych. Rotblat stał się jedną z najważniejszych postaci tego środowiska. Przez lata zabiegał o to, by naukowcy z państw pozostających po przeciwnych stronach zimnowojennego konfliktu mogli rozmawiać ze sobą nawet wtedy, gdy ich rządy były na skraju wojny. Głównym przesłaniem Konferencji Pugwash była „eliminacja wszelkiej broni masowego rażenia (jądrowej, chemicznej i biologicznej) oraz wojny jako instytucji społecznej służącej rozstrzyganiu sporów międzynarodowych". Rotblat pełnił funkcję sekretarza generalnego organizacji w latach 1957–1973, a później, w latach 1988–1997, był jej prezydentem. Przez dziesięciolecia przekonywał kolejne pokolenia uczonych, że ich praca nie może być oderwana od jej moralnych konsekwencji.

ZWIEŃCZENIE KARIERY

W 1995 r. Komitet Noblowski podjął decyzję, która w symboliczny sposób zamknęła niezwykłą drogę Rotblata. Pokojową Nagrodę Nobla otrzymał razem z całą organizacją Pugwash. Uzasadnienie mówiło o ich działaniach na rzecz zmniejszenia, a następnie wyeliminowania roli broni nuklearnej w polityce międzynarodowej. W 1995 r. minęło pół wieku od zrzucenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki. Rotblat miał wówczas 86 lat. W swojej noblowskiej mowie wzywał naukowców z całego świata do zaprzestania prac nad tworzeniem, rozwojem, ulepszaniem i produkcją dalszej broni nuklearnej oraz innych rodzajów broni potencjalnego masowego rażenia, takich jak broń chemiczna i biologiczna. Wyraził też ulgę, że od zakończenia II wojny światowej nie użyto broni atomowej. Podczas uroczystości poprosił o odtworzenie Poloneza As-dur Fryderyka Chopina.

> Na początku 1944 r. Józef Rotblat znalazł się w Los Alamos w Nowym Meksyku, w ściśle tajnym ośrodku, gdzie realizowano Manhattan Project: amerykańsko-brytyjski program budowy bomby atomowej

Anglia świętowała sukces Rotblata. Przyjęto go do Royal Society, otrzymał odznaczenia i tytuł szlachecki. W Polsce natomiast przyznanie Nagrody Nobla Rotblatowi i Konferencji Pugwash spotkało się z dużym sceptycyzmem. „Gazeta Wyborcza" stwierdziła, że zagrożenie nuklearne nie jest już istotne, a Pokojową Nagrodę Nobla powinien otrzymać rosyjski dysydent Siergiej Kowalow. Być może właśnie tutaj należy szukać jednej z przyczyn, dla których Rotblat nie przebił się w świadomości Polaków jako „nasz" noblista. Zmarł w Londynie 31 sierpnia 2005 r., w wieku 96 lat.

ZAPOMNIANY

Polacy dobrze pamiętają swoich siedmiu noblistów. Bez problemu potrafimy wymienić Marię Skłodowską-Curie, Henryka Sienkiewicza, Władysława Reymonta, Czesława Miłosza, Lecha Wałęsę, Wisławę Szymborską czy Olgę Tokarczuk. Józef Rotblat pozostaje poza głównym nurtem tej pamięci. A przecież urodził się w Warszawie, studiował w Warszawie, doktorat obronił na Uniwersytecie Warszawskim i właśnie w Polsce rozpoczął karierę naukową. Był człowiekiem ukształtowanym przez przedwojenną Warszawę. Co prawda większość dorosłego życia spędził w Wielkiej Brytanii, przyjął brytyjskie obywatelstwo, a Nobel został mu przyznany jako osobie związanej z Wielką Brytanią. Oficjalne materiały noblowskie wskazują Wielką Brytanię jako kraj, który reprezentował. Sam Rotblat do końca życia przedstawiał się jednak jako „Polak z brytyjskim paszportem". W jego biografii szczególnie mocno wybrzmiewa doświadczenie polskiego Żyda, który rozpoczął dorosłe życie w II Rzeczypospolitej, a następnie stał się świadkiem katastrofy wojennej i Zagłady. Nie sposób zrozumieć jego późniejszego pacyfizmu bez pamięci o tym, co wojna zrobiła z jego bliskimi i z krajem, z którego pochodził.

Paradoks jego losu czyni go jednym z najbardziej fascynujących polskich noblistów. Urodził się w Warszawie, a był Żydem. Czuł się Polakiem, a miał brytyjskie obywatelstwo. Był fizykiem, ale Nobla otrzymał za działalność pokojową. Uczestniczył w pracach nad stworzeniem broni atomowej, pracował przy projekcie Manhattan, a później stał się jednym z najbardziej konsekwentnych przeciwników broni jądrowej i jedną z najważniejszych postaci ruchu Pugwash. W 1995 r. świat przypomniał sobie o tym człowieku. Teraz Polska powinna zrobić to ponownie.

eprasa.pl 4a9be78ee4



– Lektura świadectw pozwala spojrzeć na Alicję od strony duchowej, ale film przybliża również jej życie prywatne. Pokazuje osobę z charakterem, walczącą o swoje prawa, o siebie, o kobiecość, o niezależność – mówi Dorota Chotecka, która zagrała Alicję Lenczewską w filmie „Mistyczka”

Takiej roli się nie odrzuca

Fot. Rafael Film

eprasa.pl 4a9be78ee4



Z aktorką **Dorotą Chotecką** *rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Kim była Alicja Lenczewska?

Dorota Chotecka: Zwyczajną kobietą, nauczycielką, jedną z nas. Miała normalne życie. Uwielbiała podróże. Dzięki bratu, człowiekowi wykształconemu, znającemu 12 języków, poznawała świat. To ją bardzo absorbowało. Żyła „od – do". Nie udało jej się znaleźć w tym czasie miłości – ani tej ludzkiej, ani głębszej. W takiej samotności dożyła 51 lat.

I co się wtedy wydarzyło?

Trudno jednoznacznie określić, tym bardziej wyznaczyć konkretny moment. To pewnie się działo... Mama Alicji była katoliczką, ona w tym natomiast nie uczestniczyła. Wręcz przeciwnie, należała do partii. Można powiedzieć – jak wielu ludzi w tamtych czasach. Z Kościołem nie było jej po drodze. Bratu również, choć on pierwszy się nawrócił. Zaczął czytać, analizować Pismo Święte. W trakcie jednej z licznych podróży wyjątkowo często stawiał sobie egzystencjalne pytania: skąd się wzięliśmy, czym jest szczęście, kim jest Bóg? Alicja pozostawała pod wpływem brata, uwielbiała go. Po trosze zastępował jej ojca. Jego poszukiwania musiały na nią oddziaływać.

W jaki sposób?

Bardzo dużo – już z filmu – opowiedziałam, resztę widzowie powinni zobaczyć na ekranie.

Tytuł jest bardzo konkretny – „Mistyczka". Czy ekranowa bohaterka to przede wszystkim autorka „Świadectwa. Dziennika duchowego" i „Słowa pouczenia"?

Lektura świadectw pozwala spojrzeć na Alicję od strony duchowej, ale film przybliża również jej życie prywatne. Pokazuje człowieka, kobietę, a dla mnie także – jakby to śmiesznie nie zabrzmiało – „katolicką feministkę". Osobę z charakterem, walczącą o swoje prawa, o siebie, o kobiecość, o niezależność. Zdobyła wykształcenie, jeździła po świecie, nie była osobą zaściankową – żaden zamknięty w czterech ścianach „moherowy beret".

Czy przedstawienie jej widzom było dla pani bardziej inspiracją, czy wyzwaniem?

To zależy, czy pytanie dotyczy duchowości, czy aktorstwa. Przygotowując się do roli, musiałam poznać życiorys bohaterki. Utrzymywałam kontakt z jej bratową, a reżyser Jan Sobierajski praktycznie wiedział o niej wszystko, lecz i tak mieliśmy świadomość, że są ludzie, którzy spotkali Alicję na swojej drodze. Nie wyobrażają jej sobie, ale ją znali.

Czy miała pani jakiś klucz do zbudowania tej roli?

Nie, to był zlepek tysiąca informacji. Ważny był czas, długa perspektywa opowiadania. Widzimy bohaterkę zarówno, gdy ma lat 37, jak i 86. To niezwykle ciekawe i mobilizujące aktorsko.

A duchowo? Znała pani „Świadectwa"?

Miałam z nimi kontakt na długo przed wejściem na plan. Nagrywałam audiobook, nie wiedząc, że za jakiś czas będę grała Alicję. Reżyser, proponując mi rolę, też nie wiedział o audiobooku.

Lenczewska zmarła w 2012 r. Jej zapiski po raz pierwszy zostały opublikowane cztery lata później. Jak pani na nie trafiła?

Mój mąż [Radosław Pazura – przyp. red.] natknął się na nie pierwszy. Potem dostaliśmy propozycję nagrania audiobooka. Czytałam ten tekst do mikrofonu i nic nie rozumiałam. Cieszyłam się, że przypadła mi rola osoby pytającej, bo pytania były dla mnie bardziej zrozumiałe niż odpowiedzi, które czytał Radek.

Fot. Rafael Film

eprasa.pl 4a9be78ee4

Jak pani zareagowała na propozycję zagrania Alicji Lenczewskiej?

W pierwszym odruchu nie byłam chętna. Wydawało mi się, że to będzie kolejny nudny katolicki film, ale „Mistyczka" nie bez powodu jest zapowiadana jako dramat biograficzny. Oczywiście nie można pominąć tego, że film opowiada o osobie, która rozmawiała z Bogiem, ale nie zawęża to przekazu. Teraz to wiem, kiedy jednak spotkałam się z reżyserem – mniej więcej rok przed rozpoczęciem zdjęć – bez ogródek stwierdziłam, że kompletnie mnie to nie interesuje. Chcę zagrać w czymś dobrym albo w ogóle. Wtedy reżyser powiedział, że dobrze się składa, bo on chce zrobić dobry film. Poprosiłam o przesłanie scenariusza, ale wyszłam z przekonaniem, że nic z tego nie będzie.

Co spowodowało, że zmieniła pani zdanie?

Scenariusz pozytywnie mnie zaskoczył, ale dałam sobie jeszcze czas na decyzję. Potem zadzwoniłam z pytaniem, kto zagra młodszą Alicję. Usłyszałam, że cała rola – i tej 37-letniej, i 86-letniej bohaterki – jest pisana dla jednej aktorki. To mnie zafascynowało. Wiarygodnie pokazać starzenie się to nie tylko dać się ucharakteryzować – to wielka wewnętrzna i zewnętrzna zmiana. W gestach, ruchu, dynamice... Pomyślałam, że takiej roli się nie odrzuca.

Przyjęła pani wyzwanie aktorskie. Czy w którymś momencie, przy jakiejś scenie, zaczęła pani rozumieć sens świadectw Alicji?

Pierwszy moment rozmowy z Bogiem, odruch zapisywania tego, co Alicja słyszy, zarówno z ludzkiej, jak i aktorskiej perspektywy – to nie było łatwe do pokazania. Nawet z niemałym warsztatem i doświadczeniem trudno konfrontować się z mistycznym przekazem. Moje wewnętrzne przekonanie, moja wiara potrzebowały wsparcia wszystkich aktorskich umiejętności i technik. Co warto podkreślić, był również pewien znaczący trop.

Jaki?

W zapiskach jest fragment, w którym Alicja pyta wprost, dlaczego Jezus wybrał akurat ją. Jest przecież tylu ludzi. Odpowiedź była bardzo prosta: „Absolutnie nie jesteś wyjątkowa. Jesteś taka sama jak inni". Bo każdy słyszy ten głos. Tyle że jeden otwiera się na ten przekaz i coś z nim robi, inny nie, ale słyszy każdy. Poszłam właśnie tym tropem.

Brata Alicji Lenczewskiej – postać, jak pani wspominała, bardzo ważną dla bohaterki – zagrał Sławomir Orzechowski. Jak wyglądała wasza współpraca?

Wcześniej spotykaliśmy się wielokrotnie. Nie tylko na deskach scenicznych, lecz także w filmie, np. w „Pożegnaniu z Marią" (prawie 35 lat temu) czy w „Ranczu", do którego ostatnio z ekipą wróciliśmy.

Grała pani także z mężem?

Nie, Radek nie ma żadnych scen.

To w jakim charakterze wystąpił w filmie?

Nie wiem, czy możemy o tym mówić.

Powiedzmy więc, jak przeżywa się 50 lat w jednym filmie. Kogo widzi się w lustrze?

Nie jest łatwo oglądać siebie za kilkadziesiąt lat, u schyłku życia. Robi się smutno, bo chociaż nie jesteś starym człowiekiem, charakteryzacja wydobywa i pogłębia to, przed czym się nie ucieknie. A film to nie sesja zdjęciowa. Nie mija po kilku godzinach, lecz trwa przez kolejne dni. Jestem aktorką, która musi poczuć rolę, technikę narzucam sobie później. Charakteryzacja pomaga, ale większość dzieje się wewnątrz. Wszystko ci się starzeje, więdniesz. Dla takiej osoby jak ja – żywotnej i żywiołowej – utrata witalności jest bardzo trudnym doświadczeniem.

Premiera odbywa się rok od zakończenia zdjęć. Jak z tej perspektywy patrzy pani na film i swoją bohaterkę?

Jestem ciekawa, jak odbiorę to dzisiaj, bo jeżeli ktoś wchodzi w projekt całym sobą, tak od serca, od trzewi – to kosztuje. Po ostatnim klapsie czułam ogromne zmęczenie, fizyczne i psychiczne. Przełożenie na ekran doświadczenia tak intymnego jak modlitwa, gdy dzieje się to przed kamerą, z 40 osobami wokół – to było wyzwanie. A jeszcze trzeba zagrać tak, by ludzie uwierzyli. To chyba było dla mnie najważniejsze – by widzowie uwierzyli w tę postać, uwierzyli tej Alicji.

Podobno pierwszy test wiarygodności zdała pani już na planie.

Duża w tym zasługa charakteryzatorki, poruszająca była także reakcja bratowej Alicji, Doroty Lenczewskiej, która przyszła na nagranie pierwszych scen. Popłakała się, a potem usłyszałam, że nie tylko wyglądem, lecz także gestami przypominam Alicję. Nawet poduszkę poprawiam tak jak ona.

Co zostało w pani dzięki „Mistyczce"?

Uniwersalny przekaz. Poszukiwanie prawdziwej miłości, którą każdy może odnaleźć w drugim człowieku. To jest niesamowite, piękne, bardzo optymistyczne. I mimo że zapiski bywają również apokaliptyczne, niosą nadzieję, a człowiek bez nadziei nie mógłby przecież istnieć, prawda?

Za sprawą premiery (film w kinach od 11 września) po roku wróci pani do Alicji Lenczewskiej. A jak wyglądało spotkanie – po długiej przerwie – z bohaterami „Rancza"?

Ogólnie było miło, a jednocześnie refleksyjnie. Niby wszystko jest tak jak dawniej, ci sami ludzie na planie, a jednak minęło 11 lat. Niczym pstryknięcie. I widzisz, masz dojmujące odczucie, jak krótkie i nieprzewidywalne jest życie, jak czas pędzi i za moment nas tu nie będzie. Pojawia się pytanie, co zrobić, byśmy zamykając oczy, mogli powiedzieć: „To było piękne życie". Żeby nie żałować, nie być rozgoryczonym. Tak, plan „Rancza" to doświadczenie dające do myślenia. I serdeczne wspomnienie tych, których już z nami nie było.

Coś się kończy, coś zaczyna. A co dalej u pani zawodowo?

Kolejny plan, tym razem film Piotrka Dolińskiego „Reduta". Kryminał. W obsadzie m.in. Ania Cieślak, Janusz Chabior i Łukasz Simlat, mam więc nadzieję na kolejne fajne i budujące twórcze spotkanie. Zapraszam też do Teatru Kamienica, m.in. na spektakl „Opiekunka na zabój", w którym gramy z Radkiem.

eprasa.pl 4a9be78ee4



HITY i KITY ZAREMBY



Współczuć migrantom? Ale czy wszystkim?

„Ktoś całkiem obcy" to film Amerykanina Brandta Andersena, produkt chrześcijańskiej firmy Angel Studios. W Polsce można go obejrzeć od 4 września. To nie tylko sprawnie zrealizowana, lecz także przejmująca opowieść o ludziach uciekających przed wojną w Syrii do Europy. Zarazem jako głos w dyskusji o masowej imigracji może się okazać myląca

Oryginalny tytuł to po prostu „Strangers", czyli „Obcy", „Cudzoziemcy". Jego reżyser jest doświadczonym producentem filmowym, ale własną pełnometrażową fabułę nakręcił po raz pierwszy, angażując do niej międzynarodową obsadę, przeważnie bliskowschodnią.

Przy okazji to dobry przyczynek do rozmowy o tym, jak różne oblicza może mieć chrześcijaństwo. W Polsce prawica, na ogół odwołująca się do katolicyzmu, nie optuje za otwieraniem się na migrantów, przeciwnie. Takie głosy padają za to ze strony radykalnie progresywnych katolików, a także części duchownych. Tymczasem ten film można odczytać jako argument na rzecz takiego otwarcia.

Argument mocny, bo odwołujący się do emocji, współczucia. Można dyskutować, czy jest to argument totalny, pamiętajmy jednak, jak na masowego odbiorcę działa popkultura, która nie wdaje się w niuanse.

W istocie ten film można odbierać jako mocno spóźniony. Zaczyna się w Syrii podczas wojny domowej sprzed kilku lat. Widzimy mocne obrazy terroru wojsk rządowych prezydenta Asada. Lekarka Amira (Yasmine Al Massri), która straciła dom i niemal całą rodzinę poza córką, ma wystarczające powody, by stamtąd uciec. Podobnie Mustafa (Yahya Mahayni), człowiek, który ją uratował, będąc żołnierzem reżimu. Oglądamy, jak padają ofiarą zachłannego przemytnika ludzi, wysyłającego w morze z południowej Turcji przeładowaną łódź, nie wyposażając części uciekinierów w kamizelki ratunkowe. Jak im nie współczuć?

Film nie jest wzorcem politycznej poprawności. Przemytnik, grany sugestywnie przez Omara Sy, znanego aktora z Francji, jest Murzynem. Kocha swojego synka, ale dla obcych ludzi nie ma empatii. Pozytywnymi postaciami są natomiast greccy strażnicy przybrzeżni z kpt. Stavrosem (Constantine Markoulanis) na czele. Oni z kolei całkiem bezinteresownie walczą o ocalenie życia ludzi łamiących prawo.

Film robi wrażenie, opowiada się za dobrem, zdjęcia są świetnie skomponowane, a muzyka sugestywna, działająca na nasze emocje. Portrety uciekinierów są nakreślone z maksymalną sympatią. Twórcy robią wszystko, by nas przekonać, że to tacy sami ludzie jak my.

Również krótki wstęp, cytat z Williama Szekspira, jest uogólniającym kołataniem do naszych europejskich sumień. Pytanie tylko, czy te emocje mogą i powinny dotyczyć wszystkich aspirujących do życia w europejskim dobrobycie. Uchodźców z objętej wojną Syrii na pewno. To oni ponad 10 lat temu zapoczątkowali falę, zakończoną sławnym „herzlich willkommen" kanclerz Angeli Merkel. Ale przecież dziś mamy do czynienia z migrantami ekonomicznymi. Czy istotnie musimy ich wszystkich przyjmować z otwartymi ramionami? Na pewno trzeba współczuć, gdy padają ofiarą morskich podróży, ale trzeba też pamiętać o konsekwencjach zasiedlania przez nich Europy.

Nawet w tym filmie widzimy Greków, którzy przez chwilę, w zwykłej rozmowie przy stole, zastanawiają się nad tym. Czy popełniają myślozbrodnię? Moim zdaniem nie. A zdaniem twórców filmu? Trzeba przyznać, że tego nie przesądzają. Nie uprawiają za wiele publicystyki, ale grają na naszych uczuciach. Czy jest to całkiem uczciwa gra, gdy przypomnimy sobie chronologię zdarzeń? Niech każdy widz osądzi to sam.

Piotr Zaremba

Fot. Galapagos Films

Tajemnica strzelaniny w szwedzkim liceum

Kina szwedzkiego nie znamy chyba tak dobrze jak amerykańskie czy brytyjskie. Tym ciekawiej było zerknąć na Netfliksie na sześciodcinkowy serial „Ruchome piaski" Pera-Olava Sørensena z 2019 r. Ten kryminał o życiu uczniów dobrego szwedzkiego liceum wciąga jak sprawnie nakręcone amerykańskie teen movies

Serial jest adaptacją poczytnej w Szwecji powieści Malin Persson Giolito. Punkt wyjścia został rozszyfrowany przez netfliksowe zajawki. Zaczyna się od sceny, w której widzimy licealistkę Maję Norberg (gra ją Hanna Ardéhn) w stanie szoku w szkolnej klasie, gdzie przed chwilą doszło do strzelaniny. Potem zostaje uznana za podejrzaną i osadzona w areszcie.

Zastosowano tu sztuczkę znaną z wielu filmów: obserwujemy aresztowaną bohaterkę w sytuacjach związanych ze śledztwem, ale nie bardzo wiemy, co się właściwie stało. Jeszcze na początku piątego odcinka, kiedy zaczyna się proces, nie znamy listy ofiar strzelaniny.

Przesłuchania są więc pokazywane wycinkowo, za to równolegle obserwujemy rozwijającą się retrospekcję. Maja wiąże się z chłopakiem z bogatej rodziny, Sebastianem Fagermanem (Felix Sandman). Po początkowej idylli Sebastian, uzależniony od narkotyków, skonfliktowany z ojcem, popada w depresję i ciągnie ją w dół. Aż do feralnego ranka, kiedy padną strzały.

Przy okazji poznajemy realia. Szwedzka młodzież jawi się jako wychowywana jeszcze swobodniej niż polska, rodzice unikają wtrącania się w sprawy nastoletnich dzieci. Dygresyjnie dotyka się tu tematu migracji, w tonie właściwie ambiwalentnym. Sebastian wygłasza tyradę przeciw migrantom, co inni potępiają. Ma osobisty powód, by tak mówić, gdyż Mają interesuje się pochodzący z Syrii Samir.

Wrażenie robi szwedzki areszt, w którym strażnicy obchodzą się z więźniami jak z jajkiem. Ci mogą do nich w każdej chwili zadzwonić z przyzwoicie urządzonego pokoju, np. Maja zamęcza personel takimi sygnałami.

Autorzy scenariusza unikają definitywnych konkluzji. To Sebastian jest przyczyną kataklizmu w życiu Mai, ale traktuje się go z pewną dozą współczucia. Zły jest tylko jego ojciec, pokazany wedle archetypu bezdusznego kapitalisty. Serial wciąga, mnożąc pytania i dwuznaczności w relacjach bohaterów. Jak dla mnie dziwnie blado wypada jednak finał, kiedy wreszcie widzimy, co się naprawdę stało. Ta pointa wydała mi się nie do końca spójna i wiarygodna.

Szwecja od lat słynie z kryminałów pełnych makabrycznych morderstw, popełnianych zwykle przez czystej krwi nordyków. Była w tym nawet przesada, bo do czasu jawiła się jako raczej spokojny kraj. W ostatnich latach zdarzały się tam strzelaniny w szkołach, choć z odmiennych powodów niż w tym serialu. Za to rozbuchana przestępczość cudzoziemskich gangów wciąż zbyt rzadko jest przedmiotem zainteresowania artystów.



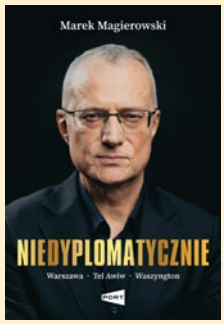
Fot. Materiały prasowe, Netflix

eprasa.pl 4a9be78ee4

MAGIEROWSKI JEDNAK DYPLOMATYCZNIE

„Niedyplomatycznie", dziełko Marka Magierowskiego, zdawało się zapowiadać ujawnienie jakichś tajemnic. Książka byłego ambasadora w Izraelu i w USA jest jednak bardzo dyplomatyczna

Autor, dawny dziennikarz konserwatywny, pracował jako rzecznik prezydenta Andrzeja Dudy i wiceszef MSZ w pisowskim rządzie. Potem uznano go za idealnego ambasadora. Dziś korzysta z przerwy w karierze, wydając książkę.



Ktoś mnie przekonywał, że Magierowski ujawnia w niej coś kłopotliwego, ale tak nie jest. Zaczyna od żartów z filmów o dyplomatach. Przekonuje, że mają niewiele wspólnego z szarymi realiami. Potem dostajemy strumień smacznych anegdot, czasem powiązanych z jego ambasadorskimi doświadczeniami. Dowiadujemy się, jak ciekawych ludzi spotkał na swej drodze. Jest w tym trochę chwalenia się, ale tego chyba oczekują czytelnicy.

Czasem są to dygresje, jak w opowieści o prezydencie Geraldzie Fordzie, a właściwie bardziej o jego niezwykłej żonie. Albo o kilku niezwykłych poliglotach, zresztą z dawnych epok.

Poważna i istotna jest część dotycząca odkłamywania prawdy o relacjach polsko-żydowskich. Widać, jak wielką pracę w tej sferze wykonał ambasador Magierowski. Tu akurat poznajemy jego poglądy. Zarazem skutki jego walki są więcej niż skromne, lecz nie z jego winy.

W książce nie znajdziemy za to linearnej opowieści o jego służbie na obu placówkach. Jest trochę narzekań na nieskuteczność dyplomacji gospodarczej czy kulturalnej. Nie ma kompleksowych ocen dotyczących polityki międzynarodowej – ani ekipy Morawieckiego, ani Tuska. Są drobne przytyki dotyczące zaniechań – choćby milczenia Tuska i Sikorskiego na temat konkursu chopinowskiego.

Magierowski pozostaje dyplomatą idealnym. Być może zechce wrócić do tego zajęcia.



Drop, czyli latający kolos

Drop jest ewenementem przyrody. To ptak, lecz z daleka stado żerujących dropi można pomylić z sarnami lub owcami – są tak wielkie. Budową i kształtem drop przypomina strusia, ale potrafi latać aktywnie, zbliżając się do granic praw fizyki



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Ostatnio pojawiły się informacje o szansie na przywrócenie tego osobliwego ptaka polskiej przyrodzie. Dyskusja o tym toczy się od dawna – od czasów, kiedy dropie nie tylko pojawiały się w Polsce, lecz także gnieździły się tu. Stawały się jednak coraz rzadsze, zmierzając ku zagładzie.

Dropie nie wszędzie wyginęły. Wciąż żyją – choć niezbyt licznie – na Węgrzech, Ukrainie, w Austrii czy we wschodnich Niemczech. Najwięcej jest ich jednak w Hiszpanii – tam gnieździ się ok. 30 tys. tych ptaków z ok. 50-tysięcznej całej populacji.

Nie dajmy się jednak zwieść liczbom – pozornie wysokie, w rzeczywistości wskazują, że drop jest ptakiem rzadkim, bardzo zagrożonym, a jego liczebną ostoją – jedyną, w przypadku której można mówić o stabilności – jest tylko jeden kraj. Ale nawet tam w bardzo krótkim czasie dropie mogą stać się skrajnie rzadkie, a nawet wyginąć, bo zagrożenie zwiększają ich wyjątkowe wymagania, o czym za chwilę. Na razie przyjrzyjmy się samemu ptakowi.

SZYBKI I CIĘŻKI ODLOT

Dorosły samiec dropia (*Otis tarda*) waży 18 kg, rozpiętość jego skrzydeł sięga 2,7 m, a wyprostowany mierzy ponad 1 m. Choć niekiedy podaje się, że wśród ptaków latających masą ciała dorównuje mu afrykański drop olbrzymi lub wyjątkowo duże osobniki łabędzia niemego, najcięższym spośród udokumentowanych ptaków zdolnych do lotu aktywnego – nie tylko szybowania, lecz także startu z rozbiegu i lotu napędzanego ruchem skrzydeł – jest właśnie drop. Rekordowo ciężki osobnik z Mandżurii ważył 23 kg. Wprawdzie na świecie żyją cięższe ptaki, lecz są nielotami, powyżej tej wagi mięśnie zwierzęcia nie są już bowiem zdolne do oderwania go od ziemi i utrzymania w powietrzu.

W locie drop może osiągać prędkość przeszło 90 km/h, w biegu natomiast samica – jako lżejsza – rozpędza się do ponad 50 km/h.

KULA BIAŁYCH PIÓR Z WĄSAMI

Oprócz rozmiarów dropia należy opisać jego wygląd. Przytoczmy słowa Władysława Taczanowskiego, XIX-wiecznego polskiego ornitologa, jako pasujące do ptaka, który niegdyś był stałym elementem naszej ornitofauny: „Głowa z szyją popielata, płaszcz rudy, czarno fladrowany, spód biały. U starego samca głowa, wyższa część karku i przednia część szyi blado popielate [...] pod żuchwą szerokie wąsy, około czterech cali długie, z piórek tęgich, wąskich [...] wąsy te ptak dowolnie rozkłada lub przykłada do twarzy. Płaszcz rudo rdzawy, gęsto poprzecznie czarno pręgowany".

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 4a9be78ee4



Dorosły samiec dropia waży 18 kg, rozpiętość jego skrzydeł sięga 2,7 m, a wyprostowany mierzy ponad 1 m

W czasie toków samiec nadyma się i ukazuje białe pióra, aż w końcu wygląda jak widoczna z 3 km biała kula, wydaje przy tym dziwaczne, burczące dźwięki. W przeciwieństwie do większości ptaków, drop ma zaledwie trzy palce u każdej stopy.

HISTORIA ZANIKU…

Jak wskazują wykopaliska, kiedy po epoce lodowcowej Europa pozostawała w większości bezleśna, zasięg gatunku był rozległy i pozbawiony przerw. Z czasem, w dużej mierze na skutek zmian środowiska, obszary występowania dropi rozrywały się, kurczyły, a w niektórych krajach zanikały. W Polsce jeszcze w XX w. drop utrzymywał się jako ptak lęgowy, już rzadki, lecz wciąż tworzący funkcjonującą populację. Przed II wojną światową w naszym kraju żyło ok. 700 przedstawicieli tego gatunku (wyłącznie na zachodzie), w latach 50. i 60. od 300 do 400, w 1980 r. doliczono się 16 dropi i 4 stanowisk lęgowych, a w 1986 r. w Parnicy w województwie zachodniopomorskim, w powiecie gryfińskim, stwierdzono ostatni lęg.

Później pojedyncze osobniki zalatujące zaobserwowano w odstępie kilku lat: w 2011 r. na Pomorzu, następnie w 2016 r. w Małopolsce i w 2018 r. ponownie na Pomorzu. Choć w ostatnich latach takich przypadków mogło być nieco więcej, niewątpliwie zawsze widziano osobniki, które pojawiły się u nas przypadkiem i nie zamierzały pozostawać na dłużej.

Jako podstawową przyczynę zaniku dropi wskazuje się zmiany środowiska. To ptaki stepów, zamieszkujące także tzw. step kulturowy, czyli pola, pastwiska i łąki. Muszą to być tereny rozległe, zapewniające bystrookim dropiom szeroki widok wokół, pustacie, w których człowiek pojawia się rzadko. Dropie są bardzo płochliwe, czujne i mają duży tzw. dystans ucieczki – odległość, po której przekroczeniu uciekają, nawet jeśli w rzeczywistości dostrzegły człowieka już dużo wcześniej. Z początku wolno przemieszczają się, nadal żerując i pozornie nie zwracając uwagi na sylwetkę na horyzoncie. Dopiero kiedy dystans jest zbyt mały – w przypadku dropi to kilkaset metrów, z tej odległości jesteśmy w stanie dostrzec jedynie małe sylwetki tych wielkich ptaków – ciężko zrywają się do lotu i znikają w dali.

…I HISTORIA POWROTU?

Problemem do rozwiązania w przypadku zamiaru ochrony dropi tam, gdzie występują, i przywrócenia ich tam, gdzie zaniknęły, czyli np. w Polsce, jest zapewnienie im rozległych przestrzeni, rzadko odwiedzanych przez ludzi. Powinny to być stepy, a w przypadku ich braku wspomniane pola, łąki i pastwiska. Duże powierzchnie, zapewniające rozległy widok, ale wzbogacone rozmaitością gatunkową upraw, czasem następstwem poszczególnych prac – a więc ścierniskami oraz ugorami i odłogami obok nieżętych jeszcze zbóż i innych roślin, elementami takimi jak miedze czy obecne w krajobrazie pasy zadrzewień i zakrzewień. Nie może tam być ogrodzeń i linii elektrycznych, z którymi dropie mogą się zderzyć w locie. Podstawowym warunkiem – oprócz tego, że takie przestrzenie muszą być rozległe – jest spokój. I o to jest niestety najtrudniej.

W „Panu Wołodyjowskim", w opisie podróży do Chreptiowa, możemy przeczytać, że „kilkakroć też ujrzała Basia, lubo z daleka, stojące na straży dropie" – z daleka, gdyż płochliwość od zawsze była wyróżniającą je cechą. Wspomniany Władysław Taczanowski pisał: „Wszelkie usiłowania przyswojenia i zamienienia go na ptaka domowego zapewne okażą się bezskutecznemi dla wrodzonej i niepodobnej do przełamania dzikości".

Jest to również przyczyną, dla której obecnie bardzo ostrożnie ocenia się szanse reintrodukcji dropi w Polsce. Próby są podejmowane, a najbardziej spektakularnym sukcesem jest niedawne wyklucie się ośmiu młodych ptaków w ośrodku hodowlanym Polskiego Związku Łowieckiego w Gorzowie Wielkopolskim. Dropie wykluły się z jaj sprowadzonych z Niemiec. To sprowokowało dyskusję i mimo wątpliwości każdy jej uczestnik ma nadzieję, że tym razem się uda. Oczywiście osiem ptaków to bardzo mało – by mówić o sukcesie, musielibyśmy mieć kilkaset dropi, zadomowionych w odpowiednim środowisku i corocznie przystępujących do lęgów.

Czy rezygnować? Co zrobić, jeżeli nie osiągnie się powodzenia, co wydaje się prawdopodobne? Oczywiście próbować dalej. Każda próba to nowe doświadczenia i wiedza, które można wykorzystać później. Nawet małe stado, rozmnażane w odpowiednich warunkach (np. w wolierach, pozwalających ptakom na nauczenie się samodzielności i jednoczesne zachowanie dzikości), ewentualnie wzbogacane kolejnymi osobnikami z sąsiednich populacji, daje szansę – może niewielką, lecz wartą podjęcia.

W ten sposób, hodując ptaki w warunkach wolierowych, lecz niemal naturalnych, przy jednoczesnym ograniczeniu kontaktu z ludźmi do minimum, leśnicy z powodzeniem odbudowują populację głuszców – ptaków leśnych, podobnie jak drop znanych z ostrożności i zachowujących dystans wobec ludzi. To się jednak zmieniło i obecnie głuszce coraz częściej zasiedlają rejony, w których wcześniej ich obecność byłaby wykluczona.

Czasem bowiem, oprócz działań ludzi, z pomocą przychodzi natura i gatunki wcześniej nieznoszące ludzkiego sąsiedztwa zmieniają zwyczaje, co skutkuje zadziwiającym, niespodziewanym wzrostem ich liczebności. Historia ochrony przyrody zna takie przypadki i kto wie, czy w połączeniu ze staraniami ludzi nie będzie tak również w odniesieniu do dropi. Zamiast więc mówić, że szanse są niewielkie, działajmy dalej, niewątpliwie bowiem istnieją.

eprasa.pl 4a9be78ee4



JAROSŁAW WSZĘDYBYŁ*

Nanga Dream – historia pewnej przyjaźni

Na zdjęciu (od lewej): Tomek Mackiewicz i Marek Klonowski



Kiedy słyszę nazwę Nanga Parbat, myślę o Marku Klonowskim i Tomku Mackiewiczu. Zacząłem się interesować tą górą od czasów ich wypraw, a śledząc ich losy, poznawałem też jej historię. Dlatego najkrócej – Nanga Parbat to dla mnie Marek Klonowski i Tomek Mackiewicz.

Dla nich ten azjatycki szczyt był marzeniem i celem, co dobrze oddaje nazwa – Nanga Dream. Z czasem stał się także miernikiem ich przyjaźni i miejscem, które wystawiło ją na próbę. Był wspólnym doświadczeniem przygody i pasji, ale w pewnym momencie również czymś, co ich podzieliło. Dla każdego z nich Nanga Parbat zaczęła oznaczać coś innego. To był ważny rozdział, który wpłynął na ich dalsze losy.

W pełnometrażowym filmie dokumentalnym „Nanga Dream", który właśnie powstaje, zdjęcia realizowane obecnie zostaną zestawione z wieloma dawnymi. Dlatego zwracamy się do osób posiadających nagrania, na których są Marek lub Tomek – z wypraw, spotkań, prelekcji, innych wydarzeń, a także prywatnych sytuacji. Chcemy stworzyć możliwie pełne archiwum, bo być może istnieją nieznane materiały, które pozwolą pokazać naszych bohaterów z szerszej perspektywy. Zachęcamy do kontaktu (nanga.dream.film@gmail.com), nawet gdy nagranie wydaje się słabej jakości lub niepozorne. Każdy taki materiał może być ważnym elementem tej historii i pomóc w jej współtworzeniu.

Bardzo chcielibyśmy ukończyć film w ciągu półtora roku do dwóch lat, tak by premiera mogła się odbyć w 2028 r. A jak będzie, zobaczymy.

Przypomnijmy: w styczniu 2018 r. oczy całego świata zwróciły się na Nanga Parbat. Tomasz Mackiewicz i Élisabeth Revol utknęli wysoko na zboczach góry, akcję ratunkową śledziły media z najdalszych zakątków świata. Ratownikom udało się dotrzeć do Revol i sprowadzić ją bezpiecznie w dół. Tomka nie zdołano uratować.

Klonowski poznał Mackiewicza w Irlandii w 2006 r. Po pewnym czasie zaproponował mu wyprawę na najwyższy szczyt Kanady – Mount Logan (5966 m n.p.m.). Zakończona sukcesem ekspedycja, nagrodzona Kolosem w kategorii wyczyn roku 2008, zainspirowała Klonowskiego do znalezienia nowego, ambitnego celu. Miało nim być pierwsze w historii zimowe wejście na Nanga Parbat.

Kiedy podczas jednego z kolejnych wyjazdów Marek postanowił opuścić ekspedycję wcześniej, w związku ze spodziewanymi narodzinami syna, wspólna droga w górach dobiegła końca – nigdy więcej nie wspinali się już razem. W 2016 r. pierwszego zimowego wejścia na Nanga Parbat dokonali Simone Moro, Ali Sadpara i Alex Txikon. Dla Marka był to koniec Nanga Dream. Tomek nadal chciał zimą stanąć na szczycie, Klonowski próbował mu to wyperswadować. Bezskutecznie.

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna

** Reżyser, scenarzysta i producent filmów dokumentalnych, twórca obrazu „Nanga Dream"*

Fot. Stanisław Loba, M. Klonowski

eprasa.pl 4a9be78ee4



SŁODKO-SŁONY

Zapalanka

ANNA MONICKA

„Jaką chcecie zupę?” – zawsze pyta moja ciotka, gdy przyjeżdżamy do niej na jesienne grzybobranie. Dawniej zaczynał się koncert życzeń. Jedni prosili o ogórkową, ale koniecznie taką z domowych ogórków, kwaszonych przez sołtysową. Innym marzyła się pomidorowa ze świeżo przetartych pomidorów, które kupuje się na ryneczku od starszej pani na rogu (uprawia kilkanaście odmian, bardziej lub mniej czerwonych, ale zawsze słodkich i niepryskanych żadnymi świństwami). Kiedyś na liście obowiązkowej był jeszcze pachnący rosół, ale ostatnio z „pudła” wyparła go prastara zapalanka. Ciotka zrobiła ją którejś zimy, gdy zabrakło jej pomysłów, i o dziwo od tamtej pory dzieciarnia jak jeden mąż wręcz błaga o tę zapomnianą zupę, „bo w domu nikt takiej nie potrafi zrobić”. Jadałam tę kartoflankę w zamierzchłym dzieciństwie, kiedy moja babcia sięgała czasem po przepisy swojej mamy, a mnie z siostrami zaganiała do kręcenia zacierek. Każda z naszej trójki dostawała kawałek ciasta (do dwóch jajek babcia wgniatała tyle mąki, ile przyjęły, a potem dzieliła na trzy części) i do miseczki wrzucała zrobione palcami malutkie kluseczki. Babcia była zadowolona, bo na jakiś czas miała nas z głowy, a i przy zupie nie musiała się specjalnie napracować – same plusy.

Potrzebujemy pięknej włoszczyzny z dorodnymi marchewkami, kilku ładnych ziemniaków i sporej kości z mięsem, najlepiej chudego żeberka (może być wędzone, chociaż nie musi). Na początek na gnacie i włoszczyźnie, doprawionej listkiem bobkowym i kilkoma kulkami ziela angielskiego, trzeba ugotować wywar. Gdy już będzie gotowy, wyciągamy z niego warzywa i kość, a wrzucamy pokrojone ziemniaki i zacierki wedle uznania. Marchew kroimy drobniutko, mięso obieramy i po kilku minutach dodajemy je do zupy z rozgniecionym ząbkiem lub dwoma czosnku i szczyptą majeranku. Teraz gwóźdź programu, czyli cebula – pokrojoną w piórka trzeba podsmażyć na oleju lub maśle (jak kto lubi), żeby zrobiła się szklista i brązowa, ale nie przypalona, bo gorzknieje. Ciotka mówi, że babcia dosypywała do cebuli jeszcze łyżkę mąki, ale ona już tak nie zagęszcza, aby zupa była lżejsza. Na koniec zaprawiamy zapalankę tą cebulą i doprawiamy do smaku solą i pieprzem.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Dynamika populacji

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jaka przyszłość czeka nas w kwestii liczebności naszego narodu? W zasadzie zawsze mówi się o postępującym, coraz szybszym spadku liczby urodzeń, którego skutkiem ma być rychły, może nawet katastrofalny spadek liczebności Polaków.

Jest to scenariusz możliwy, ale czy najbardziej prawdopodobny? Nasza wiedza o tym, jak zachowują się populacje – w tym populacje ludzi – jakie mechanizmy nimi kierują jest pełna luk.

Przyrost naturalny, śmiertelność, dzietność i wiele innych wskaźników zależy od bardzo wielu czynników. Znamy je słabo, niektórych nie znamy w ogóle, nie wiemy, że istnieją i mają wpływ. W dodatku dysponujemy niewielką liczbą danych, które można uznać za kompletne i przydatne. Inaczej mówiąc – nie wiemy, co powoduje, że ludzie chcą posiadać więcej lub mniej dzieci albo nie chcą ich posiadać w ogóle. Mamy tylko przypuszczenia.

Można więc powiedzieć, że do naszych prognoz, do przewidywania zmian populacji, używamy funkcji, która w zasadzie na pewno jest błędna i nie opisuje tych zmian prawidłowo. Ponadto dysponujemy niepewnymi i niepełnymi danymi – byłoby więc dużym przypadkiem, jeżeli w ten sposób potrafilibyśmy określić, czy – ogólnie mówiąc – liczba Polaków będzie maleć, aż znikniemy zupełnie, czy może zajdą takie zmiany w liczebności i strukturze wiekowej, które zaburzą lub uniemożliwią funkcjonowanie społeczeństwa.

Kto tuż po II wojnie światowej, w latach wyżu, przewidywał, że dwa pokolenia później zacznie się mówić o kryzysie demograficznym zamiast o przeludnieniu? Nie potrafimy przewidywać takich rzeczy, a do tego zmiany mające długofalowe konsekwencje mogą zajść bardzo szybko. Wystarczy, że któreś z pokoleń zdecyduje się na dużą liczbę dzieci. Bardzo dużą – i nagle pojawi się mnóstwo nowych młodych obywateli. Niemożliwe? Powtórzę – kilkadziesiąt lat temu nikt by nie powiedział, że dzieci nagle przestaną się rodzić. Tak jak teraz nie mówi się, że nagle zaczną.

Coś spowodowało spadek, coś może spowodować wzrost. Bierzmy więc pod uwagę i przygotowujmy się na różne scenariusze i nie dajmy się zaskoczyć żadnej skrajności.

eprasa.pl 4a9be78ee4

3 MIŁOŚCI

Magia neuroplastyczności



ROBERT TEKIELI

Brazylijka, jasnowidząca Vó Bahiana przepowiedziała, że podczas mundialowego meczu pomiędzy Brazylią a Szkocją w Miami dojdzie do porwania przez obcych. Nie doszło, interes jasnowidzącej kręci się jednak z tą samą mocą.

Na całym Zachodzie biznes ezoteryczny z roku na rok idzie w dziesiątki miliardów dolarów. Żeruje na ludzkim egoizmie i poczuciu bezradności. Stare oszustwa są ubierane w nowe słowa: „Badania pokazują, że kiedy skupisz się na dobrych rzeczach w swoim życiu, twój mózg dosłownie przebudowuje się, aby zacząć szukać więcej dobra. To jest magia neuroplastyczności". „Spowolnij swoje fale mózgowe do stanu Theta i zacznij świadomie korzystać z mądrości wszechświata". „Jak włamać się do snu! 3 metody", „10 oznak, że energetycznie wibrujesz wysoko i nawet o tym nie wiesz", „5 szybkich tipów na oczyszczenie Twojej energii", „Kolor twojej aury mówi więcej, niż myślisz", „8 zdań, które wydają się niewinne, a tak naprawdę są atakiem na Ciebie i Twoją energię", „5 blokad, które usuwa joga kundalini". Konsumenci popkultury nie mają świadomości, że proponuje się im otwarcie na toksyczną duchowość. Rozpoczynają dziwaczne praktyki, myśląc, że ich potrzeby zostaną zaspokojone bez żadnego wysiłku. Karmią się jednak fałszywą nadzieją.

Rola religii w społeczeństwach zachodnich gwałtownie spada. W to miejsce wcale nie wchodzi ateizm. Tam, gdzie nie ma już chrześcijaństwa, rozwija się zabobon.

Śp. Gabriele Amorth, watykański egzorcysta, powiedział w jednym z wywiadów: „Właśnie z duchowej próżni wywodzi się rozpowszechnienie, zwłaszcza wśród młodzieży, praktyk spirytystycznych, magii i okultyzmu. Do tego dochodzi poszukiwanie na drodze jogi, zen czy medytacji transcendentalnej. Dodaję do tego rozprzestrzenianie się różnych sekt, z których wiele nosi wyraźne cechy satanistyczne. Magii i spirytyzmu naucza się na różnych kanałach telewizji. Książki na ten temat można spotkać w kioskach z gazetami, a materiały dotyczące magii rozpowszechnia się również przez sprzedaż wysyłkową. Zły duch jest zwyczajnym oszustem. Przekazuje swoim gorącym zwolennikom pewne władze i »dary«. Nie od razu uświadamiają oni sobie, jakie jest źródło ich pochodzenia lub nie chcą tego zrozumieć, gdyż są nimi bardzo uradowani" – kończy Amorth.

Jaka jest jednak prawdziwa natura tych nadzwyczajnych „zdolności"? Są one jedynie konsekwencją nawiązania głębokiej relacji z demonem. Człowiek jest wtedy rodzajem kanału, przez który zły duch może ingerować w rzeczywistość – fizyczną i duchową. Człowiek staje się medium, czyli pośrednikiem. Jakie są konsekwencje tego otwarcia na zło? Depresje, niedające się leczyć nawet za pomocą farmakologii. Totalny życiowy pech. Pojawiające się nagle problemy w relacjach. Napadowe wahania nastroju, nieadekwatne do bodźców. Nieoczekiwane problemy z modlitwą. Utrata wiary w zbawienie, całkowity brak radości duchowej. Ale nienaturalnego pecha czy nagłego pojawienia się skłonności depresyjnych nikt nie połączy z wizytami u tarocisty. Czy ktoś skojarzy izolowanie się dziecka od rodziców ze słuchaniem ciemnej muzyki?

Gdy ktoś dostrzega w swoim życiu nadzwyczajne objawy, które pojawiły się po zaangażowaniu się we wróżbiarstwo, bioenergoterapię, radiestezję, jogę, pozytywne myślenie, niektóre praktyki oddechowe i wizualizacyjne, powinien szukać pomocy. Dziś egzorcysta jest już w każdej diecezji.

Każdy człowiek ma kontakt z szatanem, bo każdy jest kuszony i nie idzie z tym na modlitwę o uwolnienie. Istnieją jednak formy nadzwyczajnego działania zła w życiu człowieka.

Współczesne zagrożenia duchowe przybierają setki różnorodnych, czasami całkowicie niewinnych postaci. Wiele osób nawiązuje więc nadzwyczajną relację ze złym duchem zupełnie nieświadomie. Korzystają z usług jasnowidzów, zakładają



w domu „odpromienniki", mające chronić przed promieniowaniem nieistniejących żył wodnych. Piszą SMS z prośbą o wróżby, poprzez satelitarne kanały telewizyjne korzystają z usług tarocistów, stawiają sobie tarota w internecie dzięki specjalnie stworzonym do tego stronom. Ćwiczą capoeirę, tai chi chuan, aikido. Chodzą do bioenergoterapeutów, myśląc, że jest to odmiana medycyny. Bioenergoterapia jednak – podobnie jak wymienione wcześniej praktyki – jest ukrywającą swój charakter destrukcyjną duchowością.

Elżbieta: „Bioenergoterapeuta powiedział, że ja i mój chory syn mamy tyle »energii«, że możemy sobie nawzajem pomóc. Zaczęłam uczyć się korzystać z wahadełka. Potem zaczęłam przekazywać »energię«. Brałam zdjęcie osoby, leki i »przekazywałam« moc choremu. Wahadełkiem sprawdzałam, czy ktoś jest zdrowy, czy chory. Na co choruje i »uzdrawiałam«. Ludziom znikały guzy. Mówili o niesamowitej poprawie samopoczucia. W czasie seansu czułam przepływ energii przez moje ciało. Ale któregoś razu był tak ogromny przepływ energii, że zorientowałam się, iż nie ja trzymam to wahadełko. Poczułam, że ktoś mnie kontroluje i zaczęłam się bać i szukać pomocy.

W domu trzymałam »odpromienniki«, sama je »naładowałam«, chciałam dobrze spać, nie chciałam, by dom był pod wpływem »żył wodnych«. Na początku dobrze się czułam, a potem zaczęłam źle sypiać, byłam wyrywana ze snu, podenerwowana, rodzina nie mogła mnie znieść. Nie mogłam się modlić. Potem zachorowałam na ciężką chorobę, w ciągu miesiąca schudłam 25 kg. Zaczął się ciąg dramatycznych wydarzeń. Straciłam wtedy wszystko, zdrowie, męża. Moja rodzina została rozbita. Zostałam z dziećmi. Modliłam się i w czasie modlitwy chciałam popełnić samobójstwo. Wiedziałam, że mam skończyć z różdżkarstwem, wahadlarstwem. Szukałam pomocy, trafiłam na egzorcystę. Długo się spowiadałam, potem była specjalna Eucharystia. Nie mogłam wypowiedzieć słów: »Jezus jest moim Panem«. W czasie modlitwy upadałam na podłogę i miałam szczękościsk. Ksiądz próbował mnie namaścić, pokropić wodą święconą. Ale moje usta nie mogły się otworzyć, dopiero modlitwa do Maryi – »Pod Twoją obronę« – pomogła mi wypowiedzieć te słowa".

Jaki jest mechanizm demonicznej manipulacji? Pierwszy krok to wiara w fałszywe ideologie. Zaczyna się niewinnie. Iwona rozpoczęła swoją drogę do zniewolenia od położenia kasztanów na monitorze swego komputera, wtedy jeszcze kineskopowym. Ktoś napisał, że „wchłaniają" złe „promieniowanie". Wierzyła, zamiast dowiedzieć się, czy tak jest w rzeczywistości – a nie jest. Potem jej łatwowierność spowodowała, że uwierzyła w istnienie „energii" chi, weszła w radiestezję, jej historia zakończyła się bardzo źle.

Piotr uwierzył, że człowiek nie wykorzystuje 90 proc. potencjału swojego mózgu. Ten mit krąży w prasie popularnej od kilkudziesięciu lat. Jest nieprawdziwy. Wiadomo to od 30 lat, a ostatnie badania rezonansowe mózgu zakończyły jakiekolwiek dywagacje na ten temat. Jednak wiara w możliwość uruchomienia tego niby niewykorzystanego ludzkiego potencjału doprowadziła Piotra do wejścia

Rola religii w społeczeństwach zachodnich gwałtownie spada. W to miejsce wcale nie wchodzi ateizm. Tam, gdzie nie ma już chrześcijaństwa, rozwija się zabobon

w „pozytywne myślenie". Jest to ideologia niemająca żadnego związku z życiowym optymizmem. To rodzaj działań magicznych. Po afirmacjach Piotr przeżywał poprawy nastroju. Przez trzy miesiące. Potem przestało działać. Szukał dalej. Zakończyło się modlitwą o uwolnienie. Bo po przyjęciu tez błędnych ideologii następnym krokiem jest otwarcie się na toksyczną duchowość. Na istotę, która potrafi zwodzić, kusić, mamić.

Nowoczesne przebrania starodawnych metod inicjacyjnych możemy spotkać również w muzyce młodzieżowej. Subkultura techno spożytkowała doświadczenia tradycji szamańskiej. Twórcy tej muzyki bardzo wnikliwie dokumentowali wszystkie tradycje szamańskie, istniejące jeszcze w latach 60. i 70. ub.w. Rejestrowali muzykę ceremonialną, która wprawia uczestników szamańskich rytuałów w trans. Wyodrębniali poszczególne przebiegi muzyczne, które poprzez swą psychoaktywność najlepiej służyły do tego celu. W efekcie powstał nurt muzyki, którego głównym celem jest wprowadzenie człowieka w odmienny stan świadomości w trakcie imprezy techno. Niskie, basowe dźwięki powtarzane z dużą częstotliwością mają zdolność wywoływania zaburzeń serca, bardzo podobnych do rejestrowanych podczas napadów epileptycznych. Wysokie dźwięki są tak skonfigurowane, że modyfikują przebieg fal mózgowych.

Psychoaktywność muzyki techno można zobrazować na przykładzie innego zabiegu stosowanego na imprezach z tą muzyką. Otóż zdarza się, że na sali na centralnym telebimie odtwarzany jest taniec wybranej osoby, przesunięty w czasie o ok. 0,2 sek. Gdyby to przesunięcie było mniejsze, mózg tańczącego w ogóle nie zarejestrowałby opóźnienia, a gdyby było większe, człowiek widziałby to wyraźnie. Jednak gdy owo przesunięcie jest dobrze dobrane, umysł człowieka wpada w nierozwiązywalny dysonans poznawczy. Nie wie, co jest rzeczywistością: ciało obserwowane bezpośrednio czy jego wizerunek na ekranie. Mózg próbuje bezskutecznie rozwiązać ten dylemat i po kilkudziesięciu próbach po prostu się wyłącza. W ten sposób człowiek zostaje wprowadzony w trans. Podobnie przesunięte w fazie są rytmy muzyki. Zaburzają one naturalne rytmy fizjologiczne człowieka. Dlatego muzyka techno jest tak doskonałym narzędziem inicjacyjnym. Otwiera człowieka na świat duchowy pod pozorem zabawy.

Repertuar współczesnych okultystów jest niezwykle zróżnicowany. Kto będzie szukał demonicznych śladów w zachęcaniu do wchodzenia w głębsze od relaksu częstotliwości fal mózgu, w poszukiwaniach dotyczących fizjologii snu albo w przypominających naukowe rozważaniach na temat „energetycznej" istoty rzeczywistości?

Wystarczy jednak wejść na mój kanał YouTube „Tekieli: Otwórz oczy" i wysłuchać świadectw osób, które zostały okaleczone duchowo przez współczesny okultyzm, by zrozumieć, że warto wiedzieć o tych zagrożeniach.

eprasa.pl 4a9be78ee4

OGNIEM NA WPROST

Brothers in arms



Andrzej Rafał Potocki

Mija rocznica drugiej, zapomnianej odsłony rzezi Wołynia, rozpoczętej 29/30 sierpnia 1943 r. Ponieważ jest to 500. wydanie naszej rubryki, postanowiliśmy nie pisać o froncie ukraińskim, na którym i tak nie dzieje się nic specjalnego, i poświęcić ją przyjaźni polsko-węgierskiej oraz opisowi tego, jak wyglądała ona w rzeczywistości na Kresach Wschodnich podczas rzezi wołyńskiej. Tak ekstremalne wydarzenia hartowały odwieczne powiedzenie „Polak, Węgier, dwa bratanki...", czyniąc je prawdziwym.

Już latem 1941 r., gdy Węgierski Korpus Szybki uderzał na wschód, w lipcu w Korczynie koło Stryja kilku Polaków zostało aresztowanych przez uzbrojoną bojówkę ukraińską. Dowiedzieli się o tym stacjonujący niedaleko Węgrzy. Rozwścieczeni wpadli na ukraiński posterunek, zdemolowali go i uwolnili aresztantów, krzycząc: „Jaka Ukraina?! Tu jest Polska! Tu nie ma żadnej Ukrainy!". Latem 1941 r. pod pretekstem rozliczania z sowieckimi kolaborantami OUN próbowała mordować także Polaków. Bydło z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów hasało po okolicy, dopóki nie przybyły jednostki węgierskie. OUN uważała za wrogów również Węgrów i wzywała do niszczenia „Madziarów, worohiw samostijnej Ukrainy". Ci raz-dwa rozgonili ukraińskie milicje i uwolnili aresztowanych. W potyczkach niedaleko Kołomyi i w Horodence wystrzelali OUN-owskie kierownictwo milicji, a w Borszowie ostentacyjnie przekazali władzę Polakom.

Gdy w lipcu 1943 r. Wołyń spłynął obficie polską krwią, węgierskie garnizony i posterunki stały się schronieniem dla wielu Polaków. Węgierscy żołnierze ze 124. Dywizji Lekkiej i 25. Dywizji Piechoty, kierowani wyłącznie sumieniem, ogromną szlachetnością i dobrą wolą, chętnie udzielali im pomocy. Mieszkaniec jednej ze wsi wspominał: „Obozowisko mieli Węgrzy w parku. To był dobry czas. W domu nawet nie gotowaliśmy. Wspólnie z siostrą chodziliśmy do ich kuchni i wracaliśmy z wiadrem pełnym ugotowanego mięsa. Tak że wystarczyło dla wszystkich domowników, a i jeszcze dla sąsiadów było".

Przykładem polsko-węgierskiego braterstwa broni jest również obrona Mizoczy koło Równego. W nocy z 24 na 25 sierpnia 1943 r. na miasteczko uderzyły siły dowodzone osobiście przez Petra Olijnyka „Eneja", dowódcę Okręgu Wojskowego UPA „Bohun". „Enej", z wykształcenia lekarz, był znany z okrucieństwa – własnoręcznie odrąbywał ofiarom głowy siekierą. Dwa kurenie (bataliony) UPA uderzyły na Mizocz od wschodu, od razu podpalając zabudowania. Banderowcy mordowali każdego, kogo zastali w domostwie – głównie nożami i siekierami, bo amunicji mieli za mało. Polacy podnieśli alarm, dzięki czemu w zachodniej części miasteczka polska samoobrona i węgierscy żołnierze zajęli pozycje w cukrowni i w majątku hr. Dunina-Karwickiego. Walka trwała całą noc. Węgrzy ramię w ramię z Polakami odpierali każdy kolejny atak ogniem maszynowym. Nad ranem napastnicy wycofali się. W Mizoczy zginęło ok. 100 Polaków, głównie uciekinierów z sąsiednich miejscowości.

Na Wołyniu Węgrzy obronili także m.in. Sitarówkę, Klewań, Ożenin i Perespę. Nie były to jedyne przykłady współpracy polsko-węgierskiej, która została wzmocniona w 1944 r. w Galicji, gdzie węgierskich garnizonów było więcej. Wiosną tego roku Węgrzy ocalili przed pogromem m.in. Jazłowiec, Wiśniowiec i Bolechów. Polacy udawali się na węgierskie posterunki ze skargami, a Węgrzy przeprowadzali rewizje i ekspedycje karne przeciwko ukraińskim wsiom. Nie przekazywali jeńców Niemcom, wiedząc, że ci wypuszczą ich na drugi dzień. „Węgrzy odgrywają dużą rolę w walce z bandami. Członkowie band pochwyceni przez Węgrów są sprowadzani do Lwowa i maszerują z rękami związanymi drutem kolczastym. Wielu z nich ma przywiązane do rąk narzędzia mordu, z którymi ich związano (siekiery, widły itp.)" – pisano w polskim raporcie podziemnym do Londynu. 20 kwietnia 1944 r. w Siwce Kałuskiej Węgrzy rozdali Polakom broń i wspólnie z nimi odparli atak bandy UPA, a potem spalili wieś. Identycznie było w styczniu 1944 r. pod Rożyszczami, gdzie Ukraińska Powstańcza Armia prawie zgniotła polską samoobronę. Wówczas na polu walki pojawiła się kompania węgierska z samochodami pancernymi, która przegnała bandytów. Jest jeszcze wiele innych przykładów bratniej pomocy i nie wystarczy miejsca, by je opisać. Wszystko to czyniono bezinteresownie, wyłącznie w imię wielowiekowej przyjaźni. Sądzimy, że pomnik bohaterskich żołnierzy węgierskich, którzy własną piersią chronili naszych przed ciosami siekier i noży, powinien stanąć kiedyś w Polsce. I wierzymy, że doczekamy tej chwili.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

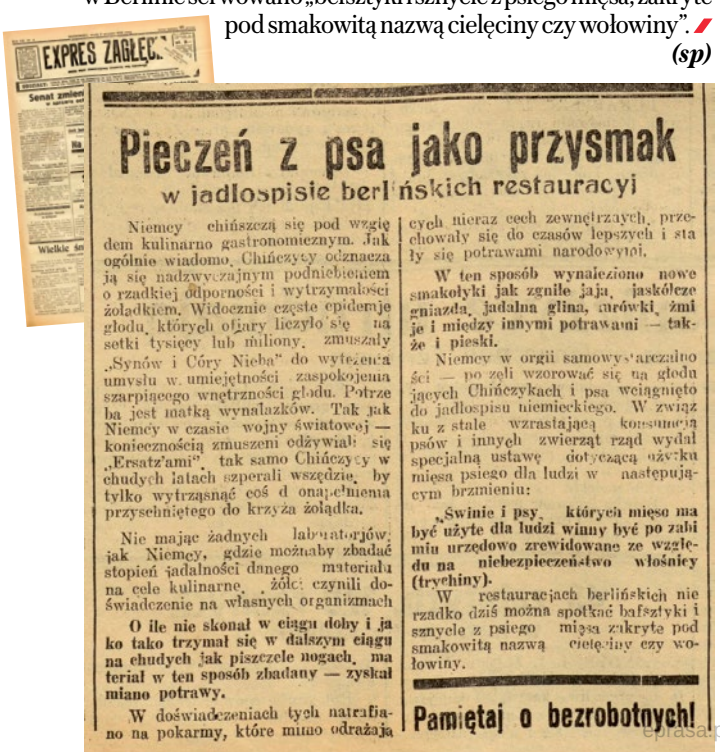
eprasa.pl 4a9be78ee4

***Michał Korsun** prezentuje:*
Aleksandra Dulkiewicz, patriotka inaczej



Wycinki z przeszłości

Pieczeń z psa w berlińskich restauracjach? Tak donosił „Expres Zagłębia" w 1938 r., opisując kulinarne zwyczaje w III Rzeszy. Jak pisała gazeta: „Niemcy w orgii samowystarczalności – poczęli wzorować się na głodujących Chińczykach i psa wciągnięto do jadłospisu niemieckiego". Według artykułu w Berlinie serwowano „befsztyki i sznycle z psiego mięsa, zakryte pod smakowitą nazwą cielęciny czy wołowiny". ***(sp)***


EXPRES ZAGŁĘ...

Pieczeń z psa jako przysmak

w jadłospisie berlińskich restauracyj

Niemcy chińczczą się pod względem kulinarno gastronomicznym. Jak ogólnie wiadomo, Chińczycy odznaczają się nadzwyczajnym podniebieniem o rzadkiej odporności i wytrzymałości żołądkiem. Widocznie częste epidemje głodu, których ofiary liczyło się na setki tysięcy lub miliony, zmuszały „Synów i Córy Nieba" do wyłączenia umysłu w umiejętności zaspokojenia szarpiącego wnętrzności głodu. Potrzeba jest matką wynalazków. Tak jak Niemcy w czasie wojny światowej — koniecznością zmuszeni odżywiali się „Ersatz'ami", tak samo Chińczycy w chudych latach szperali wszędzie, by tylko wytrząsnąć coś do onajedzenia przyschniętego do krzyża żołądka.

Nie mając żadnych laboratorjów, jak Niemcy, gdzie możnaby zbadać stopień jadalności danego materiału na cele kulinarne, żółci czynili doświadczenie na własnych organizmach

O ile nie skonał w ciągu doby i jako tako trzymał się w dalszym ciągu na chudych jak piszczele nogach, materiał w ten sposób zbadany — zyskał miano potrawy.

W doświadczeniach tych natrafiano na pokarmy, które mimo odrażających nieraz cech zewnętrznych, przechowały się do czasów lepszych i stały się potrawami narodowymi.

W ten sposób wynaleziono nowe smakołyki jak zgnile jaja, jaskółcze gniazda, jadalna glina, mrówki, żmije i między innymi potrawami — także i pieski.

Niemcy w orgii samowystarczalności — poczęli wzorować się na głodujących Chińczykach i psa wciągnięto do jadłospisu niemieckiego. W związku z stale wzrastającą konsumcją psów i innych zwierząt rząd wydał specjalną ustawę dotyczącą użytku mięsa psiego dla ludzi w następującym brzmieniu:

„Świnie i psy, których mięso ma być użyte dla ludzi winny być po zabiciu urzędowo zrewidowane ze względu na niebezpieczeństwo włośnicy (trychiny).

W restauracjach berlińskich nie rzadko dziś można spotkać befsztyki i sznycle z psiego mięsa zakryte pod smakowitą nazwą cielęciny czy wołowiny.

Pamiętaj o bezrobotnych!

Z WOLEJA

Sędziowie z bożej(?) łaski



Ryszard Czarnecki

Jeśli w kontekście widowisk sportowych mówi się nie o zawodnikach, tylko o arbitrach, to „niedobrze, panie Bobrze" (chór „Dana"). Nie będę sentymentalnie marudził, że kiedyś było lepiej, a teraz się zepsuło, bo przecież wcale lepiej nie było. Sędziowie w skokach narciarskich obniżali noty naszemu Stanisławowi Marusarzowi (jako dzieciak miałem szczęście go poznać), żeby tylko mistrzem świata został faworyzowany Norweg. Powojenna Polska długo żyła skandalicznym werdyktem sędziów pięściarskich, którzy Polakowi Tadeuszowi Walaskowi ukradli tytuł mistrza olimpijskiego podczas igrzysk w Rzymie w 1960 r. Na ringu wygrał, ale w oczach ślepej na rzeczywistość i sprawiedliwość bokserskiej Temidy przegrał z Amerykaninem. To było trzy lata przed moim urodzeniem, ale sportowa Polska żyła tą historią przez dziesięciolecia.

Jako dziesięciolatek przeżywałem totalne wałki autorstwa sędziego piłkarskiego z Rumunii (do tej pory pamiętam nazwisko: Pădureanu), który przekręcił Biało-Czerwonych w wyjazdowym meczu eliminacyjnym do igrzysk olimpijskich w Monachium z Bułgarią w Starej Zagorze. Nie uznawał Polakom goli, niesłusznie uznawał bramki futbolistom z Bałkanów, pokazał czerwoną kartkę Włodzimierzowi Lubańskiemu, który odgrywał rolę kapitana. Polacy strzelili dwa gole, Rumun uznał nam jednego. Bułgarzy prawidłowo zdobyli jedną bramkę, rzut karny dostali „z kapelusza", a trzeciego gola zdobyli ze spalonego. Zamiast więc 2:1 dla Polski wynik brzmiał 3:1 dla Bułgarii. Był to przekręt w biały dzień, przez który omal nie pojechaliśmy na IO do NRF (ówczesna nazwa Niemiec Zachodnich). A jednak wywalczyliśmy awans dzięki cudowi w ostatnim meczu: sensacyjnemu remisowi amatorskich Hiszpanów z Bułgarami 3:3 (gracias, España!) Gdyby nie to, nie byłoby olimpijskiego złota.

Nowe czasy i stare przekręty. Trójka sędziów (z Litwy, Bośni i Hercegowiny oraz Słowenii) okradła polskich koszykarzy ze zwycięstwa w meczu z Niemcami, mistrzami Europy i świata. „Zagwizdali" na rzecz koszykarskiej potęgi, która ma swoje układy także w strukturach decydujących o tym, którzy arbitrzy jadą na mistrzostwa świata i igrzyska olimpijskie. Prawem kaduka wyrzucono z boiska jednego Polaka, drugiemu „odgwizdano" faul ofensywny na 9 sekund przed końcem meczu, gdy mieliśmy akcję na wyrównanie. Ewidentnie „gwizdali" przeciwko nam i załatwili Teutonom wymęczone zwycięstwo 2 punktami.

Wreszcie sędzia żużla z Ukrainy, choć od wielu lat mieszkający w Krakowie, który zabrał nam srebrny medal w Drużynowym Pucharze Świata, bo nie zdyskwalifikował Dunczyka za faul na Polaku w decydującym biegu.

Pan Bóg wybacza – kibice nigdy.

gprasa.pl 4a9be78ee4

OD A DO ZYBERTOWICZA

Wszyscy głupi jesteśmy!

Tak, wszyscy. Nie chodzi mi o odwieczną niewiedzę, o której pisali już starożytni filozofowie: iż rzeczywistość jest tak bogata, że w najlepszym razie skuteczniej, głębiej ogarniamy co najwyżej okruszki tego, co istnieje. Że w obliczu potęgi natury jesteśmy karzełkami. Że kolejne odkrycia praw przyrody odsłaniają tylko dalsze tajemnice, coraz trudniejsze do przeniknięcia, a fizyka czy matematyka nie tłumaczą głębin ludzkiej psychiki.

NOWA, IŚCIE DIABELSKA JAKOŚĆ

Idzie mi o coś innego: o to, co z ludzkim rozumieniem świata, w tym nas samych, zrobił internet. I o to, co właśnie robi sztuczna inteligencja – chciałoby się rzec: na naszych oczach, gdyby nie to, że tak wielu zasłania sobie te oczy.

A zaczęło się od szkodliwości mediów, oszukańczo zwanych społecznościowymi. Oszukańczo, bo w istocie działają one silnie dehumanizująco. Im więcej czasu spędzamy *online*, tym mniej czasu pozostaje nam na kontakt z innymi ludźmi, z przyrodą, wreszcie z własną psychiką.

Im więcej okrutnie poszatkowanych – tu mistrzem jest TikTok – informacji przyswajamy z internetu, tym słabiej rozumiemy świat. Strumienie informacji nie przekładają się bowiem na sensowne całostki wiedzy. Niekończące się (np. w wyniku ciągłego przewijania ekranu) bodźce nie przynoszą zrozumienia. Przynoszą umysłowe przeciążenie, stałą dezorientację i utratę poczucia bezpieczeństwa. A to dla niektórych osób bywa przedsionkiem depresji, co niekiedy prowadzi do prób samobójczych.

NIERÓWNOŚCI ROSNĄ

Sztuczna inteligencja wchodzi pod strzechy dokładnie tak, jak kiedyś telewizja, a później internet. Rodziny o niższych dochodach i mniejszym wykształceniu spędzały przed telewizorami, a potem przed komputerami (dziś dotyczy to smartfonów) znacznie więcej czasu niż te o wyższym statusie społeczno-ekonomicznym.



Im więcej okrutnie poszatkowanych – tu mistrzem jest TikTok – informacji przyswajamy z internetu, tym słabiej rozumiemy świat

Niekoniecznie dlatego, że jedni „lepiej korzystają z technologii", a drudzy „gorzej". Gdy ktoś ma stabilną pracę, czas, przestrzeń i dostęp do rozwijających zajęć, technologie stają się narzędziem rozwoju. Gdy ktoś żyje w trybie ciągłego gaszenia pożarów – finansowych, mieszkaniowych, organizacyjnych – technologie stają się tym, czym można je uczynić *najłatwiej*: szybkim odpoczynkiem, informacją pod ręką, chwilą oddechu.

Dlatego cyfrowa rewolucja, która miała wyrównywać szanse, w praktyce wzmacnia stare podziały.

AI – OPIUM LUDU

Karol Marks pisał, że „religia to opium ludu". Ale faktyczną rolę opium ludu zaczęły odgrywać telewizja, gry komputerowe, a zwłaszcza te nieszczęsne media społecznościowe. Kolejną odsłoną są konwersacyjne modele AI.

Najnowsze badania coraz wyraźniej pokazują, że w przypadku wielu osób (stawiałbym, że większości), AI nie *wspiera* pracy umysłowej, lecz ją *wypiera*. Okazuje się, że tylko malutka część użytkowników wykorzystuje AI w sposób na tyle kontrolowany, iż wzmacnia to ich kompetencje poznawcze. Większość użytkowników niczym rzeki płynie po linii najmniejszego oporu, czyli degraduje się intelektualnie, gdyż zastąpione przez AI umysły więdną.

Po kapitulacji intelektualnej przychodzi degradacja emocjonalna. Bo ktoś, kto tak osłabia swój umysł, że traci zdolność wykonywania nieco trudniejszych zadań intelektualnych, niebawem utraci szacunek do samego siebie i pogrąży się w stresach oraz kompleksach.

ROZWIĄZANIE

Oczywiście istnieje wyjście z tej sytuacji, ale najpierw trzeba otwarcie przyznać – a to jest trudne – że znaleźliśmy się na równi pochyłej rosnącej cywilizacyjnej głupoty.

Wyjście? Nie tylko indywidualne „odwyki", lecz także przeprojektowanie technologicznego środowiska, obecnie korzystnego głównie dla big techów. Jak miasta buduje się z chodnikami i parkami – nie z autostradami przez centra – tak ekosystem cyfrowy wymaga architektury, która wymusi kontakt z rzeczywistością, a nie z interfejsem. To nie kwestia „silnej woli", lecz mądrej infrastruktury: szkoły bez smartfonów, algorytmy z limitem bodźców, publiczne przestrzenie offline.

Głupota nie jest naszą naturą – jest produktem ubocznym środowiska, które sami zaprojektowaliśmy. Możemy je przeprojektować.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 4a9be78ee4

wPolsce 24

Wierzbicki Biedroń

mówią jak jest



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	YouTube
52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl 4a9be78ee4

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze



Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 4a9be78ee4